



ADAM

WĘGŁOWSKI

Pruski
mur

Mazury to nie raj na Ziemi, lecz miejsce, gdzie szybko
i łatwo można kogoś posłać do piekła.

SKARPA WARSZAWSKA

ADAM
WĘGŁOWSKI

Pruski mur



Spis treści

Karta redakcyjna

CZĘŚĆ I: CEGŁY

ROZDZIAŁ 1: LONDYŃSKI SPISEK

ROZDZIAŁ 2: WSPOMNIENIE

ROZDZIAŁ 3: RUPIECIE

ROZDZIAŁ 4: DOM GRY

ROZDZIAŁ 5: KSIĘGA ŚMIERCI

ROZDZIAŁ 6: MAUER

ROZDZIAŁ 7: KRAKANIE

CZĘŚĆ II: WROGOWIE

ROZDZIAŁ 1: MISJA FRANKENSTEINA

ROZDZIAŁ 2: ZŁUDZENIA

ROZDZIAŁ 3: POJEDYNEK

ROZDZIAŁ 4: TAJEMNY POKÓJ

ROZDZIAŁ 5: KORESPONDENCYJNY PRZYJACIEL

ROZDZIAŁ 6: ZŁA WRÓŻBA

ROZDZIAŁ 7: KONSPIRACJA

ROZDZIAŁ 8: NA ŻYDOWSKIM CMENTARZU

ROZDZIAŁ 9: TERROR

ROZDZIAŁ 10: DŁUGIE CIENIE Z KONITZ

ROZDZIAŁ 11: KOZŁY

ROZDZIAŁ 12: DANSE MACABRE

CZĘŚĆ III: POMÓR

ROZDZIAŁ 1: NOCNY ATAK

ROZDZIAŁ 2: TRUP

ROZDZIAŁ 3: ŁAMIGŁÓWKA

ROZDZIAŁ 4: BRZYTTWA OCKHAMA

ROZDZIAŁ 5: MISTER WITTE

ROZDZIAŁ 6: BRAKUJĄCY ELEMENT

ROZDZIAŁ 7: ŚLADY

ROZDZIAŁ 8: NA TROPIE

ROZDZIAŁ 9: MASKARADA

ROZDZIAŁ 10: WYBUCH

ROZDZIAŁ 11: SPRAWIEDLIWOŚĆ

ROZDZIAŁ 12: OGIEŃ

Przypisy

Redakcja
Adam Podlewski

Korekta
Małgorzata Podlewska

Skład i łamanie
Marcin Labus

Projekt graficzny okładki
Mariusz Banachowicz

© Copyright by Skarpa Warszawska, Warszawa 2023

© Copyright by Adam Węglowski, Warszawa 2023

Zezwalamy na udostępnianie okładki książki w internecie

Wydanie pierwsze
ISBN 978-83-83293-54-7



Wydawca

Agencja Wydawniczo-Reklamowa

Skarpa Warszawska Sp. z o.o.

ul. Borowskiego 2 lok. 24

03-475 Warszawa

tel. 22 416 15 81

redakcja@skarpawarszawska.pl

www.skarpawarszawska.pl



Konwersja: [eLitera s.c.](#)

CZĘŚĆ I:

CEGŁY

„Ełk. Choroba żołązków szerzy się między tutejszymi końmi ułańskimi coraz bardziej. Dużo z tych zwierząt trzeba już było ubić”.

„Pewien szesnastoletni chłopak z Baranów dostał podczas łowienia ryb kurcze i upadł tak nieszczęśliwie, że głowa zanurzyła się w przeręblu. Ponieważ ludzi dookoła nie było, musiał marnie zginąć”.

„Krowa pewnego chałupnika w Sordachach wybiła swymi rogami dziurę w suficie obory, a gdy następnie jej pani przyszła, aby ją doić, wspięła się w górę i chciała przez ową dziurę pójść na spacer”.

„Gazeta Ludowa”, Lyck¹, rok 1900

ROZDZIAŁ 1:

LONDYŃSKI SPISEK

Zimą 1889 roku pod monumentalnym, acz nieco przysadzistym gmachem Szpitala Londyńskiego można było dostrzec osobliwą postać. Był to stały pacjent, który wychodził na krótkie spacerunki po ulicach dzielnicy Whitechapel, a czasami korzystał nawet ze specjalnej dorożki. Usiłował zachować dyskrecję, by nie wzbudzać niezdrowej sensacji, jednakże rzucał się w oczy. Nosił wielki ciemny płaszcz, jakby kilka rozmiarów za duży. Na głowę naciągnięty miał szczelny kaptur, pozostawiający jedynie wąski prześwit do patrzenia. A i ten skryty był pod daszkiem czapki wciśniętej na czubek głowy. W oczy rzucały się także nadzwyczaj szerokie buty spacerowicza. Okoliczni mieszkańcy oraz czytelnicy brukowej prasy nie mieli wątpliwości, że w owym stroju zwykły urzędnik sobie przechadzkę niejaki Joseph Merrick, lepiej znany jako Człowiek-Słoń.

Urodził się tak niewiarygodnie zdeformowany, że jego widok napawał strachem. Stąd przebranie, które miało zapewnić mu pewien psychiczny i fizyczny komfort – zabezpieczyć przed nadzbyt ciekawskimi spojrzeciami czy szyderstwami. Do tych ostatnich Merrick przywykł, gdyż przez wiele lat był cyrkową atrakcją. Łagodny i spokojny z natury, fizycznie niepełnosprawny Joseph nie potrafił sprzeciwić się wyzyskiwaczom, którzy zarabiali na jego chorobie. Nim trafił do szpitala, znajdował się pod „opieką” okrutnego impresario, który traktował go jak zwierzę, biciem i głodem zmuszając do występów przed spragnioną „dziwolągów” publicznością. Tej zaś nigdy nie brakło w cyrkowych namiotach i barakach, ani w Wielkiej Brytanii, ani na kontynencie. Wystarczył cień sylwetki Merricka na kurtynie – ze zdeformowanymi głową i kończynami – by doprowadzić publikę do szału. Gdy zasłona się rozsuwała, dzieci piszczły ze zgrozy, kobiety mdlały, skonsternowani mężczyźni z trudem silili się na niewybredne dowcipy. Ktoś mruczał, że nie każde dziecko powinno przychodzić na świat. Kto inny spluwał, jakby chciał odpędzić podobne nieszczęście od własnej rodziny. Pojawiali się i tacy, którzy nie dowierzali własnym oczom i uważali, że Człowiek-Słoń to w rzeczywistości tylko jakiś przebraniec. Gotowi byli dopłacić, byle móc jeszcze dotknąć niewiarygodnego ciała Josepha Merricka. Co bardziej wnikliwi domagali się wytłumaczenia, jak narodził się taki dziw natury. Zwykle wystarczały im pseudonaukowe wywody impresaria, który utrzymywał, że doszło do tego „przez zapatrzenie”. Gdy matka Merricka nosiła w brzuchu płód, została ponoć zaatakowana i potrącona w cyrku przez agresywnego słonia. Widok rozszalałego zwierzęcia tak bardzo ją przeraził i tak zapadł jej w pamięć, że odbiło się to na wyglądzie dziecka. Naukowcom jednak takie wyjaśnienie, rodem ze średniowiecznych zabobonów i legend, nie wystarczało. Zwłaszcza gdy losiem nieszczęślika obwożonego po pokazach „dziwów natury” zainteresowały się damy z londyńskiej socjety. Zapewniły one mężczyźniom stosowną opiekę medyczną. Nie były to występy przed studentami medycyny – zafrapowanymi tym, do czego zdolna jest natura, i przejawiającymi czasami, jak tłuszcza w cyrkowych namiotach, niezdrową ciekawość – lecz profesjonalna pomoc ze strony lekarzy. Na stan Merricka nie było lekarstwa, jednak należało obserwować, czy się nie pogarsza. Ulżyć mu w przewlekłych cierpieniach i uczynić jego byt bardziej znośnym.

Nie trzeba geniusza, by zauważyć, że ten wrażliwy człowiek głęboko przeżywał upokorzenia, których doświadczał wcześniej. Humanitaryzm nakazywał zapewnić mu kontakt z ludźmi pozbawionymi przesądów, a w miarę możliwości także z kulturą i sztuką. Tak w jego pokoju – najpierw na poddaszu szpitala, a potem w łatwiej dostępnej zadbanej suterenie – zaczęli pojawiać się ludzie ustosunkowani. Zabierano go na przedstawienia teatralne, które robiły na nim ogromne wrażenie. W końcu to on był widzom, kto inny pojawiał się na scenie. Wreszcie to nie jego prawdziwe nieszczęście było wykorzysty-

wane, ale on sam mógł zagłębić się w świat fikcji i fantazji stworzonych przez innych. Po latach przeżytych upokorzeń dwudziestosześcioletni Merrick cieszył się w Szpitalu Londyńskim względnym spokojem. Ba, mógł nawet poczuć dumę z tego, co udało mu się osiągnąć – odwiedzały go ważne osobistości z londyńskiej śmietanki towarzyskiej! W rewanżu Człowiek-Słoń wręczał swoim gościom upominki, na przykład spory kartonowy model romańskiej katedry w Moguncji. Powoli przywykał do zainteresowania elit. Był jednak oszołomiony, gdy odwiedził go sam następca tronu, książę Walii Edward z żoną Aleksandrą. Merrick dostał nawet od księżnej Walii kartkę z życzeniami świątecznymi. Stał się nie tylko sławny – jawił się także jako dowód humanitaryzmu wiktoriańskich elit. Nic to, że w Indiach z powodu brytyjskiej polityki marły miliony. Nic to, że w slumsach Whitechapel policja nie była w stanie złapać Kuby Rozpruwacza, masakrującego kobiety. Nic to, że British Museum zapełniało się skarbami wywiezionymi z podporządkowanych krajów. Wiktoriańskie imperium było wzorem współczucia i symbolem cnót.

Wydawało się, że finał może być tylko jeden: Człowiek-Słoń zaproszony zostanie na audycję do samej królowej Wiktorii. Do posiadał już władczyni Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii oraz cesarzowej Indii, pani jednej czwartej świata. Jakież byłoby to symbol cywilizacyjnego rozwoju i humanitaryzmu Brytyjczyków, gdyby sama Wiktoria zechciała pochylić się nad jednym z najbardziej nieszczęsnych swoich poddanych? Oczywiście „pochylenie się” należałoby potraktować tylko metaforycznie – wystarczającym gestem monarchini byłoby zezwolenie, aby Merrick stanął przed jej obliczem. Jakież byłoby to historyczny gest! Ona – władczyni największego imperium świata – udziela audycji człowiekowi wytykanemu palcami. Absolutna perfekcja królowej spotyka niedoskonałość natury. Jakież potężny miałoby to efekt propagandowy! Wiktoria nie dzieli ludzi na lepszych i gorszych, na Anglików i Irlandczyków, białych i czarnych, cywilizowanych i dzikich – skądże znowu! Imperium Brytyjskie to nie koszmar wysysający krew z czwartej części świata, lecz spełnienie marzeń o uniwersalnym i sprawiedliwym mocarstwie. Uczcie się, narody świata! Francuzi, Niemcy, Rosjanie, Amerykanie i inni, którzy podgryzacie Imperium Brytyjskie, zaślepieni chciwością i brakiem szacunku dla jego wielkości.

Plan był następujący. Człowiek-Słoń w swoim maskującym uniformie miał wyjść ze szpitala, wsiąść do karety i pojechać do Pałacu Buckingham. Tam zostałby wprowadzony do sali audiencyjnej, gdzie za parawanem zdjąłby swój dziwaczny chałat i pokazał się już w stroju godnym dżentelmena. Złożyłby pokłon królowej, o ile tylko pozwoli mu na to mu jego ciężka, o wiele za duża głowa. Klękłaby przed nią – z Bożej Łaski Królową Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii, Obrończynią Wiary, Cesarzową Indii – jak przed władczynią potężniejszą niż matka natura, bo to przecież ona zwraca mu poczucie człowieczeństwa. Plan ten dotarł jednak do uszu ludzi, którzy nigdy w życiu nie klękłby przed Wiktoria, za nic w świecie nie pokłoniliby się przed brytyjską monarchinią. Oni – anarchiści – gotowi byli ją gołymi rękami zadusić, w odwecie za bitych nędzarzy i robotników, za chłopców w mundurach ginących na wszystkich krańcach świata w imię jej pychy, za pasibrzuchów w Izbie Lordów. Od tych rewolucjonistów informacja trafiła do fenian – zbuntowanych Irlandczyków, gotowych umrzeć za swoją zniewoloną, zagłodzoną i skrwawioną zieloną wyspę. Ci radykalowie wierzyli, że jedynie siłą i strachem mogą wymóc na Londynie zmiany. Trwali w przekonaniu, że Irlandia może odzyskać niepodległość tylko wtedy, gdy zamanifestuje swoją determinację. A zamach na Wiktoria dobitnie uświadomiłby Anglikom, że nie zaznają spokoju, póki nie odpuszczą Irlandczykom. Znalazł się fenianin, który postanowił zrealizować pozornie szalony, wręcz nieprawdopodobny plan. Skoro nie pomogły Irlandczykom powstania i ataki na angielskie garnizony, pozostały działania nietypowe, jak z sensacyjnych powieści. Kiedy więc do uszu fenian dotarła informacja o terminie spotkania Merricka z królową, przystąpili z energią do akcji. To wydawało się dziecinnie proste. Wystarczyło się znaleźć w przebraniu Człowieka-Słonia podczas spotkania z królową! Przecież nikt w drodze nie będzie zerkał gościowi pod kaptur. Fenianin wzrostem zbliżony do Merricka, udając reportera popularnej gazety, skontaktował się z pacjentem Szpitala Londyńskiego pod pozorem napisania biografii. Podczas kilku spotkań nauczył się naśladować sposób poruszania się i mówienia Człowieka-Słonia. O audycję u królowej Ir-

landczyk nie wypytywał. Zdawał sobie sprawę, że musi być utrzymywana w tajemnicy przed opinią publiczną. Odpowiedniego dnia zakradł się jednak do pokoju w suterenie i uspił Merricka. Nie było to trudne, ponieważ ów właśnie uciął sobie poobiednią drzemkę. W swojej charakterystycznej, dziwacznej, aczkolwiek jedynej wygodnej dla niego pozie – na siedząco, z podciągniętymi nogami i opartą na nich wielką głową. Jakby nie przejmował się czekającą go audiencją. Irlandczykowi wystarczyło więc zapewnić mu jeszcze twardszy i dłuższy sen, przy pomocy gazy nasączonej środkiem usypiającym. Następnie fenianin przebrał się we frak, a na to narzucił wyjściowy uniform Człowieka-Słonia. Śpiącego zasłonił parawanem na wypadek, gdyby do pokoju nagle wszedł lekarz.

Oczywiście płaszcz i kaptur leżały zupełnie inaczej na Irlandczyku niż na nieszczęsnym pacjencie ze Szpitala Londyńskiego. Rozwiązanie tego problemu było genialnie proste. Fenianie skonstruowali rodzaj garbu z uprzężą, który zamachowiec mógł łatwo przymocować sobie do szyi. Wypełnili go materiałem wybuchowym. Zamachowiec miał dotrzeć w uniformie Człowieka-Słonia do sali audiencyjnej i tam zrzucić ładunek. Istniała oczywiście groźba, że wtedy zostałby natychmiast obezwładniony przez świtę władczyni. Dlatego musiał zdetonować swój bagaż chwilę wcześniej. Zdesperowany Irlandczyk – żywa bomba, zamachowiec samobójca – chciał zabrać ze sobą Wiktorię do, jak powiadano, lepszego świata. Alternatywą było umieszczenie ładunku w prezencie od Merricka dla brytyjskiej królowej. Wszak Człowiek-Słoń zwykł dawać dostojnym rozmówcom kartonowe modele. Wystarczyło taki prezent dla Wiktorii uzupełnić w środku niewielkim ładunkiem wybuchowym, który nie zwiększyłby przesadnie ciężaru całości. Fenianie nie chcieli jednak ryzykować. Co się stanie, jeśli w Pałacu Buckingham nie pozwolą przekazać prezentu w ręce władczyni, tylko gdzieś go odłożą? Ładunek w garbie był znacznie pewniejszym rozwiązaniem.

Irlandczyk był gotowy, gdy do drzwi sutereny zapukali lekarze.

– Pan już przebrany? – zdziwili się, widząc w progu Człowieka-Słonia w płaszczu i kapturze.

– Tak. Pod spodem mam frak – odparł Irlandczyk, naśladując Merricka, po czym palcami w grubych rękawicach rozpiął płaszcz i pokazał nieskazitelnie wyprasowany strój. Lekarze wyglądali na usatysfakcjonowanych.

– I sam pan sobie poradził? Nieustannie robi pan postępy, Josephie.

– Miło mi to słyszeć.

Schodząc do powozu, Irlandczyk nie zaniedbał niczego. Udawał powolnego i ostrożnego, niby niezgrabnego, z uporem starającego się pokonywać strome schody o własnych siłach. Mówił mało i niewyraźnie.

– Dziś pana wielki dzień – usłyszał, gdy wsiadał do eleganckiej, choć pozbawionej emblematów królewskich, karety. Stangret trzasnęła biczem i konie ruszyły do Pałacu Buckingham. Przez londyńską mgłę, przez wieczorny deszcz, ze stukiem podkutych kopyt rozbryzgujących kałuże na brukowanych ulicach. To była długa godzinną drogą.

Wydawało się, że przejeżdżającej karecie przygląda się co jakiś czas któryś z przechodniów. A to ktoś za nią podbiegł, a to ktoś intensywnie się przypatrywał, po czym wykonywał jakiś gwałtowny gest. Gdyby zajrzeć pod czapki i kapelusze tych przechodniów, niejeden miałby rude włosy. Gdyby do nich zagadać, niejeden mówiłby z irlandzkim akcentem. Kareta większość czasu poruszała się wzdłuż Tamizy. Tylko raz wykręciła w bramę budynku spowitą mgłą niczym jakieś baśniowe wrota do piekiel. Wyjechała po chwili, nazbyt szybko, z drugiego końca gmachu i kierowała się w stronę królewskiego pałacu. Konie dalej rozbryzgiwały kałuże i ploszyły rzeczne szczury. Zaś fenianie niezmiernie śledzili trasę przejazdu. Gdy powóz przejechał bogato zdobioną masywną bramą Pałacu Buckingham, nie mogli już obserwować dalszych wydarzeń, nawet z pomocą połowych lornet. Fenianom towarzyszącym całej akcji pozostawało już tylko czekać na odgłos wybuchu i dźwięk szyb wylatujących z okien rezydencji – miały być dowodem, że zamach się udał. Musiał się udać. Nie tak jak poprzednio, gdy zamachowców stojących oko w oko z królową zawodziła broń lub nerwy.

Co robili w tym czasie rządowi agenci i policjanci? Nie rzucali się w oczy. Dyskretna była nawet dziewczyna para tajniaków, którzy przyglądali się nie Pałacowi Buckingham, lecz zamglonej bramie, w jaką wjechał powóz z Człowiekiem-Słoniem po drodze do królewskiej rezydencji.

– I co dalej? – spytał elegancki jegomość z wąsami fantazyjnie zakręcającymi się pod orlim nosem. Mówił po angielsku z twardym, obcym akcentem. Powoli i wyraźnie. Gdy otwierał usta, w jego szczęce błyskało kilka złotych zębów.

– Jeszcze chwila i się przekonamy – odparł jego rozmówca, wychudzony i niski. Nosił melonik, co w zestawieniu z wysokim kapeluszem obcokrajowca czyniło go jeszcze niższym. Wyglądali jak dwa kominy sąsiednich, ale zupełnie innych fabryk.

– Wie pan, inspektorze, że przyjechałem do Londynu z powodu Kuby Rozpruwacza. Nie sądziłem, że mój pobyt przybierze taki obrót – odezwał się znów wysoki cudzoziemiec.

– Trudno być czegokolwiek pewnym w dzisiejszych czasach – zbył go niski londyńczyk. – Życie askakuje nas na każdym kroku i stawia nowe wyzwania. Pędzi jak pociąg, aż czasem chciałoby się z niego wyskoczyć. Lecz służba nie drużba, nieprawdaż?

Patrzyli wspólnie w kamienną bramę w budynku rządowym, w którą wjechał powóz z Człowiekiem-Słoniem, potem zadziwiająco szybko wyłonił się po drugiej stronie gmachu. W istocie rzeczy były to dwie różne karety. Ta, która wyruszyła spod Szpitala Londyńskiego, zatrzymała się w bramie. Z drugiej strony wyruszył pod Pałac Buckingham inny, bliźniaczo podobny pojazd.

– Panie inspektorze, zidentyfikowaliśmy po drodze kilku fenian śledzących przejazd. W tym Irlandczyka pod Pałacem Buckingham. Zapewne to członkowie tej samej szajki. Trwa pościg – służbiście zameldował mężczyźninie w meloniku młody człowiek.

– A co z zamachowcem? – rzucił pod nosem obcokrajowiec.

Gdy inspektor powtórzył jego pytanie, służbista odparł bardzo lakonicznie:

– Trwają negocjacje.

Fenianin w powozie zdarł z głowy kaptur Człowieka-Słonia i czujnie rozejrzał się przez szyby. Stał na rozległym dziedzińcu, otoczony ścianami budynku wyglądającego jak opuszczone więzienie. Stan-gret dawno zeskoczył z kozła i uciekł. To wtedy Irlandczyk domyślił się, że coś jest nie tak.

„Jeśli nie zabiorę ze sobą królowej, to przynajmniej ukatrupię paru z was, dranie!” – pomyślał i mściwie zagryzł usta. Jednak wokół nie pojawiali się żadni chętni, by zginąć. Było pusto i cicho, jakby miejsce wymarło. Tylko konie dreptały niecierpliwie i drżały, jak gdyby wyczuwały wiszące w powietrzu napięcie. Po dwudziestu minutach Irlandczyk otworzył zniecierliwioną drzwiami powozu i ledwie dotknąwszy stopami ziemi, wskoczył na kozła. Zaciął konie batem i ruszył przed siebie. Był gotów popędzić byle gdzie, byle szybciej. Gdzie oczy poniosą. Nawet prosto w tłum londyńczyków, byle zabić siebie i innych w sercu miasta, na oczach brytyjskich władz. Lecz wszystkie bramy dziedzińca były zamknięte.

Zamachowiec mógł zabić tylko siebie i konie. Tajniacy dokładnie to zaplanowali.

– Wszyscy dziś tak pędzą, a ja uważam, że w powiedzeniu „spiesz się powoli” jest dużo racji – odezwał się inspektor do swego gościa o złotych zębach. – Cierpliwość popłaca.

Po godzinie fenianin się poddał. Negocjacje prowadził inspektor Scotland Yardu czuwający za jednym z okien. Kazał Irlandczykowi zdjąć uprząż z bombą i pozostawić koło powozu, a następnie odejść dziesięć kroków dalej i położyć się na brzuchu na bruku. Zrezygnowany zamachowiec posłuchał. „Miałem być bohaterem, a zostałem nikiem” – łkał bezsilnie. Łudził się, że kiedy wypuszczą go z więzienia albo kiedy wróci ze zsyłki, zemści się. Zaatakuję jeszcze raz, tym razem skutecznie. Takie złudzenia pozwalają przeżyć długie lata wyroku i nie oszaleć.

W tym samym czasie Joseph Merrick jak gdyby nigdy nie obudził się w swoim szpitalnym mieszkaniu. Nie był rozżalony, bo nic nie wiedział o planowanej audiencji u królowej tego dnia. Od początku do końca była to mistyfikacja brytyjskich służb, by wyłapać fenian, a ci chwycili ten haczyk. O operacji nie została poinformowana nawet sama władczyni. Wciąż była zmęczona po długotrwałych obchodach

Złotego Jubileuszu, czyli pięćdziesięciolecia swoich rządów. I wciąż nie mogła pogodzić się z samotnością. Dawno temu zmarł jej ukochany mąż, a kilka lat temu odszedł z tego świata oddany szkocki koniusz Brown. Tak bliski sercu imperatorowej, że niektórzy podejrzewali nawet ich oboje o wzięcie potajemnego ślubu.

– Gratuluję Scotland Yardowi udanej akcji! – Jegomość z fantazyjnie zakręconymi wąsami uściśnął dłoń inspektorowi w meloniku.

– A ja dziękuję za sygnał od pana. – Anglik uklonił się. – Dziękuję, kolego z Prus... a właściwie z Niemiec... że pan go nie zlekceważył.

– Jak pan wie, chciałem przyjrzeć się pracy londyńskiej policji w sprawie mordercy z Whitechapel, gdy pewien reporter, też cudzoziemiec, opowiedział mi żartem o tym pomysle na zamach. Ot, usłyszał to gdzieś i zlekceważył, biorąc za absurdalne mrzonki – odparł Niemiec. – Ja nie zajmowałem się nigdy radykałami, rewolucjonistami, lecz co nieco słyszałem o polskich, rosyjskich czy włoskich zamachowcach. Poza tym mam wpojony szacunek do władzy i porządku. Dlatego postanowiłem dać znać Scotland Yardowi, chociaż obawiałem się, prawdę mówiąc, że narażę się tylko na śmieszność.

– Niepotrzebnie – przerwał mu inspektor. – Szekspir mówił, że więcej jest rzeczy na ziemi i w niebie, niż się śniło naszym filozofom. Nie można lekceważyć żadnej przesłanki. I nie lekceważymy. To nasza recepta na sukces.

– Więc pewnie i Kubę Rozpruwacza państwo złapiecie? Już bez mojej pomocy?

– Bez wątpienia – zapewnił inspektor z uśmiechem.

„Gówna prawda” – pomyślał Niemiec. „Nie udało się wam i nigdy nie uda. Szukacie obcego, monstrum, cudzoziemca. Nie dopuszczacie myśli, że to jeden z was. A potwór czai się w każdym”.

Mijały lata, a ta myśl go nie opuszczała. Nie pomagały zaszczyty, ordery, pieniądze. Rosła liczba zbrodni, z którymi miał do czynienia, a proporcjonalnie do nich spadała wiara w ludzi. Miał jednak na to lekarstwo. Wierzył w naukę. Gdyby miał się wypowiadać, to powiedziałby, że ufał w rozwój techniki, który pozwoli kiedyś zbudować nowe, lepsze społeczeństwo – bez niesprawiedliwości i bez zbrodni. Bez plag, których ludzkość doświadczała od wieków. Tyle że w jego świecie nie było miejsca na konfesjonal.

ROZDZIAŁ 2:

WSPOMNIENIE

Jego najdawniejsze wspomnienie związane z matką łączyło się z pewnym niezapomnianym spacerem. Pod cienistymi drzewami. W dalekim mieście. Wśród mogił. Był tam grobowiec, na którym zza pękniętej kamiennej tarczy wyrwała się do życia pięknie wyrzeźbiona kobieta z dzieckiem. Matka opowiadała mu, że to jej kuzynka, której przytrafiło się „coś bardzo niezwyklego”. Gdy nosiła w brzuchu dziecko, rozchorowała się, po czym umarła. Tak przynajmniej sądzili pozostali domownicy. Wszyscy, poza mężem, który załatwiał wtedy interesy w innym mieście. Kobieta pospiesznie złożono do trumny. Jednak gdy mąż wrócił parę dni później, kazał natychmiast odbić gwoździe. Przekonywał, że żona miała rozmaite słabości, o których wiedział tylko on... Mały Kilemann ścisnął rękę mamuni. Nie podobała mu się ta bajka. Matka kaszlnęła i zapewniła, że to nie bajka, lecz lekcja. Bo w trumnie mąż znalazł martwą żonę i żywe dziecko. Pochowana nieprzytomna, lecz wciąż oddychająca kobieta zdążyła urodzić syna. Dziecko przeżyło, ona – nie. Mały Kilemann jeszcze mocniej ścisnął rękę mamuni. Nie podobała mu się ta lekcja. Matka pokazała mu palcem barokowe ozdoby na grobowcu. Koło kobiety z dzieckiem wyrzeźbiono tam czaszkę i motyla. Były jak brzydota i piękno. Śmierć i odrodzenie. Odwieczne prawo, że coś umiera i coś się rodzi. Co młode, musi się zestarzeć. Co żyje, musi umrzeć. Lecz śmierć nie jest końcem, nie jest ostatnim etapem, nie żegnajmy się przedwcześnie. Był za mały, by to zrozumieć. I tylko zapłakał w rękaw mamuni z tego lęku i niezrozumienia. Matka zaczęła go przytulać, ale nagle dostała ataku kaszlu. Mały spojrzał na nią zaniepokojony. „To nic, to nic takiego” – powiedziała, a potem znów odkaslnęła w chustkę, zostawiając na białej tkaninie krwawy ślad. Nie minął rok, a zmarła na galopujące suchoty, jak nazywano gruźlicę.

Od tej pory mały Kilemann ścisnął za rękę babcię, czasem ojca lub dziadka. Oglądał ich wszystkich przy pracy, jak krzątają się wokół wielkiego domu pod Berlinem, do którego przyjeżdżały ponure wozy ciągnięte przez kare konie. Czasem były to zwykłe furmanki, czasem istne bajkowe karoce z rumakami o łbach zdobionych długimi błyszczącymi piórami. Goście, którzy przychodzili do wielkiego domu, niemal zawsze ubrani byli na czarno. Panie pochlipywały zza woalek i chust. Panowie w czerni, silnie kontrastującej z ich bladymi twarzami, czasem ocierali pot z czoła. Cóż się działo wewnątrz budynku? Dziecko nie mogło samo tam wejść. Nad kolumnami zdobionymi wejście do wielkiego domu znajdował się wielki napis w obcym języku, którego chłopiec nie rozumiał. Minęło parę tygodni, nim zorientował się, gdzie pracuje jego rodzina. Najbliżsi zabrali go do środka budynku, by chłopiec w końcu przestał ich zasypywać pytaniami. W wielkim domu były dwa obszerne skrzydła. Z prawego dobywał się intensywny, duszący aromat kwiatów i tanich perfum, z lewego szorstki zapach ziół i mydła, czasem ostro woń spirytusu. Prawe skrzydło przeznaczone było dla bogatych, lewe zaś dla biednych. Dalej obszerne sale podzielono na dwie kolejne części. W pierwszej na bogato dekorowanych, ciężkich katafalkach leżały w trumnach damy w wielkich pofałdowanych sukniach, czasem ustrojone nawet w kapelusze. W drugiej można było zobaczyć sztywnych, wyciągniętych jak struna džentelmenów, ubranych jak do ślubu. Mały Kilemann był jeszcze zbyt niski, by tam zajrzeć, ale dziadek wziął go na barana, żeby chłopiec mógł zobaczyć te cuda. Przystrojone kwiatami skrzydło dla bogatych bardzo się różniło od tego dla biednych. Dziadek przeprowadził chłopca wśród trumien biedoty pospiesznie, stwierdzając, że smród, wszy i pchły mogą zaszkodzić dziecku.

Poczekalnia zaświatów, dom dla zmarłych czy też Vitae Dubiae Asylum – czyli Azyl Wątpliwego Życia, jak było wypisane na froncie budynku, dowodził, że pieniądze i pleć mają znaczenie nawet po

śmierci. Mały Kilemann oczywiście nie miał wówczas tak świątłych przemyśleń. Starał się zrozumieć, po co ci wszyscy państwo leżą po kilka dni w wielkim domu, zamiast trafić prosto do grobu. Ojciec przypomniał mu wówczas historię, którą opowiadała na cmentarzu matka. Nikt nie chciał, by w jego rodzinie zdarzyło się takie nieszczęście. Dlaczego zatem matka chłopca nie czekała na odejście „do aniołków” tak jak zmarli w Azylu? Ojciec tylko pokręcił głową: choroba, która ją zżerała, nie pozostawiała żadnej wątpliwości. Nie było nadziei, nie było złudzeń.

Te złudzenia w Azylu Wątpliwego Życia miały postać pierścienia zakładanego na palec każdemu umarłemu. Wiodła z niego w górę żyłka, prowadząca wprost do alarmowego dzwonka. Gdyby zwłoki poruszyły się – wskazując, że pensjonariusz Azylu wcale nie jest martwy, lecz jedynie w stanie pozornej śmierci – obsługa natychmiast wszczęłaby alarm i zaczęła cucić nieszczęśnika. Gdy mały Kilemann pierwszy raz usłyszał ten dzwonek, serce omal nie wyskoczyło mu z klatki piersiowej. Wyobrażał sobie, że ktoś wstaje z grobu niczym owa kamienna kobieta z dzieckiem, tam na cmentarzu, po którym spacerował kiedyś z mamunią. Ojciec rozwiął jednak marzenia chłopca o cudzie. Do alarmów dochodziło całkiem często, lecz nie dlatego, żeby ktokolwiek budził się ze stanu tylko przypominającego śmierć. Po prostu gazy i płyny nagromadzone w zwłokach powodowały, że ciało nabrzmiewało i przesuwało się, a czuły system alarmowy zaraz to odnotowywał. Żadne cuda się nie zdarzały.

Z każdym dniem mały Kilemann odkrywał nowe fakty. W poniedziałek zorientował się, że poza czuwaniem w poczekalni zaświatów, ktoś z rodziny – ojciec, dziadek lub babcia – codziennie nadzorował obmywanie pensjonariuszy domu umarłych. Nikt inny nie chciał tym się zajmować. We wtorek spostrzegł, że w Azylu pojawiali się czasem nie bliscy zmarłych, lecz ciekawscy goście z zewnątrz. Placili, by tam wejść. Zwykle wybierali część dla bogatych, chociaż to kosztowało więcej. Bywało, że wymieniali półgębkiem złośliwe uwagi na temat truposzy w trumnach, jakby znali ich za życia i niezbyt szanowali. W środę chłopak zauważył, że wśród wizytujących są nawet cudzoziemcy. Porozumiewali się obcymi językami i wszystko dokładnie oglądali, jakby w ich krajach nie było takich przybytków. W czwartek ze zgrozą zdał sobie sprawę, że wielkie pojemniki wypełnione kwiatami to nie ozdoby, jak dotąd sądził, lecz trumienki z niemowlakami. Ciężko mu się spało po tym odkryciu. W piątek widział, jak ojciec rozpała ogień w piecu na tyłach Azylu. Wizytujący narzekali, że zimno tam było jak w psiarni, a chociaż chłód dobrze robił zwłokom, to szkodził żywym. W sobotę w wielkim domu pojawił się ktoś wyglądający jak szalony wynalazca. Oferował dziadkowi zakup nowej instalacji: odtąd nieboszczycy mieli być połączeni żyłkami nie z dzwonekami alarmowymi, tylko z wielką harmonią. Wynalazca zachwalał, że codziennie można byłoby pokazywać wizytującym, jak ten instrument działa, ku ogólnej ucieście. Dziadek przepędził dziwnego innowatora i zagroził, że poszczuje psami. Ten sprzedał ponoć swój pomysł gdzie indziej.

W niedzielę babcia rozmawiała z człowiekiem z grubymi binoklami, który przedstawił się jako architekt. Machał jej przed oczami jakimiś szkicami i zapewniał, że Azyl będzie jeszcze popularniejszy, jeśli stanie przy nim para egipskich sfinksów. Babcia w odpowiedzi zapytała, czy kamienne stwory mają dar ożywiania zmarłych? Bo jeśli nie, to jej dom umarłych i tak czeka bankructwo. Ojciec tylko kiwał głową – trudno powiedzieć: przecząco czy potwierdzająco – i siedział z nosem w swojej *Księdze Śmierci*. Tak chłopiec nazywał dokumentację, namiętnie prowadzoną przez jego rodzica, a dotyczącą w jakiś sposób – jak się domyślał Kilemann – nieboszczyków, którzy trafiali do Azylu. Nocą chłopiec widział jeszcze, jak dziadek pozwalał w tajemnicy wynosić jakieś ciała z części przybytku przeznaczonej dla biednych. Chłopak nie wiedział, dlaczego to robiono. Podejrzewał, że po prostu ktoś o tej nietypowej porze zamierzał urządzić pogrzeb, nic innego. Pewnie należało zapłacić dziadkowi więcej za dodatkową fatygę, tym więc lepiej dla rodzinnego interesu.

A potem, w 1852 roku, przyszła epidemia cholery. W Azylu zaroilo się od zwłok. Obsługa zaczęła chodzić w maskach i rękawicach, jak to podczas zarazy. Pomór, powracający jak bumerang, okazał się opłaczalny. Przed Azylem jednak stanęły sfinksy. A dorastający Kilemann mógł pójść na studia. Nie miał zamiaru kontynuować kariery w domu umarłych. Dlaczego? Bo nigdy przez te wszystkie lata nikt

z pensjonariuszy tej poczekalni zaświatów nie wrócił do świata żywych. Nie doszło do żadnego wyczekiwanego „przebudzenia”. Było więc tylko kwestią czasu, gdy wszystkie Azyle zostaną zamknięte jako bezużyteczne. Cholera mogła to opóźnić i podtrzymać domy umarłych przy życiu, ale nie na długo. Nie były przydatne bardziej niż normalna kostnica. Gdy ostatni raz przed studiami Kilemann widział Azyl, wwożono do niego karetą młodą kobietę ubraną w suknię ślubną. Zmarła tuż przed uroczystością w kościele. Noc poślubną miała spędzić w trupiarni. Gdy na studiach dzielił się tym smutnym obrazem z nowymi kolegami, wywołał tylko zgryźliwe uśmieszki. Któryś z szyderców zapytał, czy Kilemannowi i jego rodzinie często zdarzało się w Azylu korzystać z prawa pierwszej nocy, po czym zaczął lubieżnie poruszać biodrami. Zakończyło się na bóje i porachowanych kościach. Innym razem ktoś zasugerował, że babcia Kilemanna pewnie niejedną noc spędziła, trzymając poduszkę na twarzy bogacza, którego powrotu bardzo nie chcieli spadkobiercy. I znów chłopak musiał się bić. Tym razem połamał sobie dwa palce. Wreszcie ktoś zaczął opowiadać o sprzedawaniu ciał z Azylów młodemu lekarzom do nieograniczonych badań anatomicznych. Kilemann zapewniał, że nic takiego nie miało u nich miejsca.

Chyba nie.

Kiedy dziadkowie umarli ze starości – a może też od oparów śmierci i środków czyszczących – ojciec coraz częściej wspominał o sprzedaży Azylu. Uznał, że najlepsze czasy miał już za sobą, zaś uniwersyteckie wykształcenie powinno zapewnić synowi zupełnie inną przyszłość. A ten miał zostać chemikiem, aptekarzem lub doktorem. Zapewniał, że uszanuje taki wybór jedynaka. Do Azylu po prostu się nie nadawał. Ojciec niestety nie doczekał momentu, gdy syn zaczął odnosić pierwsze sukcesy. Dopadła go zaraza: nie cholera, a ospa, która pojawiła się w 1864 roku podczas wojny prusko-duńskiej. Nie był zaszczepiony. Wprawdzie od lat szczepiono rekrutów do pruskiej armii – i młody Kilemann też tego nie uniknął – jednak jego ojciec był zbyt stary. Zachorował i trafił do rodzinnego grobowca obok swojej dawno zmarłej żony. Odtąd młody Kilemann został na świecie sam.

Wakacje poświęcił na porządkowanie pamiętek po ojcu. Ręce mu drżały, gdy sięgał po – pamiętaną z dzieciństwa i czasów nastoletnich – *Księgę Śmierci*, w której ojciec uparcie i z zapalem coś notował. Okazało się, że nie była to jedna książka. Uzbierało się pół tuzina grubych tomów. Między stronicami znajdowały się koperty z czymś sztywnym. To chyba były dagerotypy albo inne rodzaje fotografii. Tylko co zawierały? Jako dziecko Kilemann pewnie od razu zacząłby otwierać wszystkie koperty, jednak teraz coś go powstrzymało. Obawiał się tego, co może znaleźć w *Księdze Śmierci*. Podrapał się po karku, jakby zastanawiał się, czy warto było go nadstawiać lata wcześniej, gdy koledzy ze studiów szydzili z jego rodzinnego interesu.

Wiosną 1900 roku, dzień po swoich sześćdziesiątych urodzinach, Kilemann wspominał to wszystko z ambiwalentnymi odczuciami. Coraz więcej rozmyślał o przeszłości, zamiast po prostu odpoczywać w swoim nowym domu na sielskich Mazurach. Nie miał żony, dzieci, wnuków. Może powinien znaleźć sobie kochankę jak inni? Taką z krwi i kości, a nie tę Białą Damę, która towarzyszyła mu od lat. Nie Śmierć.

ROZDZIAŁ 3:

RUPIECIE

Wilhelm Mayer skończył niedawno pięćdziesiąt jeden lat, co opłacił kolejnymi zmarszczkami na swoim wysokim czole intelektualisty. Miał opinię wielkiego erudyty, eleganta i trochę zarozumialca. Lecz to, co wygadawali ludzie, nie do końca odpowiadało rzeczywistości. Mayer, człowiek przyzwyczajony do wielkich miast, po prostu zachowywał się trochę inaczej niż jego sąsiedzi z piętnastotysięcznego Lyck. Ta samozwańcza stolica Mazur starała się nadążyć za nowoczesnością, lecz mimo wszystko od niej odstawała – to była kwestia skali miasta, zainwestowanych tam pieniędzy, poziomu edukacji, świadomości elit i tuzina innych rzeczy. Toteż Mayer wydawał się w Lyck erudytą, elegantem i trochę zarozumialcem, a miał po prostu pozazawodowe pasje, nie żałował pieniędzy na ubrania oraz pielęgnowanie szpakowatych wąsów i bakenbardów. Zaś w sprawach, na których się znał – takich jak inżynieria i architektura – nie bał się wypowiadać *ex cathedra*. Prawdę powiedziawszy, nie uważał się jednak nigdy za kogoś lepszego od innych. Wręcz przeciwnie. Uważał, że w życiu brakuje mu czegoś spektakularnego i emocjonującego. W jego wieku Bernini kończył *Ekstazę świętej Teresy*, a kanclerz Bismarck rozpoczynał wojnę z Austrią i budowę Cesarstwa Niemieckiego. Mayerowi daleko było do Berniego, a do państwowej emerytury obiecanej przez Bismarcka miał jeszcze kilkanaście lat. Tymczasem czuł się już wyczerpany przez kontrahentów, wydrenowany z pomysłów, wymagłowany przez rodzinę. Już od paru lat miał dość żmudnej roboty, dorosłych córek i żony narzekającej na „zsyłkę” do Lyck. Nie chciał jałmużny od państwa, miał wystarczająco dużo zaoszczędzonych pieniędzy – zwłaszcza po ograniczeniu wydatków swoich pań. W chwilach szczerości porównywał system emerytalny do ludzkiej piramidy, bowiem wymagał jak ona coraz więcej obywateli, by utrzymać kolejne pokolenia. „Póki przeciwny Niemiec nawet nie dożywa emerytury, ta budowla jeszcze stoi i wydaje się solidna niczym piramida Cheopsa. Lecz co będzie, gdy pokonamy choroby i wrogów, a sufrażystki przekonają kobiety, że praca jest ciekawsza niż rodzenie kolejnych dzieci?” – sarkał. Dlatego dotychczasową pracę rzucił i zaczął się wydawaniem zgromadzonych oszczędności na hobby. Miał przecież do tego pełne prawo. Córki zostawił ich mężom gdzieś po drugiej stronie Niemiec. A żona? Nie było jej już przy Wilhelmie. Stał się wolny. Z tą wolnością, którą tak wyraźnie odczuwał pod cylindrem i w kieszeniach, Mayer pojawił się w sklepie ze starociami na Hauptstrasse. Jak na główną ulicę Lyck przystało, był to najlepszy tego typu zakład w mieście. Antykwariusz powitał go w podskokach, nisko się kłaniając.

– Szanowny pan zapewne znów zainteresowany tymi... hmm... tangramami? – zagaił, nim Mayer zdążył otworzyć usta. – Niestety, transport towarów z Chin to teraz kłopot. Sam pan rozumie, wojna...

– Nie było jeszcze powstania bokserów, a pan i tak żadnych wiekowych tangramów nie miałeś. Ani nawet współczesnych lamigłówek od Richtera. – Mayer machnął ręką. – Znam ja tę starą śpiewkę. Może powinieneś pan szukać dalej niż tylko w zakładach swoich pobratymców wyznania mojego. To rzadki towar, dla pasjonatów.

Sprzedawca słuchał narzekania z pokorą, delikatnie skubiąc brodę. Mayer tymczasem jeszcze nie skończył.

– Tyle prosiłem, panie Mojżesz. A pan co? Woli sprowadzać... Co my tu nowego mamy? – Zerknął na jedną z półek. – O, to paskudztwo na przykład. Wielka pozłacana gęś, a obok niej niedźwiadek z bębniakiem. Ki diabeł? Kto to kupi i po co?

– Och, ta gęś to precyzyjny mechanizm. O pełnej godzinie rozwija skrzydła, a miś wtedy zaczyna bić w bębnek – zaczął zachwalać antykwariusz. – Towar sprowadzony na zamówienie aż z Norymbergi.

– Doprawdy?

– Żeby szanowny pan wiedział. Rozumiem, że nawet bezrobotny architekt wciąż potrzebuje budo-
wać, choćby z klocków, ale...

– Bezrobotny? – obruszył się Mayer. – Jak pan śmie mnie tak nazywać? Ma pan mnie za jakiegoś ban-
kruta, za pasożyta?

– Och, przepra...

– Ja po prostu nie muszę już pracować! – Mayer nie dał się przeprosić żydowskiemu antykwariuszowi. – A przyszedłem powiedzieć, że przestałem już na pana liczyć. Nie ściągnąłeś pan ani żadnych tangramów, ani innych starożytnych łamigłówek przez okrągły rok. Na szczęście rozesłałem listy do innych antykwariatów w całych Niemczech i właśnie doczekałem się odpowiedzi. Nie zarobi pan, za-
robi kto inny.

Sprzedawca wysłuchiwał tej tyrady z coraz bardziej zmęczonym uśmiechem. Przypominał sobie, że świętej pamięci pan burmistrz Lyck miał kiedyś podobną obsesję. Chciał, żeby ściągać mu karty do gry z całego świata. Hiszpania, Anglia, Włochy, Japonia, Chiny... I jeszcze żądał, żeby było tanio, bo inaczej ucierpią sprawy lyckiej synagogi.

– Słucha mnie pan w ogóle? – zirytował się jeszcze mocniej Mayer.

– Tak, oczywiście. Pan wybaczy, mam tu jakiegoś małego klienta. – Antykwariusz wskazał na chłopca w zbyt dużej kapocie, który wszedł do sklepu podczas tyrady Mayera i myszkował wśród staroci. – Uważaj, mój mały, to nie sklep z zabawkami! – ostrzegł chłopaka.

Stary antykwariusz szczylił się, że miał na półkach kilka wyjątkowych skarbów. Na przykład czcionki drukarskie, których używał w wieku szesnastym pionier drukowanego słowa w Lyck, pastor Maeletius². Zardzewiałe krzyżackie mizerykordie. Kule z czasów wojen szwedzkich. Guzik francuskiego marszałka Ney'a z czasów, gdy ruszał z wielką armią Bonaparte'go na Rosję. Guzik cara Aleksandra I, który odpadł, gdy monarcha przejeżdżał przez Lyck, przeganiając Francuzów z powrotem na zachód.

– Tylko ostrożnie, chłopcze – odezwał się Mojżesz do dzieciaka, który w trakcie myszkowania niemal dotykał nosem pozłacanych świeczników. – Te lichterze są wyjątkowo cenne. Pamiętają czasy wielkiej zarazy w Prusach.

– O, może są jeszcze na nich stare zarazki – podchwycił Mayer. – Żebyśmy się nie pochorowali, panie Mojżesz.

– Panie Mayer, w cuda takie pan wierzysz? – Teraz to antykwariusz się obruszył.

– Ale wtedy przynajmniej miałibyśmy pewność, że te lichterze są autentyczne – kontynuował Mayer ze złośliwym uśmiechem.

– Panie szanowny, tu wszystko jest oryginalne! – Subjekt cały się zatrząsł, a w oczach stanęły mu łzy.

– Ależ spokojnie, panie Mojżesz, pan się nie denerwuje. To tylko żarty – wyjaśnił Mayer.

– Żarty! Żarty! – Ton sprzedawcy stał się niemal płaczący. – Takie to żarty, że niedługo przyjdzie mi zamknąć zakład.

– A czemu to? – zdziwił się Mayer. Był niepokieszony, że stary nie sprowadził mu starych ceramicznych łamigłówek, ale nie aż tak, żeby życzyć mu pląty.

– Gazet pan nie czytasz? Nie wiesz, co się dzieje w Konitz²? – Antykwariusz wyprostował się i jakby nabrał wigoru.

– No wiem, pana pobratymcom zarzuca się, że tam narozrabiali – odparł lekceważąco Mayer. – Ale przecie to daleko stąd.

– Daleko! Ale gazety wszędzie dochodzą i jak w jednym miejscu Żydów biją, to w innym też zaczyna naszym nieprzyjaciół ręce świerzbić – westchnął Mojżesz, odprowadzając wzrokiem chłopaka,

który bez słowa wyszedł ze sklepu, jakby zaspokoił swoją ciekawość. – Miałem już kilka wizyt i list pakudny dostałem.

– List? Z czym? Z pogróżkami?

– Z ostrzeżeniem. Żebym pakował manatki, bo jestem jak trędowaty, jak rupieć. Imaginujesz pan sobie? Po tylu latach tutaj traktuje się mnie jak obcego. I napisali jeszcze, żebym trzymał się z dala od miejsowych dzieci, bo wszyscy wiedzą, że Żydom potrzebna jest dziecięca krew na macę. Rozumie pan?

Mayer chciał odpowiedzieć, że to już pan Mojżesz powinien wyjaśnić, jak jest z tą krwią i macą. Nim jednak otworzył usta, antykwareusz wrzasnął wniebogłosy:

– Moja gęś! Moja gęś! – Spojrzał na klienta z przerażeniem.

– Słucham? – nie zrozumiał Wilhelm.

– Moja mechaniczna gęś! Ten gagatek ją ukradł! Łapać złodzieja! Pomocy! – Antykwareusz przeciskał się między kłopotami tak niezgrabnie, że wypchnął Mayera za drzwi sklepu. W końcu wytoczyli się obaj na ulicę.

– Gdzie on jest, gdzie on... – sapał sprzedawca. – Tam, tam biegnie! – Wskazał na małą sylwetkę odalającą się w stronę kościoła. – Ludzie, ratunku! Łapać złodzieja!

Wrzeszczał tak rozpaczliwie, że jego głos niósł się po całej ulicy. Mały złodziejasek popełnił zaś wielki błąd: rzucił się panicznie do ucieczki. Nic więc dziwnego, że po chwili jakiś dryblas chwycił go za kołnierz.

– Tuś mi, bratku! – krzyknął postawny wąsaty jegomość o twarzy pokrytej zmarszczkami i bliznami. Podniósł chłopaczka do góry jak piórko. – Co tam chowasz, szkrabie?

– Nic nie chowam. – Malec wierzgał rękoma i nogami w powietrzu. – Ten Żyd mnie goni. Na pewno chce mi krzywdę zrobić!

Wokół zrobiło się zbiegowisko. Głosy przekrzykiwały się, a niemiecki przeplatał się z polskim.

– Pan go puści, panie Bazil. Lepiej Żyda sprawdzić.

– Co sprawdzić, co sprawdzić? To złodziejasek, kręci się tu od dawna. Gdzie jego rodzice?

– Gdzie jest policja? Nigdy jej nie ma, gdy jest potrzebna.

– Panie Gieś, pan jesteś woźny sądowy. Co się robi w takiej sytuacji?

W końcu przydreptał i zasapany Mojżesz, obok którego niespiesznie, ale długie susy stawał Mayer.

– Ten malec ukradł mi ze sklepu gęś! – wysapał antykwareusz.

– To pan już gęsi ze starociami sprzedajesz? – zdziwił się Bazil, odstawiając zapłakanego chłopca na ziemię. Wciąż jednak trzymał go za kołnierz. Wokół rozległ się śmiech.

– Takie to świeże mięso u Żyda dostaniesz – rzucił ktoś. – Z czasów Napoleona!

– Albo Nerona! – dodał kto inny.

– Mechaniczną gęś. Z niedźwiadkiem – wytłumaczył w końcu Mojżesz. – Zamówiła ją bardzo ważna osoba z Lyck, ale nie mogę podać nazwiska.

Z pomruków, które się rozeszły, można było wywnioskować, że gapie i tak wiedzą, o kogo może chodzić. O „króla gęsiny”, o kogóż innego!

– Chłopiec mówi, że pan mu chciałeś krzywdę zrobić. – Bazil wbił w Mojżesza oczy jak bagnety.

– Pan jesteś człowiek honoru, stary oficer. Czy ja wyglądam na ludojada? Czy ja mam ze sobą tasak albo dzidę? – Mojżesz bezradnie rozłożył ręce. – Pan lepiej sprawdzi, co chłopiec chowa za pazuchą.

Nie trzeba było sprawdzać. Zrezygnowany, zapłakany chłopiec wyciągnął pozłacaną gęś.

– I pan narzekasz w Lyck na sąsiedztwo? A to sąsiedzi panu własność zwracają – burknął Mayer, gdy mechaniczne cacko trafiło z powrotem do właściciela. – Wstyd, panie Mojżesz.

Chłopiec, w towarzystwie pana Bazyla i przechodzącego obok woźnego sądowego Giesia, trafił na posterunek.

– Kijów parę dostanie i wróci mu rozum – zapewniali siebie nawzajem gapie. – Ciekawe tylko, czy kradł dla siebie czy dla jakiej szajki?

* * *

Szli w słońcu przez morze białych, gęgających ptaków. Jego fale niemal cudownie się rozstępowały. Czasem któraś z gęsi nerwowo unosiła skrzydła i ni to podlatywała, ni to przedreptywała kilka metrów. Gdzie indziej kilka ociężałych nietotów poderwało się niezdarnie w górę i wpadło na siebie, po czym toczyły się jak śnieżne kule, nieudolnie próbując odzyskać równowagę i stanąć na łapach. Nad nimi unosił się puch jak śnieg. Albert Uecker, mężczyzna o posturze śnieżnego bałwana, zatkał usta, by nie zakrzusić się tym pierzem. Oderwał rękę, dopiero gdy dotarł do drewnianej ruiny mazurskiej chaty, którą otaczało morze gęsi. Wewnątrz kilku starszych mężczyzn, których nie nazywał inaczej niż pastuchami, pokłoniło się w pas. Wiedzieli, że przed panem Albertem i jego synem Ottonem lepiej okazać pokorę.

– To są ci złodzieje? – spytał Uecker, wskazując na grupkę klęczących ludzi.

Słychać było, jak szarpią rękoma, spętanymi za plecami. Słońce wpadające do rudery przez powybijane okiennice oświetlało ich twarze. Były ciemne, ogorzałe. Wszystkie poza jedną, młodą i bladą twarzą nastoletniej dziewczyny.

– Moich gęsi wam się zachciało, brudasy? – Uecker splunął. – Wiecie, co tacy jak ja robią ze złodziejami?

Spętani milczeli.

– O, nie wiecie? – Uecker uniósł brwi w udawanym zdziwieniu. – A wiecie, co robi się w Prusach z Cyganami?

Klęczący znów nie odezwali się ani słowem.

– Czyżbyście nie rozumieli po niemiecku? – westchnął.

– Udają, pa... – wybelkotał jeden z pastuchów obok, ale Uecker zaraz go uciszył.

– Otto, daj mi naszą biblię. – Albert wyciągnął rękę do syna, a ten posłusznie przekazał mu jakiś tom. Uecker przekartkował kilka stron i uśmiechnął się. Najwyraźniej znalazł właściwy fragment. – Posłuchajcie więc, co rozkazał nam król Fryderyk Wilhelm. „Mieliśmy nadzieję, że nasze wielorakie zarządzenia wymierzone w lud cygański... posłużą jako ostrzeżenie dla niego, aby się więcej nie występować na nasze ziemie, to jednak musimy z dużym niezadowoleniem zauważyć, że nie stosował się on do żadnych z naszych wymierzonych w lud cygański postanowień, edyktów i mandatów, ale nie zważając na wystawionych na nich nakazów opuszczenia kraju wraz z biczowaniem, wypalaniem oznakowania i innymi ciężkimi karami cielesnymi... ponownie pojawili się w naszych krajach, i znowu wyrządzili naszym wiernym poddanym dużo karygodnych czynów i szkód. Nie zamierzamy jednak bynajmniej dłużej tolerować takiej sytuacji, raczej jest naszą zdecydowaną wolą, aby ten niecywny bezbożny cygański motłoch, żywywiąjący się tylko dzięki kradzieżom i rabunkom, całkowicie i zupełnie został z naszych ziem usunięty i wytopiony. A więc nadchodzi zgodnie z tym do wszystkich naszych rządów, urzędów... nasza wola i polecenie, aby od dzisiejszej daty wszyscy walęsający się Cyganie, zarówno kobiety jak i mężczyźni, pojedynczo jak i w bandach, którzy wkroczą do naszego kraju i mają 16 lub więcej lat, bez względu, czy zostaną przyłapani na występku lub przestępstwie czy nie, nawet jeśli nigdy przedtem nie byli jeszcze na naszych ziemiach albo gdy zostali z nich wydalen, zostali bez wyjątku i bezlitośnie ukarani na szubienicy. Dzieci natomiast, które zostaną przy nich znalezione, zostaną zabrane do najbliższych ośrodków karnych lub psychicznie chorych i natychmiast zostaną przesłuchane przez nasze rządy, urzędy, magistraty w miastach, przez naszych urzędników i władze sądownicze na wsi, tam gdzie takie osoby zostaną pojmane, na temat popełnionych przez nich przestępstw. Akty i rejestry

mają zostać natychmiast przesłane do nas lub do naszego kolegium kryminalnego w dniu ogłoszenia wyroku... Berlin, rok 1726”⁴.

– To stare prawo – odezwał się najstarszy z kłęczących. – Dziś nie król rządzi, lecz cesarz. Nie tylko Prusami, lecz całym cesarstwem.

– A ty myślisz, brudasie, że to coś zmienia? – Uecker podbiegł do mężczyzny, cały czerwony na twarzy, i chwycił go za pomarszczony podbródek. – Już nie tylko zwykli ludzie i wybrani przez nich politycy, ale nawet naukowcy na uniwersytetach piszą o was, że jesteście bezczelnymi nierobami, aroganckimi złodziejami, brutalami i bezczelnymi niezdolnymi do porządnego życia. Kolejne paragrafy już się na was piszą. Takie, które wprowadzimy w całym Niemczech. Zateśknicie jeszcze za biczowaniem, za wypalonymi piętnami. Nawet za szybką śmiercią na szubienicy zateśknicie, brudaszy.

– Jesteś pan właścicielem tego stada gęsi czy katem? – wystękał stary przez ściśnięte usta.

– Zaraz się przekonasz, bezczelny staruchu. – Uecker jeszcze mocniej ścisnął mężczyznę za brodę i odwrócił się do syna. – Otto, nakarmimy pana, pewnie zgłodniał.

Syn posłusznie pojawił się u boku ojca z cienką długą rurką.

– Wiesz, jak się karmi gęsi, cygański złodzieju? Jak się je przekarmia, żeby miały tłuste wątróbki? – pytał starego Roma zasapany Albert Uecker. – Ano tak!

– Zaczął mu wpychać rurkę w usta, pomiędzy wyszczerbione zęby. Staruszek tak się jednak szarpał, że wytrącił narzędzie tortur z rąk Ueckera.

– Taki hardy jesteś, stary rupieciu. Nie masz ochoty na kolację? No to mnie popamiętasz – zamruczał Albert. – Otto, daj nóż.

Młody Uecker posłusznie wręczył ojcu błyszczący metalowy kozik.

– Będziesz miał jedną zmarszczkę więcej, synu kurwy i złodzieja – wysapał Albert, siłując się ze spętany starcem, a potem powoli przekroił mu ogorzały policzek, od ucha do ust.

– Niemiecka świnia – odezwała się młoda dziewczyna. Pozostali kłęczący próbowali ją uciszyć, ale powtórzyła jeszcze głośniejszym głosem: – Niemiecka świnia!

– Synu, zamknij jej jadaczkę – polecił Albert, wskazując zakrwawionym nożem na dziewczynę.

Otto, posłuszny jak marionetka, z nieprzytomnym obliczem lunatyka podszedł do niej i wymierzył siarczysty policzek. Dziewczyna jęknęła i upadła na brudne klepisko.

– Nie tak – rzucił Albert, wskazując na drzwi w bocznej ścianie. – Zabierz ją do komórki i pokaż, kto tu jest panem.

– Ale ojczec... – Otto nagle się ożywił i ściszył głos. – Nie chcę, żeby jakąś francę mi sprzedała.

– Słusznie, synek, słusznie. – Uecker rozejrzał się po swoich pastuchach. – A wy? Któryś z was nie chce za darmo pochędożyć taką ślicznotkę? – spytał, ale oni tylko pospuszczali głowy. Wtedy sam podszedł do leżącej dziewczyny.

– Widzisz, dziwko? Nawet żaden bezzębny pastuch nie chce takiej plugawej, zawszonej kurwy. Odlałbym się na twoją twarz, ale tylko bym ją umył. Nie zasłużyłaś na takie przyjemności.

Nic nie odpowiedziała. W tle słychać było tylko jakieś błagalne mamrotania poranionego starca, jakby prosił dziewczynę, żeby już milczała. Uecker pochylił się i wytarł kozik w jej włosy. Potem oddał nóż synowi, odwrócił się do swoich pastuchów i rozkazał:

– Pogonić mi to całe towarzystwo boso do carskiej granicy i nie żałować kija, jeśli będą się ociągać. A wy – zwrócił się do kłęczących – jeśli jeszcze raz tu się pojawicie, sami albo z waszym zapchlonym taborem, żywi już nie wyjdziecie.

Wychojąc z rudery, Uecker dla większego efektu grzmotnął za sobą drzwiami tak mocno, że omal nie wypadły z futryny.

– Może powinienem wyhodować jakiś gatunek mięsożernych gęsi. Byłby wtedy jakiś pożytek z tych schwypanych Cyganów, nie uważasz? – zapytał syna, krztusząc się ze śmiechu, gdy weszli z powrotem

w śnieżnobiałe morze ptactwa.

Mysłał też o tym pomysle, gdy wieczorem w swoim eleganckim domu stawiał na komodzie w salonie dostarczoną mu przez lyckiego antykwariusza połączoną mechaniczną gęś z niedźwiadkiem dobo-
szem.

ROZDZIAŁ 4:

DOM GRY

Opuszczony dom nad Lycker See⁵, kilkaset metrów od postawionej niedawno miejskiej wieży ciśnień, właściwie niczym specjalnym się nie wyróżniał, może poza dość zadbaną elewacją, na której krata pruskiego muru przeplatała się z płachtami bluszczu. A ponadto gościł okazjonalnie dość charakterystyczne towarzystwo. Było to pięć kobiet, z których parę mogło rywalizować o miano najważniejszej damy w mieście.

Pierwszą była pani Beata – ledwie trzydziestotrzyletnia wdowa po byłym burmistrzu Lyck. To ona sprowadzała do miasta na odczyty i artystyczne wieczory rozmaite – jak to podkreślała – sławy z wielkich miast. Było to określenie raczej na wyrost, bo kilkunastotysięczna stolica Mazur była miastem zbyt małym, by osoby naprawdę wybitne i rozpoznawalne w całych Niemczech chciały tu zajrzeć. Na dodatek wizyty takie wiązały się z niemałymi kosztami, których pani Beata nie miała zamiaru ponosić sama. Do wykładania pieniędzy na jej artystyczny salon nieopodal ratusza nie skłaniał się także lycki magistrat. Pozostały więc Beacie zbiórki wśród miejscowej socjety oraz odziedziczony po mężu kapitał, na który składały się akcje rozmaitych spółek działających w niemieckich koloniach w Afryce.

Pani Gertruda miała pieniądze, którymi mogłaby hojnie wspierać panią Beatę. Niestety, pochodziła z rodziny dusigroszy, którzy dorobili się na handlu drobiem, zaś horyzont ich zainteresowań nie wykraczał daleko poza obręb farm. Trudno więc było skłonić ją do wyłożenia funduszy na wizytę popularnego artysty z Berlina, o którego sztuce nie ma nawet bladego pojęcia. „Można wyjść z kurnika, ale kurnik nie wyjdzie z ciebie” – sarkają znajome za jej plecami. Te jeszcze bardziej złośliwe przeżywały nuworowszkę Kurą Gertrudą. Zresztą charakterystyczne cechy jej wyglądu bardzo temu sprzyjały. Miała ostro zakończony nos, pękatą figurę kokoszy, a na głowie zwykle kapelusik przypominający koguci grzebień. Wyglądała zabawnie, ale miała też zaskakujące – i czasem złośliwe – poczucie humoru, co reszta pań raczyła doceniać.

Jej przeciwieństwo stanowiła najmłodsza w tym gronie, siostra Herta – skromna i cicha, acz nadmiernie otyła zakonnica, która tydzień wcześniej przybyła do Lyck. Powodem jej wizyty było wygranie znacznej sumy pieniędzy na loterii. Kobieta zastanawiała się, na jaki cel charytatywny ją przeznaczyć, i uznała, że dalekie rejony Prus Wschodnich będą odpowiednim miejscem. Należała do żeńskiego konwentu zakonu krzyżackiego, który przetrwał gdzieś w Tyrolu. Stąd wziął się pomysł, by wyruszyć na dawne ziemie rycerzy w płaszczach z czarnym krzyżem, choć dzisiaj zakon zajmował się już tylko dobroczynnością. Herta natychmiast została zaproszona do salonu pani Beaty i do Willi z Pruskim Murem, jak nazywano dom spotkań. Pozostałe damy podejrzewały, że mogła mieć za sobą nieszczęśliwą miłość i inne bolesne życiowe zakrety, jednak ona sama nie zwykła się zwierzać. Najczęściej wspominała o swym gorącym patriotyzmie i wierze w przyszłość wielkich Niemiec, co trudno było uznać za wyznanie osobiste. Podczas pierwszego spotkania wydawała się w tym gronie jedynie ozdobnym kwiatem. „Nadmiernie bujnym i pękatym kwiatem” – podsumowywała w myślach Beata.

Zupełnie inne były dwie siostry, Dorota i Brygida, również należące do pięcioosobowego grona goszczącego w willi. Stosunkowo najbiedniejsze z dam, mogły się pochwalić wspaniałym rodowodem. Sięgał jeszcze krzyżackiego rycerstwa, które porzuciło zakonne habity, by budować nowe świeckie i lutezańskie Prusy. I tyle obie siostry łączyło, reszta już je dzieliła. Począwszy od tego, że jedna była brunetką, a druga blondynką, przez fakt, że jedna nie widziała świata poza swym mężem i Biblią, zaś druga miała za sobą dwa rozwody, a skończywszy na poglądach politycznych. Choleryczki i pieniaczki,

toczyły zażarte kłótnie o rolę kobiety i mężczyzny w rodzinie, o uprawnienia męża do zarządzania majątkiem żony, o prawo do spędzania płodu i dostęp do edukacji, o uczestnictwo niewiast w życiu politycznym oraz inne kwestie społeczne, w których miały zupełnie rozbieżne poglądy. Różnice te manifestowały się spontanicznie podczas gry. Bo damy spotykały się w pustej Willi z Pruskim Murem nie po to, by rozmawiać o przepisach kucharskich i dzieciach lub kontemplować z werandy okoliczną przyrodę z labędziami pływającymi majestatycznie po Lycker See. Kobiety zbierały się tam, by grać. Uprawiać hazard. Nawet siostra Herta dała się namówić na tę „niewinną rozrywkę” (co zaraz wzbudziło szeptanie nowych koleżanek, że może „taka młoda i bogata panna zamierza zrzucić habit”). Była to jednak rozrywka kompletnie nielegalna. Skończyły się czasy, gdy przegrywano fortuny w Baden-Baden i Homburgu. Anno Domini 1900 hazard był już w Niemczech zakazany. A kogo było stać na wyjazdy do Monte Carlo? I to jeszcze z Prus Wschodnich, taki szmat drogi? Pani Beata, która kiedyś z mężem gościła w zagranicznych jaskiniach hazardu, postanowiła urządzić małe Monte Carlo swoim znajomym. Miała przy tym szczytny cel, który w razie kłopotów z prawem, miał stanowić dla niej alibi. Damy w Willi z Pruskim Murem grały w ruletkę i karty, wygrywały pieniądze, lecz nie zabierały ich ze sobą. Wygrane przekazywano na potrzeby organizacji życia kulturalnego w salonie pani Beaty, a więc na cele społeczne. Ruletka w willi kręciła się na cele charytatywne! Beata wierzyła ponadto, że nawet jeśli ktoś by je zadenuncjował i wybuchłby skandal, wyrządziłby zapewne więcej dobrego niż złego. Może wtedy władze łaskawiej spojrzaliby na potrzeby edukacji i kultury w Lyck, a mecenas sztuki nie musieliby się posuwać do takich karkołomnych sposobów zbierania funduszy jak prowadzenie nielegalnego domu gry?

Gertruda nie miała tak głębokich przemyśleń. Ona po prostu miała ciągoty do hazardu. Kochała wygrywać, emocjonowała się straszliwie przy każdej partii. Szczerze wierzyła przy tym, że bogatym ludziom nie może stać się krzywda ze strony państwa i nawet jeśli prawda o małej jaskini hazardu wydzie na jaw, sprawie uda się ukryć leb jak kurze. Co z kolei sądziła siostra Herta, trudno powiedzieć. Wyglądała na zadowoloną ze spotkań w tym kobiecym gronie. Co innego, rzecz jasna, Dorota i Brygida. Dorota lękała się bardzo o swoją dobrą opinię, aczkolwiek czuła się mile polectana towarzysstwem pozostałych lokalnych tuzów. Nie mogła też dopuścić, by tylko jej ukochana i zienawidzona siostra bawiła się w takim elitarnym gronie. W razie wpadki miała przygotowaną w głowie odpowiedź, że nie sądziła, by robiły coś nielegalnego, skoro nikt z grających nie czuje się pokrzywdzony. Jej siostra Brygida była natomiast gotowa wytoczyć znacznie cięższe działa. „Pozbawiacie nas prawa do głosu, do wolnego wyboru, a nawet do dobrej zabawy. Kimże jesteście?” – gotowa była rzucić w twarz policjantom. „Nasi przodkowie grali tu w kości, wydzierając ziemię pogańskim plemionom. Zajmijcie się lepiej prawdziwymi problemami, a zwłaszcza swoimi pijanymi kolegami, śpiącymi w krzakach nad jeziorem, którzy po powrocie do domu urządzają piekło żonom”. Tylko raz podczas ich wspólnych spotkań Dorota wyraziła moralne wątpliwości co do spędzania czasu na hazardzie, nawet w słusznym celu.

– Nie mogę opędzić się od wspomnienia o rzymskich żołnierzach rzucających losy o szatę Chrystusa – stwierdziła pośpiesznie, przekładając żetony z ręki do ręki.

– A ja od wspomnienia o Jezusie, który zadbał o wino podczas ślubu, chociaż mógł psuć zabawę sobie i innym – odburknęła jej siostra.

Kłótnia wisiała w powietrzu. Całkowicie nieoczekiwanie do akcji wkroczyła wówczas nie cicha siostra Herta, bądź co bądź zakonnica, lecz Kura Gertruda. Ku zaskoczeniu wszystkich wyciągnęła z torebki książkę z anegdotami związanymi z grami hazardowymi i zaczęła czytać wybrane fragmenty, wcześniej podkreślone przez siebie ołówkiem.

– Angielski król Henryk VIII, ten od ścinania żon, przegrał kiedyś w kości dzwon z londyńskiej katedry świętego Pawła. Zaś królowie Norwegii i Szwecji grali w kości o jakąś wyspę. Co ciekawe, jeden z nich wyrzucił wtedy siódemkę, bo kość pękła na dwie części, z szóstką i jedynką na wierzchu – zaczęła czytać, zagłuszając kłótnie siostry.

Beata słuchała mile zaskoczona, a po chwili uciszyły się także Dorota z Brygidą. Miały miny, jakby nie spodziewały się, że Kura Gertruda potrafi w ogóle czytać.

– A wiecie, kto wynalazł ruletkę? Francuski filozof Pascal. Używał takiej maszyny do badania niepraw-do-po-do-bień-stwa.

– Chyba prawdopodobieństwa – poprawiła Beata, która jakimś cudem знаła to trudne słowo ze spotkań w swoim salonie artystycznym.

– Nie przeszkadzajmy – uciszyła ją Brygida. – Kontynuuj, Gertrudo. To bardzo ciekawe.

Po tej zachęcie dama w toczku na głowie z namaszczeniem przeczytała jeszcze historię bratanka Napoleona Bonaparte'go, który swego czasu rozbił kasyno w Homburgu. Fortuna uśmiechnęła się do niego, właściciele prawie zbankrutowali. A może wiedział, jak szczęściu pomóc? W tym momencie Kura Gertruda przestała czytać i bez słowa wyjaśnienia schowała książkę. Dalej był bowiem opis różnych systemów gry w ruletkę. Postanowiła zostawić tę wiedzę dla siebie, by ją w praktyce wykorzystać w Willi z Pruskim Murem. Przecież tak kochała wygrywać. Koleżanki szybko jednak domyśliły się, na czym polegał system, któremu zufała. Zakładał, że przy odpowiednio długiej grze wszystkie cyfry powinny wypadać mniej więcej tyle samo razy. Wystarczyło więc notować każdą wylosowaną liczbę, a następnie rozważyć, na co teraz kalkuluje się postawić. Dobrze to było widać po notatkach prowadzonych przez drobiową milionerkę.

– Kura Gertruda może nie znać słowa „prawdopodobieństwo”, ale umie zastosować je w praktyce – szepnęła Brygida Dorocie, dyskretnie wskazując na ołówce i arkusz papieru koleżanki.

– Nie godzi się podglądać notatek innych, to oszustwo – prychnęła w odpowiedzi pryncypalna siostra.

Zresztą nie było o co kruszyć kopii. System Gertrudy najwyraźniej nie działał, bo nie wygrywała wcale częściej od współtowarzyszek. Żadna z nich nie mogła się czuć wybranką Fortuny. Rzadko która triumfowała seryjnie, nieważne, czy obstawiały konkretne numery, rzędy czy kolory. Zwycięstwa rozkładały się raczej równomiernie. Zmieniło się to dopiero po zaproszeniu do Willi małomównej siostry Herty. Ona zwyciężyła zdecydowanie częściej. Najwidoczniej szczęście, które uśmiechnęło się do niej podczas państwowej loterii, sprzyjało jej także przy stole do ruletki. Z niewyraźnym uśmiechem powtarzała wtedy wyświechtany frazes, że „kto nie ma szczęścia w grze, ten ma w miłości”. Spostrzegawcza Beata – najczęściej pełniąc zarazem funkcję krupiera rzucającego kulę do wirującego koła fortuny – zauważyła, że w grze nowej uczestniczki klubu jest pewna metoda. Herta czekała z obstawianiem do ostatniej chwili. Do momentu, gdy Beata ciśnie kulę, ale nie powie jeszcze „*rien ne va plus*”, co oznacza koniec zakładów. „Prawdopodobnie zauważyła, że wrzucam ją za każdym razem z mniej więcej tą samą siłą. Wystarczy więc popatrzeć, przy której części ruletki kulka wpada w wir, żeby stwierdzić, które wyniki są bardziej prawdopodobne” – uznała Beata. Zaczęła więc dyskretnie zmieniać siłę, z którą wrzucała kulę. I faktycznie, Hercie zaczęło iść wtedy gorzej. Beata była wyraźnie usatysfakcjonowana. Lubiła mieć nad wszystkim kontrolę, nawet jeśli nie przynosiło jej to żadnych materialnych korzyści. Poza tym stanowiło to dla niej cenną lekcję, że małomówna siostra nie jest tylko kwiatem w doniczce. Coś ukrywała w swojej młodej główce. Kto wie, może nawet ukrywała diabła pod habitem?

ROZDZIAŁ 5:

KSIĘGA ŚMIERCI

Kilemann pogładził trzy złote zęby w swojej szczęce. Szczególna pamiątka z dawnych czasów. Miał wtedy dwadzieścia kilka lat i po śmierci ojca dorwał się do *Księgi Śmierci*. Ileż to miał pomysłów, co może się w niej znajdować! Zawsze uważał, że jej zawartość musi się łączyć nie tylko z nieboszczykami, ale również z długimi godzinami nieobecności ojca, gdy znikał z sypialni i przenośił się na pół nocy do Azylu. Nie bez znaczenia był też zapewne fakt, że ojciec z lubością zajmował się fotografią. Może więc robił zmarłym portrety? Pozowane pośmiertne fotografie, które pozostałyby na pamiątkę rodzinom nieboszczyków i przypominały o nieobecnych już bliskim? Już jako dorosły Kilemann dowiedział się, jak skomplikowane było wykonanie takich zdjęć. Po pierwsze, zeszytniałe zwłoki ciężko upozować. Póki leżały w łóżku, nie stanowiło to wielkiego problemu – gorzej, gdy należało je posadzić na krześle. Wymagało to używania rozmaitych sznurków i podpórek. Po drugie, jeśli rodzina domagała się, by zmarłego przebrać do sesji fotograficznej, oznaczało to długie szamotanie się ze strojami, które należało jakoś naciągnąć na zeszytniałe kończyny. Po trzecie, ciała zmarłych, a zwłaszcza ich twarze, bywały w różnym – delikatnie mówiąc – stanie. Co zrobić, kiedy widoczny był już rozkład? Użyć maski? Przydałaby się raczej gruba warstwa pudru, podmalowanie oczu i inne teatralne zabiegi. Ale to wszystko bladło w porównaniu z problemami przy fotografii matki z jej nieżyjącym niemowlęciem. Zwykle kończyło się to na rzęsistych łzach i nerwowym załamaniu, przy którym roztrzęsioną kobietę trudno uwiecznić. „Czy tak właśnie dorabiał w Azylu ojciec?” Palce dwudziestodwuletniego Kilemanna zabębniły po *Księdze Śmierci*. „To chyba niemożliwe. Dlaczego wymyślał się do tych prac wieczorem? Zmęczony, bez dostępu do dziennego światła i – co najważniejsze – bez rodziny zmarłego, która chciałaby wykonać z nim pośmiertną fotografię. Nie, to musiało być co innego” – pomyślał. Kilemann przypominał sobie o oszczerstwach, z jakimi spotykali się jego bliscy. „A jeśli w *Księdze Śmierci* są dowody na to, że faktycznie w Azylu działa się rzeczy urągające prawu? Niemożliwe!” Znowu zabębnił palcami po tomach, tym razem nerwowo. Przecież jego bliscy nie mogli okazać się przestępcami! Mieli swoje dziwactwa, ale byli poczciwymi, porządnymi, ciężko pracującymi ludźmi. Nie miał co do tego wątpliwości. Owszem, cenili wisielcze poczucie humoru. Dlatego Kilemann potrafił sobie wyobrazić na przykład, że ojciec w tajemnicy wykonywał dziwaczne zdjęcia, które budziły potem uciechę miłośników makabry – te wszystkie ujęcia ludzi trzymających własne czerepy w dłoniach lub na talerzach, główki lewitujące gdzieś w powietrzu, dzieci pozujące z siekierami obok zdekapitowanej rodzicielki, duchy prześcieradeł unoszące zmarłych do nieba... Był tylko jeden szkopuł: takich zdjęć nie robiło się z nieboszczykami. Po pierwsze, było to niepraktyczne, bo trudno ich ustawić i wydobyć z martwej twarzy jakikolwiek żywy grymas. Po drugie, żadna normalna rodzina nie zdecydowałaby się na takie zabawy ze zmarłym bliskim, to świadczyłoby o całowitej utracie dobrego smaku. A gdyby ojciec Kilemanna robił to tylko z własnej inicjatywy, ryzykowałaby sprawę karną. Oczywiście można sobie wyobrazić, że owe fotomontaże rozpowszechniałby tylko wśród bogatych turpistów – tylko czy ich znał, czy w ogóle istniał taki nielegalny rynek? Za wcześniej było jeszcze na paryski teatr Grand Guignol, na którego scenie pokazywano najczarniejszą makabrę, wszelkie zbrodnie, dziwactwa, obsesje i patologie. Lecz do tego nie potrzebowano pozowanych zdjęć z Azylu, ani nawet ciał skradzionych z kostnic. Wystarczyła odpowiednia scenografia, charakteryzacja aktorów i wprawa w tworzeniu drastycznych iluzji doprowadzających publiczność teatru do młodości.

Kilemannowi nie mieściło się w głowie, by jego ojciec mógł zrobić komukolwiek krzywdę albo wykorzystywać zwłoki do nielegalnych eksperymentów. Lecz jakiś wewnętrzny głos dopytywał: „A gdyby od tego zależał los jego jedynego syna półsieroty i starych rodziców? Nie podjąłby ryzyka? Przecież to tylko martwe ciała, które dla wielu bliskich już nic nie znaczą”. Z tym ostatnim sądem Kilemann zgodzić się nie mógł, aczkolwiek znów nie potrafił zaprzeczyć, że jego ojciec w skrajnej sytuacji zdolny był robić rzeczy dla innych nie do pomyslenia. „Matka tyle opowiadała o tym przypadku ciężarnej kobiety pogrzebanej żywcem, której trumnę kazał rozbić przezorny mąż. Ojciec też zrobiłby to dla niej, gdyby miał jakiegokolwiek podejrzenia i żywił jakiegokolwiek nadzieje. Na pewno nie cofnąłby się. Tylko to nie dowód, że dla jakichkolwiek powodów mógłby naruszać spokój osób sobie nieznanych” – dumął Kilemann. Po czym przestał bębnić palcami po okładce i raptownie otworzył *Księgę Śmierci*. A właściwie pierwszy z jej tomów.

Najpierw zmarszczył brwi. Potem na jego młodym czole pojawiły się bruzdy i pulsujące żyły. Twarz stała się z początku purpurowa, potem zielona, a wreszcie zupełnie biała. Zaczepnął łapczywie powietrza, jakby groziło mu, że inaczej zemdleje. Potem otarł nerwowo pot, który wystąpił mu na czoło. Lektura księgi okazała się bardziej szokująca, niż podejrzewał. Dowiedział się, że jego ojciec przez trzydzieści lat pracy w Azylu skrupulatnie odnotowywał zgony, które uważał za podejrzone. Przypadki, które budziły jakieś jego wątpliwości. Czarny nalot na języku umarłego. Zwłoki wydające specyficzny zapach, odór czosnku. Ciała, które się nadzwyczaj powoli rozkładały. Nieboszczycy, którzy puchli i kraśnieli niczym nachzehrer – upiór z zaświatów opity krwią żywych. Kobiety z sinymi znakami na szyi wyglądającymi jak ślady palców. Kobiety z ranami po biciu. Dzieci z bliźniami. Notatki ojciec uzupełniał rysunkami, szkicami i – czasem – zdjęciami w maksymalnym możliwym zbliżeniu. To właśnie te makabryczne fotografie schowane były w kopertach poutykanych między stronicami ksiąg. Kilemann zaczął w myślach rachować. Średnio jeden tajemniczy przypadek na miesiąc. Dwanaście rocznie. Trzysta sześćdziesiąt przez trzydzieści lat działalności Azylu. „Po co ojciec to gromadził?” – zastanawiał się, a w głowie rodziły mu się najrozmaitsze scenariusze.

Zabrał akta do własnego studenckiego mieszkania. Słusznie, bo dzień później Azyl spłonął. Wyglądało na to, że przyczyną pożaru była awaria kotła centralnego ogrzewania. Na szczęście przybytek był ubezpieczony, więc Kilemann jakoś przeszedł nad tą tragedią, kolejną w swoim życiu, do porządku dziennego. Zajął się własną karierą. Lecz pracowitość, talent i ambicja nie wystarczały, gdy trzeba było konkurować z synami profesorów, młodymi lekarzami z ustosunkowanych rodzin, absolwentami pochodzącymi z bogatych rodzin. Myślał o nich z sarkazmem, bo parę tych znanych nazwisk odnotował ojciec w *Księdze Śmierci*. Ciekawe, czy członkowie rodzin wiedzieli o zmarłych tyle, co on? I czy zdawali sobie sprawę, że niejeden z tych zgonów mógł być przyspieszony przez podduszenie, pobicie albo truciznę? Nawet po tylu latach takie fakty były niewygodne. Sprawcy mogli wciąż żyć, ciesząc się odziedziczonym majątkiem. Gdyby tylko wiedzieli, że ktoś udokumentował ich zbrodnie! Ale nie wiedzieli, a młody lekarz złożył pamiątkę po ojcu w skrytce w banku. Nie zamierzał wracać do tej lektury, aczkolwiek coś podpowiadało mu, żeby nie pozbywał się makabrycznych tomów.

Przełom nastąpił zimą 1865 roku. W syjącym śniegu młody lekarz wracał z pracy do wynajętego mieszkania. Mniejszego niż wcześniej, bo z trudem opłacanego z tego, co zostało mu ze spadku po rodzicach i z ubezpieczenia za spalony Azyl. I już bez gosposi w wieku balzakowskim, która z dobrego serca świadczyła medykowi usługi nie tylko kulinarne. Zarabiał zbyt marnie, by mógł sobie pozwolić na takie życie. Doszedł już pod swoją kamienicę w obskurnej uliczce, gdy zbliżyła się jakaś potężna postać w pelerynie.

– Już zmierzcha. Czy zgubiłeś drogę, człowieku? – zapytała i nim Kilemann zdążył cokolwiek powiedzieć, wymierzyła mu straszliwy cios krótką pałką.

Młody lekarz w okamgnieniu stracił przytomność. Nie widział ani nie czuł, gdy napastnik zarzucił go sobie na ramiona i wniósł do czekającego w pobliżu powozu.

Unosił się w nicości, a potem poczuł potworny ból, gdy odzyskał przytomność. Siedział spętany na krześle w ciemnej celi, naprzeciw sapiącego draba o kwadratowej szczęce. Tego samego, który wymierzył mu cios. Kilemann nie znał tego mężczyzny, nigdy wcześniej go nie widział.

– Chyba zaszła jakaś pomyłka? – wymamrotał, powoli ruszając ustami.

– Wręcz przeciwnie. Ja i moi ludzie dbamy o porządek w tym państwie – odezwał się ktoś za plecami Kilemanna. – A ty jesteś dla niego zagrożeniem – dodał.

Spętany próbował się odwrócić, by zobaczyć, czyj to głos. Niestety, oparcie krzesła skutecznie to uniemożliwiało.

– Jakie ja mogę stanowić zagrożenie? – Kilemann starał się zachować spokój. – Jestem tylko lekarzem. Zwariowaliście?

Wtedy napastnik uderzył go w szczękę. Coś potwornie zachrzęściło, a Kilemann krzyknął krótko i głośno.

– Ostrożnie ze słowami – rzucił osilek. – Chyba że znów chcesz, żeby zabolalo. Rozumiesz?

Kilemann pokiwał głową.

– Dłacego tu jestem? – wyseplenił, a w ustach poczuł krew i odłamki zębów.

– Zanim do tego dojdziemy, wiedz, że nikt nie widział, jak tu cię wnosiliśmy. I nikt nie musi widzieć, jak stąd wychodzisz – rzekł Głos.

– Wolałbym wyjść – odważył się wybełkotać obolały Kilemann.

– Podobna mi się twoja postawa. – Głos był ukontentowany.

– Co mam zrobić? – Więzień marzył już tylko o tym, żeby wydostać się z tej ciemnej, zatęchłej piwnicy. Odzyskać życie i wolność.

– Pamiętasz, jak spłonął zakład twoich rodziców, Kilemann? – spytał Głos.

– Zzze co? – zdziwił się lekarz. – Tak, oczywiście.

– To był paskudny pomysł – stwierdził Głos.

– Pomysł? – Kilemann był jeszcze bardziej zaskoczony. – Cyli ktos podpalił go celowo?

– Oczywiście. Wiesz, że twój ojciec był szantażystą?

– Jak to? To obelga!

Osilek w okamgnieniu znalazł się przy Kilemannie i szarpnął go za włosy.

– Ty więcej słuchaj, mniej pyskuj!

Kilemann syknął z bólu, a potem pokornie pokiwał głową i wybełkotał:

– Po prostu nic o tym nie wiem.

– Pewnie byłeś za młody – wykazał zrozumienie Głos. – Wiedz, że gdyby nie pieniądze z wymuszeń, wasz Azyl dawno by zbankrutował. Przecież ta instytucja nie miała sensu, nie miała racji bytu. Nikt nigdy tam się nie wybudził ze stanu pozornej śmierci, z letargu czy jak to się nazywa. Twój ojciec dokumentował podejrzone przypadki zgonów, a potem pojawiał się u rodzin, żądając okupu za milczenie. W przeciwnym razie groził upublicznieniem zdjęć i zapewniał, że podzieli się swoimi odkryciami z prasą.

– Trudno mi w to uwierzyć – wydukał Kilemann. W głowie miał mętlik. „Więc to tak! Słusznie domyślałem się, że ojciec nie stworzył *Księgi Śmierci* bez powodu. Mój tatuś okazał się niezłym ziółkiem. Cię-kawe, czy babcia i dziadek też wiedzieli” – pomyślał zaskoczony.

– Nie zmienia to faktu, że dopóki twój ojciec żył, trzymał w szachu kilka rodzin. Ci, którzy już mu się opłacili, de facto zastraszaali pozostałych. Powstało paskudne, ale bardzo trwałe status quo. Gdy twój ojciec zmarł, szantażowani wpadli w panikę, że ich spokój pryśnie. Bali się, co dalej. Dlatego puścili z dymem Azyl.

– Wiesz. – Kilemann przełknął krew i ślinę. – Ale w cym mogę pomóc?

– O, to właśnie chciałem usłyszeć – zaśmiał się Głos. – Bardzo szybko mi uwierzyłeś. Więc może te dokumenty nie spłonęły, he?

Kilemann nie wiedział, co powiedzieć. Wtedy jego głowa znalazła się w imadle łap osiłka.

– Nie! – wrzasnął. – Pamiętam parę zeszytów...

– Tak? – pospieszał go Głos.

– Zachowały się. Nie potsebuję ich... Wszystko oddam, tylko mnie puście – zapewniał Kilemann.

– Bardzo dobrze. – Głos był zadowolony. – Gdzie je masz?

– Nie w moim mieszkaniu.

– To przecież wiemy! – zaśmiał się Głos, a drab wyszczerzył zęby. – Musieliśmy to sprawdzić i narobiliśmy trochę szkód. Ale współpraca z nami będzie ci się opłacać, doktorze.

– To znaczy? – wybąkał Kilemann.

– To znaczy, że nie tylko przeżyjesz, ale jeszcze na tym się dorobisz. Warto, żeby w cesarstwie promowani byli ludzie, którzy wiedzą, co jest dobre, a co złe. Nie uważasz? – spytał Głos.

Kilemann potwierdził. Zawarł pakt z diabłem. I oddał mu tomy z *Księgi Śmierci*. Wszystkie. Aczkolwiek nie ze wszystkimi stronicami. Wyrwał kartki z kilkoma prominentnymi przypadkami i zebrał w jeden zeszyt, który sobie zostawił. Nigdy z niego nie skorzystał. I wyglądało na to, że nie skorzysta. Głos i jego ludzie dotrzyмали słowa. Wspierali Kilemanna, a on robił karierę – mimo braku rodzinnych koneksji i pieniędzy. Zaczął wręcz zapominać o Głosie i o Księdze. Zwłaszcza gdy po latach kariery lekarza sądowego postanowił odpocząć od zbrodni i trupów, więc przeniósł się na wschód, w zdrowsze rejony Cesarstwa Niemieckiego. Na Mazury.

ROZDZIAŁ 6:

MAUER

Hazardzistki zbierające się w Willi z Pruskim Murem wiedziały, że ich mężczyźni – mężowie i kochankowie – mieli w tym czasie spotkania we własnym gronie. Wcale nie próżnowali, gdy ich damy się bały. Kochanek Beaty oraz mężowie Gertrudy i Doroty stworzyli w Lyck stowarzyszenie, który nazwali Klubem Dobrego Porządku. Między sobą nazywali go w skrócie MaUeR⁶, od pierwszych liter swoich nazwisk Mayer-Uecker-Rahm. Znali się od dawna, jeszcze z lat gimnazjalnych.

Wspomniany już Wilhelm Mayer był postacią bardzo poważaną w mieście. Urodził się na Mazurach, wyjechał z Lyck, by wykształcić się na architekta, a następnie przez lata pracował w wielkich miastach. Nad mazurskie jeziora wracał tylko podczas urlopów. Z czasem wakacje stawały się coraz dłuższe. Wreszcie tuż przed pięćdziesiątką Mayer postanowił wrócić do Lyck na stałe. Uwił sobie gniazdko w pięknej willi nad jeziorem, z której wyfruwał czasem na spotkania z panią Beatą. Bywała w świecie, atrakcyjna wdówka była idealną partią dla mężczyzny opuszczonego przez żonę, która wybrała życie daleko za granicą. A on onieśmiał innych konkurentów, choćby chudego inżyniera, któremu wydawało się, że jest nie wiadomo kim, bo nadzorował w Lyck świeżo wzniesioną wieżę ciśnień. Przy wykształconym i obytym Wilhelmie był jednak tylko szarą myszką.

Kolejnym członkiem MaUeR-a był młodszy od Mayera o trzy lata i również nam już znany Albert Uecker, miejscowy król gęsiny. Od dzieciństwa przyuczony do kupiectwa przez ambitnego i rzutkiego ojca, handlarza dziczyzną i rybami, dorobił się na gęsinie. Powiedzieć, że znacznie rozszerzył rodzinny interes, to jakby nie powiedzieć nic. Chyba nikt nie spodziewał się, że ten gimnazjalny nieuk i notoryczny wagarowicz odniesie taki życiowy sukces. Jeśli ktoś widział stada białych ptaków drepczących po polach pod Lyck przy granicy z Kongresówką – a właściwie z Imperium Rosyjskim, bo Królestwo Polskie władze carskie najchętniej postrzegały już tylko jako Kraj Nadwiślański – to mógł być pewien, że przynajmniej część z gęgających stworzeń tyje i składa jaja, aby Albert i Gertruda Ueckerowie mogli pomnażać swe zyski. Stać ich było na paskudny automat z gęsią i grającym miśkiem. Wprawdzie Uecker rzadko widywał, jak ptak rozkłada skrzydła, a niedźwiadek bije w bęben, bo sporadycznie spędzał czas w domu, lecz i tak wyglądał na zadowolonego z zakupu.

Ostatni z trójki mężczyzn – najmłodszy, bo czterdziestodwuletni – Leopold Rahm był lekarzem. Jego starszy brat Uwe uczył się w gimnazjum z Mayerem i Ueckerem. Już wtedy, przed laty, Leopold miał do czynienia ze starszymi kolegami. Znajomość z nimi odnowił po nieszczęśliwej śmierci brata podczas fatalnych morskich wakacji na Helgolandzie. „Murzyni go zabili” – utyskiwała czasem żona Rahma Dorota, a lekarz podpisywał się pod tym pokrętnym sposobem myślenia. Chodziło o to, że Helgoland – wyspa na Morzu Północnym – aż do roku 1890 należał do Wielkiej Brytanii, kiedy to Anglicy przekazali ten strategicznie położony kawał skały Niemcom w zamian za uznanie wpływów w Afryce: na wybrzeżu Kenii, w Ugandzie i Sudanie. Uwe Rahm wybrał się na wakacje na Helgoland i tam utonął podczas kąpieli. Skromny urzędnik po prostu przecenił swoje umiejętności pływackie i nie docenił zimna Morza Północnego.

Znajomość trzech panów odświeżona na pogrzebie – jakkolwiek groteskowo to brzmi – z czasem przerodziła się w zażyłą przyjaźń. Zaczęło się od wspólnego łowienia szczupaków i polowań na dziki. Potem były wycieczki do garnizonowego klubu, wieczory w wesolych willach na Szybie, reńskie wino w najlepszych lokalach, a czasem po prostu piwo u pięknej Reni w knajpcie pod dworcem kolejowym. Z każdym spotkaniem coraz bardziej jasne stawało się, że panowie mają bardzo zbliżone i dość kla-

rowne poglądy na temat tego, co powinny zrobić władze miejskie w Lyck. Ograniczyć wólcęgostwo nad jeziorem. Ukrócić pijatyki z udziałem żołnierzy. Zapanować nad niemoralnymi treściami pojawiającymi się w lokalnej prasie, w przedstawieniach teatralnych i na festynach. Ganiać ulicznych złodziejasków. Tępić „koszarowy”, czyli prostytutki odstraszać spod garnizonu porządných ludzi. Unowocześniać infrastrukturę. Zainwestować w nowoczesną kostnicę miejską. Ukrócić napływ czasowych robotników z Kongresówki. Promować używanie języka niemieckiego podczas targowisk. Karać handlujących za używanie polszczyzny. Współpracować tylko z tymi duchownymi, którzy zachęcają Mazurów do używania w modlitwie języka niemieckiego. Zakazać druku i rozpowszechniania gazet w innych językach niż niemiecki. Wyrugować z Lyck żydowski handel, żydowskich wydawców i lekarzy. Słać listy gdzie się da, żeby w jednostce wojskowej nie można było usłyszeć innego języka poza niemieckim. Starczy, że niegdyś w stacjonującym w Lyck tzw. bośniackim regimencie kawalerii służyła słowiańska i mahometañska hałastra. Nigdy więcej! Od słowa do słowa, panowie założyli Klub Dobrego Porządku, a między sobą używali nazwy MaUeR. Grupa owa nie miała żadnego umocowania prawnego, poza widzimisię trzech panów, których inicjały posłużyły do stworzenia skrótó. Wzorowali się przy tym na założycielach Związku Popierania Niemczyzny w Marchiach Wschodnich, czyli Hakaty – Hansemannie, Kennemannie i Tiedemannie. Panowie tworzący MaUeR chcieli być opiniotwórczą grupą nacisku, która wpływać będzie na bieg wydarzeń w Lyck. Pukali do burmistrza, pisali i wydzwaniali do dziennikarzy, pielgrzymowali do parlamentarzystów, którzy uzyskali największe poparcie wśród mieszkańców Lyck, organizowali własne wiece przy okazji świąt państwowych. W miarę jak MaUeR się umacniał, jasne stawało się, że zmiany w mieście nigdy nie powiodą się bez pewnych zmian w samym cesarstwie, bez odpowiednich ruchów i sygnałów ze strony Berlina. Wtedy Mayerowi, Ueckerowi i Rahmowi coraz częściej zdarzało się dyskutować na temat spraw daleko wykraczających poza Lyck i Prusy Wschodnie. Na przykład: czy nowe wielkie Niemcy potrzebują bardziej rozległych kolonii w Afryce? Skoro król małutkiej Belgii ma olbrzymie Kongo, to czy Niemcom nie należy się odpowiednio więcej? Czy nie zostali pokrzywdzeni, a międzynarodowych konferencjach, które pokroiły Afrykę, jak się Niemcom zdawało, dość niesprawiedliwie? Inna sprawa, jak tymi koloniami zarządzać. Ważniejsze jest, by zamienić miejscowe plemiona w chrześcijan czy w posłusznych wykonawców woli Berlina?

– Skoro Belgowie zbijają tam fortunę, wyciskając siódme poty z Kongijczyków, to dlaczego my, Niemcy, mamy być gorsi? – argumentował Uecker.

– Albercie, różne rzeczy można przeczytać o tym, co Belgowie tam wyrabiają. Mordowanie bezbronných nie mieści się w ramach misji cywilizacyjnej, jaką Niemcy niosą od pokoleń! – Mayer kręcił siwą głową.

– Jesteś pewny, że tak wygląda? Byłeś tam, widziałeś? Pismacy lubią wymyślać niestworzone historie. Zabijanie dzieci, gwałcenie kobiet, obcinanie rąk, egzekucje po wioskach... To się świetnie sprzedaje w prasie. Lecz czy to ma miejsce, czy to liczne przypadki? O moich gęsiach też pisano, że hodują je w nieludzkich warunkach. Zaraz, zaraz, a czy gęsi to ludzie? – zarechotał Uecker. – Czy pigmeje i inne małpoksztaltne plemiona afrykańskie to tacy sami ludzie jak my, Wilhelmie? Bez białego patrona nigdy nie będzie u nich postępu cywilizacyjnego. Tak samo zresztą jest z Cyganami...

– Postępn pod trzaskiem bata albo przy świcie katowskiego topora źle mi się kojarzy – mruzczał Mayer.

– No dobrze. Nawet jeśli Belgowie faktycznie są okrutni w Kongo, my tacy w swoich koloniach być nie musimy. Specjalnie dla ciebie.

– Oczywiście, że nie – przytaknął emerytowany architekt. – Nie mam nic przeciwko naszemu rozwojowi kolonialnemu. Żywiól niemiecki nie mieści się już w Europie, w tym kretowisku. Potrzebujemy przestrzeni życiowej. Dlatego nawet z Pasa Caprivięgo się cieszę.

– Czy aby? – podchwycił Uecker.

– Koledzy, zlitujcie się... – próbował przerwać rozmowę Rahm, dotychczas w milczeniu wypalający cygaro. – Gdyby nie ten przekłęty pasek ziemi, to mój brat może jeszcze by żył.

Mayer chrząknął z zakłopotaniem. Chodziło o długi i wąski pas ziemi w południowej Afryce, pięćset kilometrów na trzydzieści, dzięki któremu niemiecka kolonia w Deutsch-Südwestafrika² zyskała połączenie z wielkimi akwenami: rzeką Zambezi i jeziorem Livingstone'a⁸. To między innymi o ten szmat ziemi chodziło w nieszczęsnym traktacie brytyjsko-niemieckim: gorący południowy Pas Capriviego, obok zimnego północnego Helgolandu, zyskali Niemcy w zamian za pewne ustępstwa wobec Anglii.

– Przepraszam, Leopoldzie. Wiemy, że dotyka to ciebie osobiście... – zachnął się Uecker.

– Owszem, dotyka. Podejrzewam, że ta afrykańska kieszka do niczego sensownego nam się nie przyda. Podobnie ta morska skała, przy której utonął mój braciszek. – Rahm zaczął machać w powietrzu pięścią, w którą zwinął swoje długie i delikatne palce lekarza.

– Otóż obie się przydadzą – zapewnił Uecker. – Taka morska baza jak Helgoland będzie skarbem dla naszej floty u brzegów północnej Europy. A pas wywalczony przez kanclerza Capriviego pomoże się utrzymać naszej Deutsch-Südwestafrika. Pełno tam jakichś dzikich czarnych buntowników, pełno piachu, a wody mało.

– Żeby to się nie skończyło jak nad Tanganiką, gdzie musieliśmy posłać żołnierzy i ich potraciliśmy – podchwycił Mayer. – Znałem oficera, który tam poległ ze swoimi ludźmi. Kapitan Emil von Zelewski⁹, świeć Panie nad jego duszą. Miałem z nim do czynienia w Posen¹⁰, nim zaczął służyć w Afryce. Zapowiadało się, że zrobi wielką karierę. Ale nad Tanganiką szczęścia nie miał. Ganiał tubylców, palił im wioski, zabijał kogo trzeba, ale zabrakło ostrożności. Jechał na czele kolumny swoich żołnierzy, gdy jakiś smarkacz z wrogiego plemienia przebił go dziądą. Zelewski miał ledwie trzydzieści siedem lat. I poległ, jadąc na osle, nawet nie na koniu! Ponoć rodzina strasznie się wstydzi. Jak zmasać taką hańbę? Będzie to na nich ciążyło przez pokolenia.

– No, śmierć w walce z prymitywnymi plemionami chluby nie przynosi. To prawdziwy pech: zginać z rąk rasy niższej od naszej, co do czego naukowcy nie mają przecież wątpliwości. Pech... – Uecker pokręcił głową.

– A już myślałem, że bardziej interesują cię rasy gęsi, Alberciku. – Rahm wcisnął wypalone cygaro w popielniczkę.

Uecker prychnął, obrażony.

– To się zdziwisz, Poldi. Bardzo dużo czytam, odświeżam umysł i będę jak brzytwa. Zobaczysz.

– Panowie, spokojnie – interweniował Mayer z miną człowieka, który rozsądzał już spory mędrków większego kalibru niż dwóch małomiasteczkowych bismarcków.

– Ależ ja się wcale nie denerwuję – odparł Rahm, chociaż jego dobrze zarysowane, kościste policzki były wciąż zaróżowione. – Po prostu uważam za groteskowe dyskusje o Afryce tutaj, w Prusach. W Wielkopolsce i na Pomorzu działa z powodzeniem Komisja Kolonizacyjna, wykupująca ziemię z polskich rąk. A my tutaj nie potrafimy sobie poradzić z garstką mazurskich wieśniaków, którzy uparli się klepać zdrowaśki po polsku. Nie potrafimy ostatecznie ugruntować naszej niemieckiej dominacji tutaj, a myślimy o rzece Zambezi i dzikich ludach z Kalahari. To absurdalne.

– Aż dziwne, że nie wybrali cię na kanclerza po tej przemowie – mruknął Uecker.

– Trzeba ściągać sympatyków Hakaty do nas. Berlin, Posen, Allenstein¹¹, Lyck – to jest kierunek działania niemieckich patriotów. A nie Pas Capriviego, jazda na osle od Atlantyku do jeziora Livingstone'a, palenie wiosek czarnych i opędzanie się od dziąd – perorował z zapałem Rahm, aż spod jego przylizanych włosów zaczął płynąć pot.

– Chyba przesadzasz – stwierdził Mayer. – Ale tylko trochę, przyznaję.

Serdecznie poklepał Rahma po spoconych plecach, a i Uecker w końcu przyznał koledze rację. Powinni działać tu i teraz, w sprawach nie tylko lokalnych. Nazwa MaUeR zobowiązywała.

ROZDZIAŁ 7:

KRAKANIE

Mayer był architektem ceniącym neoklasycyzm. Czasem tylko porzucał inspirowane antykiem formy na rzecz średniowiecza. Neogotyckie wieże, czerwona cegła, mur pruski – to także mu w duszy grało. I w tym stylu jego zdaniem należało odbudowywać i rozbudowywać Posen po katastrofalnej powodzi w roku 1888. Kiedy pod koniec stulecia pojawił się w Europie nowy prąd, zwany secesją, Mayer gorąco próbował mu się przeciwstawić. Im bliżej przełomu epok, tym bardziej uświadamiał sobie, że sprawa jest przegrana. Posen, Bromberg¹² i Breslau skazane były na pożarcie przez miłośników miękkich linii, długowłosych kobiet, roślinnej ornamentyki i fantazyjnych balustrad – bo tylko z tym kojażyla mu się owa *art nouveau*, promowana zwłaszcza przez Wiedeń. Nie przyszło mu do głowy, by secesję połączyć z pruskim murem, jak kilka lat później zrobiono to w projekcie Kamienicy Pod Żabami w Bielitz-Biala¹³. Mayer nie zamierzał poddać się nowym prądom, usztywnił się i zamknął w skorupie tego, co lubi. Najpierw zajął się projektami strictly inżynieryjnymi, a potem z coraz większym zapalem oddawał się polityce oraz swemu hobby. Jako miłośnik neoklasycyzmu nie tylko kochał odniesienia do antyku, lecz także chłonał starożytną historię. Potrafił godzinami zanudzać znajomych i przyjaciół anegdotami o Archimedesie. Z zapalem i natchnieniem godnym proroka nowej religii opowiadał o oblężeniu Syrakuz, podczas którego antyczny mędrzec nieomal sam jeden dawał odpór rzymskiej flocie.

– Wyobraźcie to sobie tylko. Jest noc. Przez otwór w murze, mimo mroku, syrakuzkańscy wartownicy zauważają ruch na morzu. To rzymskie okręty. Płyną spokojnie, dostojnie, pewne siebie, nieniepokojone przez sycylijskich wojowników, obsadzających umocnienia wzdłuż brzegu portu. Sześćdziesiąt rzymskich pięciorzędowców nawet w nikłym świetle pochodni stanowi imponujący widok. Są masywne, budzą respekt. Pełne zastępów legionistów gotowych wdrzeć się na mury. Wyposażone we wszelkie maszyny oblężnicze, mające im to zadanie ułatwić. Statki pierwszej linii Rzymian są połączone ze sobą tak, że poruszają się tylko siłą zewnętrznej pary wiosel. Nie mają na masztach żagli, obciążone są za to katapultami i inną bronią, mającą zmieść Syrakuzan z murów. Szykują też wysokie drabiny i pomosty, poruszane na linach i dźwigniach. Chcą podpłynąć tak blisko murów miasta, by maszyny sięgnęły ich szczytu. Wtedy po szczeblach drabin i deskach pomostów wdrą się tam ciężkozbrojni żołnierze. I wówczas miasto padnie! – W tym miejscu Mayer teatralnie zawieszał głos. – Na szczęście Syrakuzy mają swego geniusza, Archimedesa. Na jego znak obrońcy pokazują pazury. Najpierw z otworów w środkowej części murów leci w stronę rzymskich okrętów mrowie oszczepów i strzał, kosząc całe szeregi ściśniętych na pokładach legionistów. Ludzie padają jak muchy. Chybcóż się, wśród wrzasków rannych i tonących za burtą, okręty suną jednak niezłomnie w stronę murów. Wtedy zasypują je wystrzeliwane z katapult i balist rozmaitych rozmiarów kamienie i ołowiane kule. Począwszy od niewielkich, zdolnych rozłupać czaszkę, poprzez większe, które mogły zdmuchnąć z pokładu kilku żołnierzy albo pogruchotać skomplikowane maszyny oblężnicze, kończąc na olbrzymach potrafiących przebić kadłub i błyskawicznie doprowadzić do zatopienia statku. A to jeszcze nie koniec przygotowanych dla Rzymian niespodzianek. Jakby mało było grotów i kamieni, statki i ludzie oblepiaty wyrzucane z katapult płonące kule smoły, które co jakiś czas wzbijały się malowniczo w górę, a spadając, napawały rzymskie załogi grozą. Tyle że kilka okrętów dotarło, mimo zabójczego ostrzału, pod same mury. Gdy nie pomogły staczane z umocnień gigantyczne kamienie, w stronę statków wysunęły się z murów dźwignie zakończone przedziwnymi ni to kotwicami, ni to łapami. Zgrzytając i szcękając, opadły na rzymskie pokłady i natychmiast je przebiły. Łapy zaciskały się mocno na dziobowych

deskach okrętów, a później łańcuchy ruszały do góry. Podnosiły statki coraz wyżej, odrywając całkiem od powierzchni wody, a potem, niczym otrząsający się z wody pies, zrzucały gwałtownymi ruchami rzymskich żołnierzy w morską toń. Na koniec łapy nagle puszczały statki, a te, opustoszałe już, z trzaskiem spadały w fale, nabierając wody i miażdżąc załogi wyrzucone za burtę...

W podobny kwiecisty sposób Mayer przedstawiał kolejne pomysły geniusza z Syrakuz. Podejrzewał przy tym, że Archimedes mógł korzystać z arsenału opracowanego przez innych znanych mu uczonych. Na przykład z aerotononu, wymyślonego przez Ktesibiosa z Aleksandrii. Był to niezwykle miotacz kamiennych pocisków, w którym pracę łuków i strun, wykonanych z kobiecych włosów, wspomagało powietrze. Było ono sprężane przy napinaniu cięciwy w specjalnych pojemnikach przy pomocy tłoków. Wystrzelony pocisk szybował daleko i spadał, rozsypując szyk żołnierzy jak rząd dziecinnych zabawek. Kolejną bronią wyprzedzającą epokę był polybolon, skonstruowany przez Dionizjosa, także z Aleksandrii. To rodzaj miotacza strzał, w którym kolejne pociski dostarczane były do wyrzutni automatycznie ze specjalnego podajnika, za pomocą łańcucha. Najbardziej rozbudzała jednak wyobraźnię Mayera superbroń będąca autorskim pomysłem Archimedesza. Skoncentrowany promień słoneczny palący rzymskie okręty.

– Wyobraźmy sobie syrakuzzańskich wojowników na murach, trzymających w dłoniach wielkie zwierciadła albo po prostu duże, wypolerowane miedziane tarcze. Promienie słońca padały na nie i odbijały się jak od luster, setki zajęczków biegały po pokładach i załogach nadpływających rzymskich okrętów. Gdyby jednak skupić te promienie w jednym miejscu... Pewne źródła historyczne twierdzą, że doprowadzało to do zapalenia się okrętów! Cóż za genialny pomysł!

Meyer aż podskakiwał z emocji. Pewnie dlatego już od dzieciństwa tak kochał puszczać lusterkiem zajęczki. Nie spalił jednak przy ich pomocy nawet komara. Pomysł z wielkimi zwierciadłami wydawał się na tyle genialny i niewiarygodny, że Mayer – architekt i inżynier – postanowił w końcu sprawdzić, czy uda mu się go zrealizować. Opracował szereg modeli, zapisał dziesiątki stron, rozrysował tuzin planów, aż w końcu przeszedł do eksperymentów. Niewiele z nich wyszło, ale nie tracił nadziei. Zawodowi historycy, z którymi się kontaktował, przekonywali go, że jedyną starożytną „ognistą” bronią – choć bez porównania bardziej prymitywną – mógł być miotacz stosowany w starożytnej Grecji. Składał się z prostej drewnianej rury obitej żelazem, z miecha oraz kotła wypełnionego żarzącym się węglem, smołą i siarką. Pompa podawała do rury łatwopalny płyn, doprowadzany z wielkiego kotła specjalnym lejem. Na drogim końcu rury płonął żagiew, więc płyn buchał stamtąd szerokim, ognistym jęzorem. Daleko od tego do eleganckich promieni śmierci Archimedesza. Mayer nie mógł więc tego zaakceptować. Jego pasja zaczęła też powoli irytować żonę. Ona widziała w tych opowieściach nie cudowne bronie, lecz cierpiących ludzi. Wyobrażała sobie, jak pali się człowiek. Jak rzuca się i wyje. Wyobraźnia podpowiadała wrażliwej pani Helenie Mayer, co się z płonącym człowiekiem dzieje. Ubranie przyklejało się do ciała, włosy skwierczały, skóra sprawiała niewiarygodny ból. Wreszcie nieszczęśnikowi pękały oczy, mózg odmawiał posłuszeństwa, a wierzgające ciało wiotczało. Wkrótce zostawało z niego tylko wypalone truchło, złożone z resztek tkanin i metali, kości i popiołu. Kiedyś był człowiekiem, a teraz wyglądał jak pęknięta szczapa wyjęta z wygaszonego ogniska. Wołała więc, kiedy mąż opowiadał o wynalazkach Archimedesza niezwiązanych z militariami. Także dzieci, a para dochowała się czterech córek, nie chciały słuchać o wojnach. Ani nawet o śrubach, wielokrążkach, hodometrach i planetariach. Lubiły za to opowieści o tym, jak Archimedes rozpracował naukowo nierzetelnego złotnika, który oszukał go przy wykonaniu korony, rzekomo ze szczerzego złota, a w rzeczywistości z domieszką srebra. O tym, jak wyskoczył z wanny po wielkim odkryciu, krzycząc „Eureka”. O przypominających łamiągłówki zabawach z figurami geometrycznymi i wielościanami, które geniusz tak kochał projektować. O tym, jak wymyślał cuboctahedrony, icosahedrony, rhombicuboctahedrony, rhombicosidodecahedrony oraz inne jeszcze rodzaje sześćo-ośmiościanów, sześćo-ośmiościanów rombowych i podobnych figur o nazwach łamiących języki.

Kiedys jednak spędził Mayer wieczór we francuskim kasynie u boku atrakcyjnej kobiety, która wojny się nie bała. Potrafiła i chciała słuchać o wynalazkach morderczych. I o tym, ile można na nich zarobić. A kiedy leżeli w łóżku po wspólnie spędzonej grzesznej nocy, pytała go bezczelnie z bałamutnym uśmiechem, czy to, iż Mayer dorobił się tylu córek, znaczy, że Archimedes nie umiał wymyślić jakiegoś środka przeciw ciąży albo metody na płodzenie synów. Wilhelm ani nie wyczuł marnego dowcipu, ani się nie obraził. Wręcz przeciwnie: zaczął opowiadać, jak w starożytności zbijano fortunę na hodowli i sprzedaży sylfionu – zioła służącego do sporządzania mikstur, dzięki którym kobiety unikały niechcianych ciąży.

– A cóż to takiego? – zainteresowała się kochanka.

– Tego nikt nie wie. Zioło było tak popularne, że jego dzikie zarośla już w starożytności zanikły.

– To się nim nie zajmujemy – przerwała i zamknęła mu usta pocałunkiem.

Powtarzała to wielokrotnie.

– Dobraliśmy się jak kulka i numer na kole ruletki. Mieliśmy szczęście – powiedziała mu, przewracając się w puchowej pościeli. – To wydaje mi się prawie nieprawdopodobne.

– Prawdopodobieństwo zawsze da się wyliczyć – odparł z uśmiechem, ale zaraz spochmurniał. – Szkoda, że oboje nie jesteśmy wolni. To byłoby jeszcze większe szczęście.

– Nie musimy być wolni, żeby być blisko – odpowiedziała.

Powrót do Lyck nie był dla Wilhelma Mayera łatwy.

– To zaszra na dziurę – mruzczał.

Kamienice przemieszane z drewnianymi ruderami. Śmiechu warte targowisko zamiast rynku. Zamek, który nadawał się tylko na więzienie. Mazurskie chałupy wyglądające jak lepianki. Liche ulice, nuda i prowincjonalizm. Miasto, uchodzące za stolicę Mazur, które dopiero niedawno zaczęło korzystać z dobrodziejstw kolei. Które nie dochrapało się jeszcze prawdziwego teatru, choć mieszkańcy chętnie spędzali czas na śmierdzącym gnojem targowisku, oglądając pchli cyrk. „Kiedys wydawało mi się, że wielkie stolice świata stoją przede mną otworem. Dziś wystarczy mi towarzystwo w pościeli, wygodny fotel i codzienna gorąca kąpiel” – pomyślał z goryczą wielki architekt. Żeby całkiem nie zgnusnąć, spotykał się czasem z dawnymi kolegami z Lyck, Rastenburga i innych miast, w których nauka (a może odkrycia dokonywane podczas ich młodych lat przez Schliemann, o których czytali w gazetach) zaszczerpiła miłość do antyku. Jego znajomi z MaUeR-a wydawali się na to odporni. Ba, Rahm reagował na te tematy z dużą niechęcią. Wręcz alergicznie. To mogło tłumaczyć koszmar, który nawiedził Rahma pewnej nocy. Występowali w nim znajomi z Klubu Dobrego Porządku. Siedzieli na sofach w sali pełnej mozaik i popiersi filozofów, dyskutując i pijąc. Całkiem jak na greckim sympozjonie.

– Myślę, że czas już, moi drodzy – zwrócił się we śnie do kolegów Mayer – trochę się rozerwać. Mamy tu przygotowaną niezwykłą sztukę, niezwykłą sztukę, niezwykłą sztukę...

Jak to we śnie, słowa mogły być powtarzane w nieskończoność, czas zwalniał i przyspieszał, czasem przeskakiwał. Rahm nie mógł się wybudzić, wciągany w sen niewidzialnymi mackami. Rzymianin Mayer krzyknął coś po łacinie i przed sofami pojawiła się grupa aktorów mających umilić im wieczór. Nosili wymyślne maski, lecz spod strzępów strojów widać było prześwitujące gibkie, piękne ciała. Uecker, z głową przystrojoną, nie wiadomo czemu, w wieniec laurowy, aż zaklaskał z uciechy.

– Pozwólcie przyjaciele – podjął uprzejmie Mayer – że przedstawię wam dzieło łączące sztukę aktorską, mimiczną i taniec.

Rahm i Uecker głębiej rozsiadli się na sofach. Wzięli po kolejnym łyku wina z pucharów, a tymczasem Mayer zaklaskał i rozpoczęło się przedstawienie – dziw. Najpierw dwoje spośród artystów przysiadło z boku, niedaleko wejścia do pokoju. Byli to mężczyźni o smągłej cerze, obwieszeni instrumentami strunowymi i bębenkami. Jedna osoba z aktorskiej trupy stała tyłem do widzów, pochylona i w całkowitym bezruchu. Sześć innych, trzymających męskie maski – o wiele mniejsze niż te używane w antycznych teatrach, bo nie miały wzmacniać głosu, a jedynie służyć jako przebranie – stało po obu jej stro-

nach. Pośrodku zaś klęczał tancerz. Nie, tancerka! Miała woal na twarzy, a reszta jej ciała była tylko okryta zwiewną, delikatną szatą, spod której wymykały się małe, różowe kobiece piersi.

Muzycy zaczęli wybijać rytm. Tancerka podnosiła się i opadała na kolanach, jednocześnie kiwając się z boku na bok, nad głową unosiła miękko przeplatające się ręce.

Rahm zapytał szeptem:

– Jakiż ta sztuka ma tytuł?

– Nazywa się *Wyjście z labiryntu* – odparł szybko Mayer, nie odrywając wzroku od zespołu.

Do kręcącej biodrami i rękoma tancerki podeszły rytmicznie, aczkolwiek dostojnie, dwie postacie w maskach mężczyzn – młody i stary, niby mistrz i uczeń. Pochylały się nad nią, jakby słuchając jej szepcótów. Kobieta gestykułowała żywo, podnosiła ręce wyżej i wyżej, muzyka grała szybciej i szybciej. Wówczas mężczyźni nałożyli jej na głowę diadem z krowimi rogami. Wtedy tancerka wstała, a rytm się uspokoił. Para mężczyzn pochyliła się w głębokim ukłonie. Nagle wyprostowała się postać stojąca do-
tąd tyłem. Na głowie miała maskę byka. Tancerka w krowim diademie rzuciła się na nią, a muzyka ponownie zaczęła przyspieszać. Rogata para przylgnęła do siebie. Zaczęła wirować. Poruszała się zmysłowo, ekstatycznie, orgiastycznie.

Rahm drgnął z podniecenia. Para wirowała i wyginała się coraz prędzej, coraz bardziej szaleńczo, w rytm coraz głośniejszej muzyki. Wtem wszystko ucichło. Krowa i byk stanęli plecami do siebie i bokiem do widza, jakby stali się jednym. Pozostali aktorzy wzięli się za ręce i utworzyli wokół nich rodzaj spirali. Labirynt. Wtedy instrumenty wydały z siebie dźwięk przypominający jęk pękniętej struny. Rogata postać upadła, spirala rozspayała się. Z tego chaosu wyłoniła się ponownie para mężczyzn – młody i stary. Tym razem kłaniali się mężczyźnie w wielkiej koronie. Kłaniali się coraz niżej, aż wreszcie padli na kolana. Trwali w tej niewolniczej pozycji, póki para aktorów nie przyniosła im wielkich skrzydeł, zrobionych z desek i piór. Wtedy wstali i zaczęli machać skrzydłami, jakby starali się uciec od człowieka w koronie. Staremu udało się oddalić, młody upadł na ziemię i zastygł w bezruchu, jak martwy. Muzyka zmieniła się, odezwały się płaczące tony. Stary człowiek i król patrzyli na siebie, zaciskając pięści. Starzec znów padł na kolana, zastygł w pozycji niewolnika. Król zaniósł się okrutnym śmiechem. Śmiał się tak, gdy przy wesolych dźwiękach aktorzy kręcili się wokół niego. Poruszali się, jakby znosili wiadra wody i szykowali mu kąpiel w wannie. Król rozłożył się na ziemi. Ruszał delikatnie rękoma, jakby pływał powoli w basenie. Nie zwracał już uwagi na przygarbionego, złamanego starca. Lecz ten nagle wstał. Podeszedł do króla i zaczął nad nim pocierać pięścią o pięść, jakby krzesał ogień.

Muzyczny rytm wystrzelił dramatycznie. Aktorzy stanęli wokół króla, przybierając pozy przypominające płomienie. Król skręcał się na ziemi, jakby trawił go ogień. Kakofonia przypieczetowała jego śmierć w niewidzialnych płomieniach. Przy dźwięku historycznie szarpanych strun król legł sztywny i nieruchomy na ziemi, poskręcany jak uschnięte drzewo.

Gdy muzyka ucichła, samotny starzec powiódł ręką po widowni. Odwrócił głowę w stronę Rahma.

– Nie uciekajcie przed swymi wrogami. Nie liczcie, że się zmienia. Zróbcie z nimi porządek – wychrypiał. – Już kruk krakaniem do zemsty daje hasło!

Z tymi słowami złany potem Rahm obudził się. „Już kruk krakaniem do zemsty daje hasło!” – wciąż słyszał w głowie. Nie miał wątpliwości, że cały ten dziwaczny sen powstał pod wpływem gawęd Mayera, tym razem nie o Archimedesie, lecz o Dedalu. O postaci bardziej legendarnej niż historycznej. Mayer opowiadał jednak tak sugestywnie o Dedalu, Ikarze, Minotaurze, Minosie i Pazyfae, jakby byli prawdziwymi ludźmi. Ba, usprawiedliwiał morderstwo Minosa dokonane przez Dedala, przedstawiając je jako zrozumiały akt zemsty i uprawnioną odpłatę za lata niewolniczej harówki na dworze króla Krety. Sen był jak podróż w czasie do starożytności. Lecz cała reszta, poza tym antycznym sztafażem, wydawała się nadzwyczaj aktualna. We śnie pojawiali się obecni znajomi Mayera. A końcowe słowa Dedala współgrały z tym, co aż bulgotało w Rahmie. On miał dość obcych dookoła. Zniósł jeszcze rosnącą liczbę katolików i to, że zaczęła działać w mieście katolicka misja, i że kościół sobie postawili – na

szczęście odpowiednio mniejszy niż ewangelicki w centrum miasta. Jednak to, że widział coraz więcej Żydów, oburzało go. Mieli już wcześniej swoje wydawnictwo i stowarzyszenie, kontakty w Londynie i Paryżu, lecz nie przejmowali sklepów, aptek, praktyk lekarskich. To było nie do zniesienia. W dodatku w powiecie coraz więcej pojawiało się sezonowych robotników mówiących po polsku. To złościło Rahma, a zarazem budziło w nim lęk. Czuł się fizycznie zagrożony przez tych wszystkich obcych. Uważał, że wbrew woli dzieli się z nimi swoim dostatkami i swymi pieniędzmi. Sama perspektywa, że innych może być jeszcze więcej, budziła jego gniew. „U nas kamień i pruski mur, u nich drewniane rudery. Tam kobiety wiąże się do pługa zamiast konia, a zamiast kos wciąż używa się sierpów. Toć to istna Afryka, nie chcemy jej u nas” – utyskiwał.

Dawał temu wyraz w rozmowach z innymi lekarzami, chociaż natrafiał czasem na tęgie dyskutantów. Jednym z nich był sporo starszy doktor Kilemann. „To poważany specjalista od medycyny sądowej, znany ze spraw w dużych niemieckich miastach. W Lyck pojawia się zwykle gościnnie, przy okazji dłuższych wizyt w Chelchen¹⁴ u rodziny doktora Seydla. Wie pan, tego szefa katedry medycyny sądowej w Königsbergu¹⁵” – usłyszał o nim podczas pierwszego spotkania, gdy przedstawiła go Beata, wdowa po burmistrzu. Tym bardziej Rahm, jako chirurg, z którego usług korzystał sąd w Lyck, musiał się ze starym wygą liczyć. Trzeba było ważyć słowa, wdając się w polityczne dyskusje z tym mądrąłą o orlim nosie. A było to trudne, gdy porównywał mieszkańców Prus i sąsiedniej Kongresówki. Drażniło go, że Kilemann używa w dyskusji „zgubnych symetrii”. Stary mądrąła podkreślał podobieństwa, nie zachowując przy swoich porównaniach odpowiednich proporcji, jakby nie widział odmiennej skali problemów w Prusach i Kongresówce.

– O poziomie tych ludzi, a właściwie słowiańskiego ludzkiego bydła, nie bójmy się tego słowa, świadczy to, jak otaczają opieką innych będących w potrzebie. Włosy stają dęba! – przekonywał Rahm. Zwykle podawał przy tym przykład wzięty z polskiej prasy, zazwyczaj przygranicznej. Kto i kiedy mu te przykłady wynajdywał i tłumaczył, nigdy nie zdradził. – Podam wam przypadek z miasteczka Sierpc. W przytułku opiekowano się z powodzeniem ośmiorgiem starców i kalek. Po paru miesiącach liczba ta zmniejszyła się o połowę, bo troje z nich zmarło, natomiast jedna babina uciekła. „Zdarza się” – powiecie. Sęk w tym, że ta gwałtowna zmiana liczby pensjonariuszy przytułku nastąpiła w momencie, gdy zmienili się jego opiekunowie. To niewątpliwie oni doprowadzili do śmierci tych kilkorga niechcianych rozbitków życiowych. Pamiętam, że publicysta polski, mający się zapewne za świętego, pisał złośliwie, że gdyby podobną metodę zastosować w więzieniach, można byłoby zupełnie pozbyć się kryminalistów. Biedaczek nie wie chyba, że takie metody z powodzeniem po tamtej stronie granicy już się stosuje.

– Gdybyś przeszedł się pan po naszych domach opieki i więzieniach, też nie byłbyś pan zachwycony. – Kilemann pstryknął palcami, jakby chciał punktować błędy rozmówcy. – W niektórych kostnicach wykazuje się więcej dbałości o zwłoki niż o tam pracujących... A jeszcze co do żywych: szpital miejski w Lyck, mieście kilkunastotysięcznym, stolicy powiatu liczącego pięćdziesiąt tysięcy dusz, stolicy Mazur, wciąż dopiero w planach? Skoro jest już gazownia i publiczna rozmównica telefoniczna, skoro osusza się bagna i buduje groble, zróbmy też lądowisko dla balonów, to będzie się balonami ludzi transportować do szpitali w Allenstein albo Königsbergu – dodał z przekąsem.

– No dobrze, nie jest u nas idealnie – przyznał Rahm. – Jednak chodzi nie tylko o sprawy czysto techniczne. Bo co mówi o człowieczeństwie to, jak traktuje się w Kongresówce, tym koszmarze u naszych bram, kobiety w ciąży? Bez trudu odnajdę panu doniesienie prasowe z zacięciem opisujące poród w wiejskiej polskiej chacie. Ciężarną, traktowaną jak osobę chorą, kładzie się na paru stołkach albo po prostu na ziemi. Ewentualnie na słomie, jak krowę czy kobyłę. Akuszerki – a tak naprawdę wiejskie baby niemające pojęcia o porodzie, a pełniące raczej funkcję katów – rozciągają nieszczęśnicę za kończyny niczym podczas średniowiecznych tortur. Po czym ugniatają brzuch ciężarnej kulakami, chcąc wypchnąć dziecko na zewnątrz. Często się udaje. Bywa jednak, że baba kat wepchnie główkę dziecka w kość łonową rodzącej. I tak zamiast cudu narodzin mamy małego świeżego trupa w brzuchu. Baba

kat oczywiście tak tego nie zostawi, bo wzięła pieniądze albo kosz sera i kiełbasy za swoją tak zwaną pomoc. Sięgnie tedy po nóż lub hak, co by wyszarpać zabity płód z brzucha ciężarnej. Zdarzało się nieraz, że kończyło się to zgonem także matki, gdy wiejska specjalistka swymi niewprawnymi ruchami doprowadzała do przebicia jamy brzusznej i zakażenia. Koszmar! A sprowadzając tych ludzi do siebie, wcale nie nauczymy ich naszych zasad, metod i wartości. Oni są niereformowalni. Po prostu zaprosimy ich niechlujstwo i zabobony pod nasz dach, sami sprowadzimy na siebie kłopoty.

– A myśli pan, że u nas mało jest zgonów przy porodach i wśród noworodków? – Kilemann miał minę, jakby chciał przypomnieć sobie jakieś dane statystyczne, ale pamięć już mu szwankowała. – Druga sprawa: czy przy wprowadzonym w cesarstwie zakazie przerywania ciąży nie krążyą po kraju tabuny podobnych albo i jeszcze bardziej bezczelnych specjalistek? Myśli pan, że te kilka tysięcy dam lekkich obyczajów w samym Berlinie nigdy nie było w stanie błogosławionym i nie głowiło się, co z tym począć? – westchnął Kilemann. – Nawet tu, w Prusach Wschodnich, dochodzi do różnych dramatów. A im gorsze wykształcenie i mniej pieniędzy, tym łatwiej wpaść w szpony oszustów. Chłopi mazurscy na przykład nie są najbogatsi...

– Nie, są za to zatwardziali w swym nieuctwie i niechlujstwie. Znasz pan określenie „kołtun polski”, plica polonica? – Rahm irytował się i przez to jego wywód stawał się coraz mniej wyrafinowany. – Czy komuś w cywilizowanym świecie przyjdzie do głowy nie rozczesywać włosów tak długo, że zamienia się w zlepione łojem i potem gniazdo, w kołtun długości ręki? Przecież polski chłop wierzy, że to chroni go przed chorobami, szatanem i innym diabelstwem. Ten niewydukiwany i w ogóle niedający się wyedukować, moim zdaniem, polski chłop gotów jest na opak interpretować każdą oczywistość, jeśli tylko podszepnie mu tak klecha albo co gorsza znachor. Właśnie! Znachorzy! Przeczytałem taką historyjkę z Polski, notabene jej autor ma na nazwisko Prus. W polskiej wiosce rozchorowała się ciężko pewna dziewczynka. A wieś tak ciemna, że za mędrca uchodzi tam ten, kto wie, jak pozbyć się szczurów z młyna. O wezwaniu lekarza do chorej nikt nawet nie pomyślał – pewnie dlatego, że daleko i drogo. Matka leczyła dziecko wódką z piołunem, a gdy to nie pomogło, wezwała znachorkę. Ta kazała wypocić dziewczynkę w rozpalonym piecu do chleba. Dziecko wrzeszczało, kołtuństwo się modliło, aż wreszcie po odklepaniu kilku zdrowasiek wyjęło dziewczynkę z pieca. Nieruchomą i milczącą, poparzoną na śmierć.

– Tu mnie pan zadziwiłeś tą prozą. – Kilemann znów pstryknął palcami. Uśmiechnął się przy tym szeroko, błyskając rządkiem złotych zębów. Był to jednak smutny uśmiech, bez śladu satysfakcji. – Nie bywasz pan na mazurskich wsiach i nie widzisz, jak dzikie zabobony są tam wciąż obecne? Wciąż wierzy się, że choroby przenoszą małe ludziki, blade i zimne. Kłobuki podmieniają matkom niemowlęta na podrzutki. Ludzie boją się złego spojrzenia i kupują przeciw niemu amulety.

– Leczyć przecież w Kongresówce ten zabobon jest niemal zinstytucjonalizowany. Widać to po doniesieniach prasowych. – Rahm oburzył się na to porównanie. – Przykład: był sobie kowal, który postanowił zarabiać na przepędzaniu chorób. Nie wiedział o medycynie nic, za to miał talent do naciągania łatwowiernych. Odprowadzał więc jakieś modły, machał gałęziami, kropił wodą, wieszał i palił zioła. Zwykle bzdury, a jednak ludzie ciągnęli do niego, gotowi byli podróżować nawet kilka dni, by spotkać się z tym oszustem. Nikogo nigdy nie wyleczył, ale sława zaklinacza chorób wystarczyła, by ciemny lud go wielbił. Aczkolwiek przyznaję, że ten przedsiębiorczy kowal przynajmniej mało szkodził, to już coś. Inny młody zaklinacz miał mniej szczęścia. Zlecono mu wyleczenie siedemdziesięcioletniego staruszka chorego na reumatyzm. Zaczął od tego, że poszedł z jego żoną do karczmy. Opiwszy się i najadłszy, wrócił do domu chorego. Postawił staruszkowi bańki, a potem wręczył zdrowo podchmielonej żonie pacjenta flakonik z kroplami. Kazał nalewać z niego po parę kropel na rękę, a potem smarować chorą kończynę. Pijana kobieta była jednak tak nieprzytomna, że wylała mężowi na chorą nogę całą zawartość butelki. Ten z bólu omal nie wyskoczył ze skóry. Okazało się, że preparat popalił mu nogę. Prawdopodobnie był to kwas siarczany! W efekcie stary chłop nie tylko nie wyzdrowiał, ale całkiem z łóżka ruszyć się nie

mógł. Młodemu znachorowi nic zaś nie zrobiono. „Leczy” ludzi dalej i wieśniacy ufają mu bardziej niż doktorom z miasta!

– Zamawiaczy i u nas nie brakuje. – Kilemann pokiwał głową. – Modlitwą i wrzody leczą, i ból zęba, i różę, i wścieklicznę, i sprawy kobiece. Na dodatek straszą biednych ludzi lekarzami i szpitalami, opowiadając niestworzone baśnie o dziejących się tam okrucieństwach i bezceństwach.

– Myślę, że jednak jest różnica. U nas świadomość rośnie. Kształci się mnóstwo studentów medycyny, ponad piętnaście tysięcy, dwa razy więcej niż przed proklamowaniem cesarstwa. Rośnie więc i liczba lekarzy. Jeszcze siedemdziesiąt pięć lat temu mieliśmy ich w Prusach Wschodnich nieco mniej niż dwustu, teraz mamy prawie siedmiuset. Wprowadzamy reformy: przecież dlatego myślimy o lekarzach powiatowych jak o specjalistach i od chirurgii, i od położnictwa, dbających o higienę w szkołach i czuwających na wypadek epidemii, nadzorujących kasy chorych i azyle dla obłąkanych. A tam, w Kongresówce, jest tylko coraz więcej szkodników. Poza wspomnianymi sławnymi zamawiaczami są przecież i tacy fachowcy, którzy puszczaają tylko choremu krew, bez względu na schorzenie. Inni podają środki pozbawione wartości. W przypadku zielarek różnie to bywa, jednakże trudno uznać je pomoc za fachową. No i są jeszcze felczyrzy – ci niby-lekarze, którzy liźnęli wiedzy medycznej, lecz gdzie im do prawdziwego doktora! Nikt rozsądny nie powinien zgłaszać się do nich w przypadku poważnej choroby. Nie przypadkiem często się słyszy za naszą granicą, że tamtejsi felczyrzy przynoszą społeczeństwu więcej szkody niż znachorzy. A ilu jeszcze wśród nich Żydów, którzy mają tę szczególną smykałkę do wyciskania grosza z chorych za swe nic niewarte usługi?

– Mamy chyba inne doświadczenia życiowe. – Kilemann wyglądał już na zmęczonego dyskusją. – Spotkałem wielu utalentowanych naukowców pochodzenia żydowskiego. Nie mam powodu, aby sądzić, że przedstawiciele tej nacji są znacznie lepsi czy gorsi od nas czy Polaków. Z własnej dziedziny wiem też, jak ciężko wprowadzane były w Niemczech pożyteczne nowinki z Francji czy Austro-Węgier. Cieszymy się postępem, cieszymy się dobrobytem, ale pamiętajmy, że nic nie jest dane raz na zawsze. A najgorsze jest spoczywanie na laurach, wypinanie piersi do orderów i wytykanie niedoskonałości innym.

To powiedziałwszy, wstał i odszedł. Rahm pożegnał go wzrokiem zwycięzcy. Miał poczucie, że wygrał to starcie słowne. Może za bardzo się zaperzył i czasami zapominał, lecz dowiódł swych racji. Racji, które w jego mniemaniu powinny wyrażać każdy członek MaUeR-a. Kilemann z kolei czuł zmęczenie, lecz także radość, że udało mu się wycofać i wrócić do bardziej zajmujących go spraw. Podczas tej dyskusji przypomniał sobie, że czytał gdzieś o wioskach po polskiej stronie granicy, które podczas epidemii dżumy, prawie dwieście lat wcześniej, nie straciły ani jednego mieszkańca. Ta odporność była fascynująca i warta przebadania. Skąd się wzięła? Co pomogło ją uzyskać? „Ciekawe, czy szanowny pan Rahm też doszukiwałby się w tym jakichś aspektów wyższości bądź niższości rasowej?” – myślał doktor. „Warto wiedzieć, skąd wzięła się ta odporność” – zapisał w dzienniku Kilemann, „Tak na wszelki wypadek, gdyby »pruski mór« miał kiedyś wrócić. W starej lub nowej odsłonie – jako kolejna dżuma, cholera lub inne paskudztwo, na które nie ma szczepionki”. Gdy zamykał dziennik i kładł się do łóżka, niemal całe miasto już spało. Wyjątek stanowili Mayer i Beata, wymieniający między sobą czułości dobrane widoczne przez delikatne zasłony w oświetlonym oknie jego domu. I jakaś postać, która z zainteresowaniem ich oglądała, schowana wśród drzew po drugiej stronie ulicy.

CZĘŚĆ II: WROGOWIE

„I po naszym mieście poprzybijano teraz czerwone afisze, obiecujące 20 000 marek nagrody temu, który umożliwi wykrycie morderców 18-letniego gimnazjalisty Ernsta Wintera w Chojnicach”.

„Chojnice. Przypuszczają teraz, że morderstwo na Winterze popełniono przy pomocy środków odurzających, i dlatego odbyła się rewizja w pomieszczeniu lekarza-dentysty, żyda Gutha”.

„Brakujące jeszcze drugie ramię zamordowanego Ernsta Wintera znaleziono aż pod Gniewem nad dolną Wisłą. Przeciw rzezakowi Levy'emu nagromadza się coraz więcej podejrzeń. Wskutek donosu pewnej praczki przeszukano jego pomieszkanie po raz czwarty; tą razą szło o chustę z wyszytymi głóskami EW (Ernst Winter). W dzień morderstwa bawili w Chojnicach też żydowscy rzezacy z Gdańska i nawet z Królewca. Z tego powodu odbywają się i w Królewcu przesłuchy”.

„Gazeta Ludowa”, Lyck, rok 1900

ROZDZIAŁ 1:

MISJA FRANKENSTEINA

Mężczyzna z nosem krzywo zrosniętym po złamaniu przemykał ulicami zapełniającymi się wzburzonymi ludźmi. Żarliwie dyskutowali i głośno pokrzykiwali pomimo pohukiwań sporadycznie pojawiających się żandarmów, apelujących o zachowanie spokoju. A może nawet właśnie z tego powodu mieszkańcy Konitz jeszcze intensywniej argumentowali, gestykulowali i wrzeszczeli? „Hep, hep, hep!” – niosło się po ulicach spod protestanckiego zboru. Na razie sytuacja nie wymknęła się jeszcze spod kontroli i w mieście panował względny porządek, jednak trudno było nie zauważyć, jak napięcie rośnie. Całe Konitz czekało, co zrobią władze. Jak zachowa się burmistrz Deditius, policja, lekarze, prokuratura? Co zrobi Berlin? Wyśle kogoś do zbadania szokującej zbrodni? „Tym razem Berlin musi coś zrobić. Inaczej weźmiemy sprawy w swoje ręce. Najpierw stanie w ogniu Konitz, potem Prusy Zachodnie, a na koniec cały kraj” – odgrzaali się mężczyźni pod ratuszem, pokazując sobie nawzajem artykuły opublikowane w miejscowej prasie i w gazetach przywiezionych z wielkich aglomeracji: Thorn¹⁶ i Danzig¹⁷.

Rozwój wydarzeń był następujący. 11 marca zaginął osiemnastoletni gimnazjalista Ernst Winter, syn przedsiębiorcy budowlanego z Prechlau¹⁸, uczący się w Konitz i mieszkający tamże na stacji. Rano poszedł na mszę, po południu spotkał się z kolegami i oznajmił, że wybiera się na imieniny Mety Caspary, swojej żydowskiej koleżanki. I odtąd więcej już go nie zobaczono. Szkoła poinformowała ojca, że syn nie stawiał się na zajęciach. Nie znaleziono go także w domu rodzinnym. Zaniepokojony ojciec wyruszył więc do Konitz i próbował interweniować w ratuszu i na policji. Nikt jednak nie kwapił się do pomocy. Rozpoczął więc własne poszukiwania ze znajomymi. We wtorek 13 marca wypatrzyli podejrzaną wyrwę w lodzie pokrywającym Monchsee¹⁹, zamulony i zanieczyszczony zbiornik na południowym krańcu miasta, od lat systematycznie osuszany, bo od pokoleń uchodził za wylęgarnię wszelkiej zarazy. Woda była płytka. Bez trudu wyłowiono z niej makabryczne znalezisko. To był zapakowany w szary papier ludzki korpus. Tułów bez głowy i rąk. Został przetrzynięty czy też przepiłowany poniżej żeber. Ojciec Wintera rozpoznał zwłoki. To był Ernst! Dwa dni później w śniegu niedaleko bramy ewangelickiego kościoła znaleziono prawe ramię chłopaka. 20 marca z Monchsee wyłowiono lewe ramię. Policja użyła psów myśliwskich do poszukiwań pozostałych części ciała zamordowanego chłopca. Mieszkańcy zaczęli zaś głośno zadawać pytania: kto był sprawcą zbrodni? Dlaczego zabił nastolatka i rozczłonkował jego ciało?

Zbliżała się Wielkanoc, a nad Konitz zawiśł mrok. Wydawało się, że miasto otrzymało kolejny bolesny cios. Rok wcześniej bowiem region ucierpiał od suszy. Ceny żywności gwałtownie wzrosły, trzeba było ją sprowadzać. Miejscowi rolnicy, pozbawieni dochodów, zaczęli wyprzedawać bydło za bezcen. Mnożyły się bankructwa. Nastroje były fatalne. Gdy szukano winnych, ktoś rozpuścił podejrzenia: winni są obcy. Żydzi. Teraz ten nastrój wrócił. Dziesięć tysięcy miejscowych chrześcijan przygotowywało się do Wielkanocy – zaś ich czterystu żydowskich sąsiadów obchodziło w tym czasie swoje święto Paschy. Nie od dziś mówiono zaś, że w owym czasie Żydzi potrzebują krwi chrześcijańskich dzieci do wypieku tradycyjnej macy. Kilka dni wcześniej zaginął inny chłopak ze wsi pod Konitz. Jedni powiadali, że się szczęśliwie odnalazł, inni – że nic podobnego, i wskazywali palcem na Żydów. „To krwio pijcy!” – powtarzano. „Nie cofają się przed niczym! Dorabiają się na naszej krzywdzie i biedzie”. Większość miejscowych przedsiębiorstw handlujących bydłem należała właśnie do Żydów. To ich bankrutujący chłopci oskarżali o zмовę cenową. Każda iskra mogła wywołać wybuch agresji podsycanej żądzą

zemsty. Władze zabroniły nawet organizowania targów i jarmarków, aby nie dochodziło do awantur i bijatyk. Sprawa Wintera mogła mieć siłę dynamitu.

Po szybkich oględzinach zwłok miejscowy lekarz sądowy stwierdził, że ciało musiał rozczłonkować chirurg lub rzeźnik. Ze znalezieniem tego pierwszego był kłopot. Z rzeźnikiem – nie. Ktoś widział, jak 9 marca żydowski szechita²⁰ Levy z namaszczeniem ostrzył wielki rzeźnicki nóż. Potem rzekomo rozmawiał z synem, powtarzając, że nikt inny nie może się o niczym dowiedzieć, nikt nie może puścić pary z ust. Czy więc to szechita z synem skatował Ernsta Wintera w swojej piwnicy, a potem razem pocięli zwłoki? A co z resztą gminy żydowskiej? „Na pewno rzezak i syn nie zrobili tego sami, lecz w porozumieniu z rabinami” – spekulowali nad gazetą wåsaci mieszczanie, którym przysłuchiwał się młody mężczyzna, wydmuchując w chustkę swój niezbyt piękny, a na dodatek zakatarzony nos. „Trzeba przetrząsnąć synagogę, zerwać podłogi, jeśli trzeba – rozebrać wszystko do cna. Muszą tam być ślady krwi, wystarczy poszukać! Jeśli policjanci znajdą krew, niech nie dadzą sobie wmówić, że to kurza. Wszystko trzeba dokładnie zbadać, a w międzyczasie podejrzanych do celi, żeby nie uciekli gdzieś do Anglii pod zmienionym nazwiskiem” – przekonywali się nawzajem wåsacze. Potem zerknęli podejrzliwie na stojącego obok młodego mężczyznę, więc ten dyskretnie się wycofał. Zdążył usłyszeć za plecami, że chyba jest niemiejscowy, a nos ma prawie jak u Żyda. Wolał nie ryzykować i przyspieszył kroku. Czuł, że ma gorączkę. Dopadło go jakieś wiosenne choróbsko. Chwiejąc się i wciąż pociągając nosem na chłodnym wietrze, mężczyzna wracał do swego hotelu. Właściwie był to pensjonat w piętrowym budynku niedaleko dworca kolejowego. Zakątek nie był zbyt ciekawy, po drodze minął jakiegoś grajka w lachmanach i śmierdzącą alkoholem ulicznicę. Oni nie dyskutowali o sprawie Wintera, dreptali w tę i z powrotem w roztopionym śniegu, oczekując jakiejś szansy na zarobek. Nie pojawili się jednak żadni miłośnicy ani rzępoleńia na skrzypcach, ani podstarzałego spoconego ciała. Mężczyzna cieszył się, gdy dotarł do swego hoteliku i mógł zamknąć się w pokoju. Już tam, u siebie, natychmiast przytknął spragnione usta do naczynia z wodą. Nawet przy nikłym świetle naftowej lampy rzucało się w oczy, że jego pobyt w Konitz nie należy do najbardziej komfortowych. Pokój wyglądał na bardzo ubogi. Ściany nie pamiętały, kiedy były bielone, a pod sufitem wisiały w kątach pajęczyny. Na dodatek przybysz zupełnie nie przykładał się do utrzymania go w porządku, jakby nie miał zamiaru zadrećzać się takimi drobiazgami. Ubrania były porozrzucane, stół zawałony papierzyskami. Zresztą po co miałby dbać o porządek? Po pierwsze, nie miał zamiaru zapraszać kogokolwiek pod ten dach. Po drugie, nie przykładał wagi do konwenansów. „Dzikus i narwaniec!” – mówiła o nim rodzina i tym tłumaczyła sobie od dwudziestu lat to, że postanowił zostać reporterem szukającym guza, zamiast na przykład szanowanym prawnikiem.

„– Szanowanym prawnikiem!” – powtarzał czasem pod nosem. „– Chyba bym umarł z nudów, zamordowałyby mnie te paragrafy i sterty dokumentów!”

Zbierało mu się na wymioty, gdy wyobrażał sobie drzwi swojej niedosłej kancelarii prawnej z tabliczką „Dawid Frankenstein”. Co innego papierzyska, które zgromadził na hotelowym stole. Miał tam Frankenstein nabazgrane notatki z kilku dni w Konitz. Opis miasta i miejsc związanych ze zbrodnią popełnioną na Winterze. Podслuchane w tłumie rozmowy. Zასłyszane wypowiedzi przedstawicieli ratusza, policji i sądu. Wycinki z prasy i antysemitkie ulotki kolportowane już na ulicach. Pora była to wszystko podsumować, napisać artykuł i wracać do siebie. Albo wrócić do siebie i dopiero tam napisać artykuł, jeśli ta cholerna gorączka go nie opuści. Mężczyzna przyłożył dłoni do rozpalonego czoła, a potem znów pociągnął łyk zimnej wody. Nie pamiętał, kiedy poprzednio coś tak ścięło go z nóg. A może to wiek robił swoje? Nie był już najmłodszy. Zaczynał w rodzinnym Lyck w latach osiemdziesiątych, w czasopiśmie „Hamagid” (co znaczyło po hebrajsku „posłaniec”). To było wielkie wydarzenie dla żydowskiej diaspory: chodziło przecież o pierwszy na całym świecie tygodnik publikowany w tym języku. Rozchodził się w kilkuset egzemplarzach po Niemczech, ale trafiał też do sąsiedniego Imperium Rosyjskiego. Z czasem redakcję przeniesiono do Berlina, a ostatnio wydawano czasopismo nawet w Krakowie. Z przyczyn osobistych, ze względu na opiekę nad sędziwymi rodzicami, Frankenstein pozostał wtedy w Lyck. Aczkolwiek chętnie wyruszał w podróże, szukając tematu... i kłopotów. Stąd jego zła-

many, krzywo zrośnięty nos. To była pamiątka z wycieczki do Imperium Rosyjskiego podczas fali pogromów na początku lat osiemdziesiątych. Był w Kijowie i Warszawie, próbując sprawdzić, czy zamieszki to tylko spontaniczny wybuch ksenofobicznej nienawiści czy też zostały sprowokowane przez carskie służby. Młody i głupi Frankenstein zadawał pytania zbyt głośno i nie tam, gdzie trzeba. Przewieszony przez carskich żandarmów nos przypominał mu teraz codziennie, że trzeba być bardziej dyskretnym. Tym niemniej warto było walczyć o prawdę: z relacji Frankensteina korzystali dwaj inni redaktorzy „Hamagid” – Silbermann i Gordon. Do dziś Dawid miał zachowany ich list pochwalny, który przydałby się, gdyby szukał pracy w innym mieście. Oni niestety już nie żyli. Mógł tylko odwiedzić ich groby na cmentarzu żydowskim – *bejt olam*, domu wieczności, jak sami mówili – pod Górą Jerozolimską w Lyck.

Żurnalista przerzucał papiery na stole, gdy nagle usłyszał podniesione głosy za oknem. Ostrożnie podszedł do szyby i wyjrzał zza zasłony na zewnątrz. Pod latarnią kilku mężczyzn, sądząc po strojach mieszanina średniozamożnych obywateli i robotników, otaczało kobietę w lichym palcie, na które spływały jej długie kruczoczarne włosy. Wyglądała na bardzo młodą i strasznie przestraszoną. Frankenstein przygryzł wargę. Zastanawiał się, co zrobić, gdy zza szyby dotarła do niego wymiana zdań.

– Mów, dziewczyno, co z nim zrobiliście, jeśli ci życie miłe!

– A co mieliśmy zrobić, nie rozumiem! – Głos młodej kobiety robił się płaczliwy.

– Po co się z nią patyczkować?!

– Kłamlive plemię!

– Kurew jakaś, trzeba dać jej nauczkę!

– Nie jestem taka... – Dziewczyna rozplakała się na dobre. – Służę w domu u państwa...

– Mów po dobroci, dziewczyno. – Z jazgotu wybił się donośny głos, spokojny, wyraźny i szorstki. – Lekarz sądowy wyznał mi dzisiaj z pełnym przekonaniem, że jego zdaniem zabójstwo Ernsta Wintera to w istocie żydowski mord rytualny. Chłopakowi poderżnięto gardło, a gdy konał, wytoczono z niego krew.

– Żydowscy mordercy! – wtórowali swojemu liderowi współtowarzysze, lecz ten spokojnym skinieniem ręki uciszył ich.

– Dajcie dziewczynie wyznać prawdę – stwierdził niezmiennie powściągliwym tonem, po czym chwycił Żydówkę za rękę. – Przyszaj, co robicie z chrześcijańskimi dziećmi.

– Nic nie robimy! Jestem tylko biedną dziewczyną. Ja jestem niewinna. Ja nic nie robię...

– Mówisz „ja” – podchwycił spokojny głos. – Mówisz „ja nic nie robię”, podkreślasz swoją niewinność, lecz co z resztą twoich współbraci? Moglibyśmy nawet ci uwierzyć. Ale czy to znaczy, że nie ty, lecz inni Żydzi coś robią naszym dzieciom?

– Nie! Skądże! – zaprzeczyła gwałtownie.

– Na pewno? Czyli lekarz sądowi, wykształceni ludzie, nie mają racji, pisząc o waszych rytualnych morderstwach? Chyba chcesz, żebyśmy ci uwierzyli.

Krąg mężczyzn wokół dziewczyny zacieśnił się. Zaczęła się słać na nogach.

– No więc? – odezwał się spokojny głos przywódcy grupy. – Wyznaj, czy to prawda, że Żydzi mają takie beczki najeżone od środka ostrzami, do których wrzucają nasze dzieci, by wytoczyć z nich krew. Prawda to?

– Ja nic nie widziałam – odpowiedziała kobieta drżącym głosem.

– Macie takie beczki czy nie? – Przywódca grupy chwycił dziewczynę za podbródek. – Mów prawdę!

– To tylko bogaci Żydzi takie mają – wybełkotała w końcu łamiącym się głosem. – My, biedacy, nie.

– Jak to?

– My takich rzeczy nie robimy, tylko inni, ci bogaci – powtórzyła. – Puśćcie mnie, proszę.

Mężczyzna odsunął dziewczynę z odrazą i kazał rozstąpić się współtowarzyszom. Gdy korzystając z tego, rzuciła się do ucieczki, ślizgając i potykając się w błocie, on powstrzymał resztę mężczyzn władcym ruchem ręki i mówił dalej:

– Nie ma powodu, żeby kłamała – oznajmił głośno. – Wiecie jednak, co to oznacza? Wiecie, że nie możemy tego puścić płazem? I wiecie, że im bogatszy Żyd, tym większym jest od teraz naszym wrogiem? Nie wystarczy u niego nie kupować. Nie wystarczy walczyć z nim ekonomicznie. Tych ludzi trzeba wyrugować i wtrącić do więzienia. Są jeszcze sądy w tym kraju, a jeśli ich zabraknie, znajdą się chętni, którzy wezmą sprawy w swoje ręce!

Mężczyzna wyprostował ręce niczym jakiś prorok, biblijny patriarcha. W blasku ulicznej lampy Frankenstein zobaczył jego twarz. Z zaskoczenia aż odskoczył od okna. Znał tę twarz. Znał ją dobrze. Ze swojego rodzinnego miasta.

– Niech żyją Niemcy wolne od Żydów! – usłyszał jeszcze, nim rzucił się pakować walizki.

Zdawało się, że trawiąca go gorączka jeszcze przybrała na sile. Wypił już ostatnią kroplę wody z dzbanka, a w gardle wciąż miał sucho. Miotał się między swoimi ubraniami, walizkami i papierzykami na stole. Krążył między nimi, starając się zaprowadzić jakiś porządek w tym bałaganie, aż wreszcie usiadł zmęczony na łóżku. Przyłożył głowę do poduszki, potem wbił w nią dłonie. Zdawało się, że jakaś jedna mała lza przecięła jego policzek, ale błyskawicznie ją otarł. Położył się na plecach i zamknął oczy. Lecz sen nie nadszedł, wróciły za to wszystkie sceny, które widział w Konitz, łącznie z tą ostatnią – pod jego własnym oknem. Frankenstein objął głowę rękami, potem podrapał paznokciami twarz, jakby chciał obudzić się ze złego snu, jakby ból mógł złagodzić gniew i strach. I poczucie winy, które nagle pojawiło się w jego sercu. Nie zareagował, tylko obserwował, jak tamci osaczyli tę biedną dziewczynę. Ale co miał zrobić? Przyszliby tutaj po niego. Najpierw powybijaliby okna, potem powybijaliby mu zęby, gdyby zobaczyli, co ma w swoich notatkach. „Nie bądź głupi. Dziewczynie nic się nie stało, najadła się tylko strachu. A ty musisz pisać, pisać. To jest twoje zadanie: opisać tę rzeczywistość i ostrzec przed tym, co wisi w powietrzu” – tłumaczył sobie, jakby nie było to wcale oczywiste. Podniósł się na łóżku i oparł plecami o ścianę. Była zimna, więc przyniosła ukojenie pękającej od gorąca głowie. Znowu zamknął oczy. Mięśnie w końcu się rozluźniły. Z bezwładnie zwisającą głową Dawid wyglądał, jakby zasnął albo zasłabł. Byłby znakomitym modelem dla rzeźbiarza. Ale tylko przez chwilę, bo nagle rozległo się pukanie do drzwi. Frankenstein odruchowo skulił się w sobie, jakby spodziewał się, że za drzwiami stanęła wataha antysemitów spragnionych pogromu.

– Panie Stein? – Zza drzwi dobiegł głos starszej pani, gospodyni. Przedstawił się jej jako Franz Stein. – Szanowny panie?

– Tak, słucham? – odpowiedział. – Przepraszam, jestem już w łóżku...

– To ja przepraszam. Chciałam tylko dopytać, czy zostaje pan na kolejną noc. Miał pan dać mi znać, ale chyba pan zapomniał.

– Tak, rzeczywiście, przepraszam – przyznał.

– No więc? – dopytywała gosposia zza drzwi.

Frankenstein zawałał się przez moment. „Czy czekać, co stanie się w Konitz, czy lepiej czym prędzej przed tym ostrzec? Śledzić tę szyszkę z Lyck tutaj czy lepiej przygotować się na powrót tego drania?”

– Panie Stein? – Kobiecina była już zniecierpliwiona.

– Wyjeżdżam – oznajmił, by nie przeciągać sprawy. – Wyjeżdżam pojutrze. Z samego rana.

– Zatem rozliczymy się jutro. Może przy śniadaniu?

– Oczywiście.

– Zatem dobranoc, panie Stein.

– Dziękuję, dobranoc pani.

Pożegnał się, lecz nie miał zamiaru iść spać. Frankenstein nagle poczuł przyływ weny. Przysiadł do swoich notatek i zaczął pisać depezę do redakcji. „W Konitz atmosfera jest bardzo napięta, rośnie ryzyko pogromu. Można mieć obawy, że dojdzie do rozruchów. Do miasteczka przybywają antyżydowski agitatorzy z innych rejonów Niemiec. Na ulicach pojawiły się antysemickie ulotki, mieszkańcy są rozżeleni, domagają się od władz drastycznych działań. Zagadka zbrodni pozostaje nierozwiązana, można jednak podejrzewać, że tylko aresztowania wśród Żydów uspokoją tłum żądny zemsty na sąsiadach”.

ROZDZIAŁ 2:

ZŁUDZENIA

„Gdyby człowiek nosił zawsze przy sobie gotowy do użycia aparat fotograficzny, nic by mu nie umknęło. Ani cuda, które widział, ani miłość, której doświadczył, ani nienawiść. Mogłby nawet utrwalić własną śmierć. I nie byłoby żadnych wątpliwości” – zapisał ojciec Kilemanna w jednej z pozostawionych makabrycznych ksiąg na kilka miesięcy przed śmiercią. Obok znajdował się wycinek z francuskiej gazety sugerujący, że mamy taki wewnętrzny, biologiczny aparat. To siatkówka, czuły instrument w naszym oku, odbierający bodźce świetlne. W 1869 roku doktor Edme Antonin Bourion przedstawił Paryskiemu Towarzystwu Medycyny Sądowej artykuł *Optogram, czyli fotograficzne badanie siatkówki zamordowanych*. Dowodził, że poddając reakcjom chemicznym oko ofiary mordu, udało mu się wydobyć z siatkówki dowody zbrodni. Ów optogram mógł pokazywać ostatni obraz, jaki widział zmarły przed śmiercią. Twarz ukochanej albo twarz mordercy. Kiedy Kilemann czytał doniesienia z Konitz o sprawie Wintera, pomyślał, że to byłaby istna rewolucja, gdyby optografia okazała się czymś więcej niż spekulacją. Gdyby nasze oczy zachowywały ostatnie chwile życia, ściganie zbrodni stałoby się o niebo łatwiejsze.

Podobne sugestie pojawiały się już od wieku XVII. Tyle że nikt nie potrafił dowieść teorii naukowo i wykorzystać w praktyce. Opowiadano wprawdzie już w 1856 roku o tajemniczym angielskim doktorze Polloku prowadzącym badania nad „obrazkami siatkówkowymi” w Chicago²¹, jednak informacja okazała się wymysłem dziennikarzy. To, jakim cudem miały powstawać owe „obrazki siatkówkowe”, odkryli dwaj Niemcy, których zresztą student Kilemann miał okazję poznać. Pierwszy, Franz Christian Boll, odkrył, że w pręcikach siatkówki znajduje się światłoczuły barwnik. Drugi, Wilhelm Kühne, zaryzykował stwierdzenie, że w pewnych warunkach może dojść do utrwalenia obrazu na siatkówce, i przedstawił na to dowody. Okulista Julius Hirschberg w magazynie „Centralblatt für Praktische Augenheilkunde” pisał w lutym 1877 roku: „Optograficzne badania. Imieniem optografii ochrzcił Kühne, profesor w Heidelbergu, zachowanie na siatkówce oka obrazu rozmaitych przedmiotów, podobnie jak na matowym szkle fotograficznego przyrządu. Jeśli głowę i gałkę oczną królika dobrze unieruchomić, trzymać w odległości 1,5 metra od kwadratowego otworu w okiennicy, na 5 minut zakryć czarnym sukniem, następnie wystawić 3 minuty na działanie dość pochmurnego południowego nieba, zrobić *extirpatio bulbi* przy świetle sodowym, po czym otworzyć gałkę oczną i położyć w 5-procentowym roztworze alunu, to na drugi dzień otrzymamy godny widzenia obraz: na przepysznym czerwono-zielonym tle siatkówki odrysowany będzie jasno odgraniczony kwadratowy obraz otworu okiennicy (optogram). W drugiej zaś gałce extyrpowanej 2 minuty po śmierci i tak samo traktowanej jak pierwsza, obraz siatkówki był zupełnie biały – w pierwszej miał odcień lekko różowy – wielkości 1 mm, który zginął od światła dziennego. Tak więc fakt fotografowania się zewnętrznych przedmiotów na siatkówce oka – która za życia, jak dowiódł Boll, ma purpurowy (szkarłatny) kolor niknący od światła słonecznego – i zatrzymywania tego obrazu przy pewnych warunkach nawet pewien czas po śmierci jest obecnie pewnikiem dowiedzionym. Kühne i inni ciągle zajmują się tym przedmiotem. Jak wiadomo, początek w tej mierze zrobiło przed laty jedno z amerykańskich pism, twierdząc, że na siatkówce zabitych może się odfotografować zabójca”²².

„Gdyby tylko ojciec dowiedział się o tym wcześniej!” – pomyślał młody Kilemann, przeglądając końcowy tom *Księgi Śmierci*. „Wszystkie jego wątpliwości mogłyby zostać rozwiane!” Nawet te dotyczące życia po śmierci. Nadzwyczajne właściwości siatkówki skłaniały bowiem do zastanowienia się nad

tym, jak w ogóle powstało ludzkie oko. Cóż to za precyzyjne i niezwykle urządzenie! Czy natura mogła je stworzyć sama z siebie? Powstało przypadkiem? A może było dowodem istnienia jakiegoś planu we wszechświecie, dowodziło istnienia „przyczyn celowych”, „pierwszej przyczyny rozumnej”, czyli Boga?

Francuski uczony ksiądz pisał: „Przytoczmy choćby jeden tylko przykład, w którym, co prawda, sztuka przyrody musiała zastosować prawie nieskończoną moc przyczyn, niczem niezastąpionych; chcemy tu mówić o budowie oka w odniesieniu do aktu widzenia. Widzimy więc nieskończoną ilość przyczyn, które się musiały złożyć na to, aby oko uczynić zdolnym do patrzenia [...]. Oko jest tak znanym organem ciała, że nie ma potrzeby zatrzymywać się nad szczegółami jego budowy. Przypominamy tylko, że przyrząd ten jest najzupełniej podobny do pewnego sztucznego przyrządu zwanego ciemnią optyczną (Camera obscura). Wyobraźmy sobie pudełko ze wszystkich stron zamknięte, a tylko przez małeńki otwór dające przystęp światłu; jeśli poza tym otworem na wewnętrznej ścianie otworowi przeciwległej umieści się soczewkę skupiającą, to świetlane promienie, idące od jakiegoś przedmiotu i zmuszone do przeniknięcia tej soczewki, skupią się w głębi pudełka na ścianie, znajdującej się naprzeciw otworu, i odtworzą na niej obraz przedmiotu, ale odwrócony górną swą stroną ku dółowi. Przyrząd ten upowszechnił się od czasu wynalezienia dagerotypu. Wiadomo, że oko jest właśnie tego rodzaju przyrządem; jest ono taką ciemnią optyczną, i wszystkie powyżej opisane zjawiska urzeczywistniają się w niej jak należy”²³. Jak zauważył ów duchowny, widzimy dzięki nieskończonym „skomplikowanym ostrożnościom” i niemożliwe, by stało się to przypadkiem. „Oko jest narzędziem dziwnie uzdolnionem do widzenia, lecz aby je tak udoskonalić, trzeba było nagromadzenia mnóstwa przyczyn. Idzie tylko o to, czy rzeczony nagromadzenie przyczyn jest przypadkowe, albo – innymi słowy – czy te wszystkie przyczyny zostały na to w grę wprowadzone, by nam utworzyć oko. I w istocie, gdybyśmy nie chcieli uznać, że owo nagromadzenie przyczyn jest wynikiem planu, podług którego przyczyny rzeczony zejść się musiały, by uzdolnić oko do widzenia, to musielibyśmy przypuścić, że te przyczyny zbiegły się zupełnie przypadkowo. Powiedzieć zaś, że zbieg rzeczonych przyczyn jest przypadkowy, znaczy tyle, co powiedzieć rzecz wysoce nierozumną. Prawda, że ściśle biorąc, nie jest rzeczą niemożliwą, aby te przyczyny w ten sposób zbiegły się razem; taki zbieg przyczyn nie byłby więc niemożliwy, aniżeli inny. Tak samo, bezwzględnie mówiąc, nie jest rzeczą niemożliwą, aby rozrzucone przypadkowo czcionki ułożyły się w takim porządku, jaki jest potrzebny do utworzenia »Iliady« Homera”²⁴.

Czyli była w tym ręka Boga? Nasze oko to dowód na jego istnienie? Sęk w tym, że burza wokół optogramów szybko wygasła. Kühne mógł wymachiwać zdjęciami domniemanej kraty utrwalonej na siatkówce martwego królika, lecz po pierwsze, inni nie mogli powtórzyć jego sukcesu, a po drugie, mało kogo obchodziły króliki. Opinia publiczna chciała „obrazów siatkówkowych” zdjętych z oczu ludzi. Wierzyła, że przyniosłyby przełom w walce z przestępczością. Wydawało się, że odtąd zabójcy byłiby identyfikowani i chwytni tak łatwo jak nigdy wcześniej. Publicyści też poddawali się tej ekscytacji – aż do momentu, gdy pojawił się pierwszy morderca, który wydłubał oczy ofierze, wierząc, że zachowany tam obraz siatkówkowy mógłby go zdemaskować. Przez kilka lat Kilemann uważnie śledził wszystkie publikacje naukowe. „Gdyby tylko udało się potwierdzić, że siatkówka oka zabitego Abła faktycznie zachowała wizerunek jego zabójcy, Kaina!” – pisał z egzaltacją do ówczesnej narzeczonej, gdy ta pytała, co zabiera mu tyle czasu, że nie mają okazji się spotykać. Niestety, chociaż skopiował eksperymenty Kühnego na królikach, nie osiągnął podobnych rezultatów. Żadnych sensorych, przydatnych do czegokolwiek „obrazów siatkówkowych”.

Tymczasem Kühne nie próżnował. Od królików przeszedł do ludzi. Jesienią 1880 roku sięgnął po oczy zgilotynowanego mordercy. Po długich pracach w swoim laboratorium na uniwersytecie w Heidelbergu zaprezentował utrwalone na lewej siatkówce zbrodniarza kształt, który zdaniem naukowca był niczym innym, jak ostrzem gilotyny. Jakim jednak cudem obraz się zachował, skoro skazańcowi zasłonięto oczy przed egzekucją? Zerknął na ostrze, nim wkroczył w ciemność? Przeciw Kühnemu wystąpił nawet współpracownik, lekarz z Ameryki. Opublikował artykuł, w którym podważał przydatność optografii dla medycyny sądowej. Kilemann tylko wzdychał nad zmarnowanym przez siebie czasem, za

który zapłacił boleśnie zwrotem pierścienka zaręczynowego. Pocieszało go jednak, że nawet jeśli optogramy nie były przydatne w ściganiu zbrodni, to sens miały inne nowinki wprowadzane do medycyny sądowej. Stały się jego pasją, studiował medyczne czasopisma, przeglądał zachowane kartki z *Księgi Śmierci* swego ojca i konfrontował je z nowymi technikami. Zaprzyjaźnił się także z doktorem Karlem Seydlem – naukowcem i wykładawcą, starającym się wprowadzić nowe techniki kryminalistyczne na terenie Prus Wschodnich. Kilemann został jego przyjacielem i powiernikiem. Spotykali się nie tylko na uczelni, nie tylko w Królewcu, ale również w rodzinnych mazurskich stronach Seydla – w sielskich Chelchen, leżących pod Lyck. Tam skarżył się Kilemannowi: „Poziom medycyny sądowej tutaj i stopień nią zainteresowania jest dramatycznie niski. Jeśli chcesz złamać prawo, zamordować kogoś i zostać bezkarnym, morduj w Prusach Wschodnich. Wielu lekarzy sądowych i prokuratorów nie ma o współczesnej medycynie sądowej bladego pojęcia. Gotowi są raczej szukać obrazów zachowanych w oku trupa, niż wykonać porządną sekcję zwłok. Ani sami nie mają wiedzy przyrodniczej czy toksykologicznej, ani z takowej nie chcą korzystać”.

Kilemann musiał interweniować w nawet najbardziej oczywistym przypadku, gdy pewien mieszkaniec Königsbergu zmarł po wmuszeniu weń butelki kwasu siarkowego, lecz nikomu nie chciało się robić autopsji. Lekarze byli nie tylko rozleniwieni, ale także holdowali starym przesądom. Na przykład wierzyli, że o otruciu świadczył brzydki zapach lub plamy na zwłokach, a więc zwykle zmiany pośmiertne. Jak więc w tej sytuacji wykryć prawdziwe zatrucie arsenikiem? Zwłaszcza że wedle innej szkoły – równie bałamutnej – o użyciu arseniku świadczył fakt, że zwłoki zepsuciu nie ulegają. Kilemann czuł, że otrzymał misję. Trochę jakby kontynuował dzieło ojca, który – jeśli pominąć skłonność do szantażu – miał talent detektywistyczny, był spostrzegawczy i podejrzliwy. W jego czasach nie tylko w Prusach Wschodnich, ale i w całych Niemczech wiedza o medycynie sądowej nie była gruntowna, dużo bardziej powierzchowna niż w sąsiedniej Francji czy w Austro-Węgrzech. Teraz trzydziestoparoletni Kilemann, coraz lepszy specjalista w tej dziedzinie, miał dużo większe możliwości, by ściagać i karać zbrodniarzy. W roku 1888 jeszcze raz wrócił do optografii. Pojechał nawet z jej powodu do Londynu. Przyczyną był szalejący tam nieuchwytny morderca, brutalnie atakujący kobiety w mrocznych zaułkach. Wybierał nieszczęśliwie okazyjnie parające się prostytutką, żyjące w ruderach i noclegowniach, pozbawione wsparcia przyjaciół i krewnych. Spragniona sensacji miejscowa prasa okrzyknęła przestępcę najpierw mordercą z Whitechapel (z czasem zaczął mordować nie tylko w tej dzielnicy), potem Skórzanym Fartuchem (przewisko to nawiązywało do stroju podejrzanego żydowskiego szewca, który jednak okazał się niewinny), a na koniec Kubą Rozpruwaczem (przydomek ten zaczerpnięto z ponoć oryginalnego listu mordercy, chociaż równie dobrze mogła to być podróbka autorstwa jakiegoś rzutkiego i bezczelnego redaktora). Seydel stwierdził, że sam już jest zbyt stary na tak daleką podróż, ale zorganizował fundusze na wyprawę Kilemannowi. Kto wie, może i Głos użył swoich wpływów, by takie pieniądze się znalazły?

W stolicy Anglii Kilemann kilka tygodni przyglądał się metodom Scotland Yardu. Okazało się, że Brytyjczycy nie potrafili wpaść na żaden oryginalny i wartościowy pomysł, poza wykorzystaniem psów gończych do tropienia i przebraniem policjantów za kobiety. Zbierano zeznania, które same sobie zaprzeczały. Gromadzono listy, częstokroć od szaleńców. Mobilizowano mieszkańców, lecz w dzielnicy biedy każdy miał mnóstwo innych kłopotów na głowie. Z desperacji korzystano już nawet z pomocy jasnowidzów i prywatnych detektywów. Doszukiwano się klucza do działań mordercy w datach, dniach tygodnia, terminach przybywania statków i pociągów. Najbardziej zbulwersowało jednak Kilemanna to, że prasowa nagonka, a także nastroje w społeczeństwie i policji świadczyły o tym, że miejscowa społeczność nie przyjmie do wiadomości, że mordercą może być ktoś z nich, ich sąsiad, krewny, „porządny człowiek”. Najchętniej zbrodniarza widziano w którymś z tysięcy imigrantów, głównie pochodzących z Europy Wschodniej. W jednym z przybyszów, których Brytyjczycy nie potrafili rozróżnić, nie umieli nawet wymówić i zapisać ich nazwisk, nie wspominając o kontroli wiarygodności dokumentów, jakimi dysponowali – zwłaszcza jeśli spisane były cyrylicą, bo przybyli z terenów carskiej Rosji.

Kiedy w listopadzie doszło do kolejnej zbrodni, po której morderca zostawił ciało swej ofiary tak zmasakrowane i rozczłonkowane, że policjanci z trudem byli w stanie spełniać swoje obowiązki związane z prowadzeniem śledztwa, Scotland Yard zdecydował się na desperacki ruch. Nie tylko dokładnie sfotografował miejsce zbrodni, ale także zajrzał w oczy zamordowanej. Brytyjczycy najwyraźniej liczyli na cud. Kilemann wiedział już z własnych eksperymentów, że nic podobnego się nie wydarzy. Cudu nie będzie. Tylko zawód i niesmak, ciało ofiary Kuby Rozpruwacza, i tak już zmasakrowane, pozabawiono jeszcze oczu. W drodze powrotnej z Londynu na kontynent Kilemann miał okazję spotkać człowieka, który – jak się okazało – rozumiał go jak mało kto. Był to dziennikarz, wolny strzelec, rodem z Austro-Węgier, a raczej z polskiej części imperium Habsburgów, jak lubił podkreślać. Kilemannowi to nie przeszkadzało, nie miał nic do Polaków. Więcej nawet: jakiś jego daleki krewny był nieco ponad sto lat wcześniej introligatorem na służbie ostatniego króla Polski, co uznawał za ciekawą rodzinną anegdotę. Poza tym w Prusach na co dzień Kilemann miał do czynienia z mazurskimi chłopami, którzy często używali języka polskiego, choć jak najbardziej czuli się niemieckimi poddanymi. Ów rzutki redaktor z Austro-Węgier nazywał się Kamil Kord i był zadziwiająco dobrze zorientowany, jak na swój fach, w nowinkach z dziedziny medycyny sądowej. Kilemann zaczął nawet podejrzewać, że Polak jest detektywem amatorem²⁵, który chciałby pogłębić swoją wiedzę. Naukowiec nie miał problemu z tym, by się nią podzielić. Objaśnił nowe trendy i opowiedział, jak wygląda jego laboratorium, co sądzi o metodach Bertillona, jak można zidentyfikować broń po wystrzelonej z niej kuli, jak najpewniej rozpoznać ludzką krew. W zamian Polak opowiedział mu o pierwszym swoim dziennikarskim śledztwie związanym z tajemniczą zbrodnią. Chodziło o oskarżenie Żydów z miejscowości Lutcza o dokonanie mordu rytualnego. Zbiegło się to w czasie z podobnymi wydarzeniami w węgierskiej miejscowości Tisza-Eszlár. I podobnie jak tam, pierwsze skrzypce grały religijne uprzedzenia i poparte bardziej legendami niż faktami przeświadczenie, że Żydzi potrzebują krwi chrześcijańskich dzieci na macę. Sprawa ciągnęła się latami, aż w końcu wkroczyły najwyższe władze austro-węgierskie, by nie ciągnąć już absurdalnego procesu. Lutczańscy Żydzi byli wolni.

– Czyli byli niewinni? – spytał Kilemann.

– Tak uważam. Przeprowadziłem nawet mały eksperyment z odcisnięciem linii z opuszków palców podejrzanego i porównaniem ich z krwawymi plamami pozostawionymi na ubraniu zamordowanej dziewczyny – odparł Kord z pewną dumą w głosie.

– Ciekawe, oczywiście słyszałem o tej metodzie – podchwycił Kilemann. – Wymaga zapewne dopracowania, by mogła być użyteczna w sądzie, jednak niewątpliwie ma wielką przyszłość. Trzeba tylko przekonać do niej organy ścigania, które przyzwyczyły się już do metod Bertillona. Wolą dokonywać kilkunastu pomiarów głowy i kończyn, niż odbić w farbie parę palców.

– Nie dostrzegają, że to prostsze?

– To, co bardziej skomplikowane, wielu wydaje się bardziej wiarygodne! A poza tym skoro już tyle zainwestowano w uczenie metody Bertillona i w przechowywanie kartotek z pomiarami nosów, uszu i tak dalej, to trudno teraz z tego się wycofać.

Obaj zaśmiali się. Dobrze się rozumieli. Jaka szkoda, że wspólna podróż trwała krótko.

– Jeśli chce pan wiedzieć więcej, zapraszam do Königsbergu albo do Chelchen – uśmiechnął się Kilemann.

– Dziękuję, na pewno kiedyś chętnie skorzystam z tego zaproszenia. – Kord skłonił się grzecznie. – A na razie mamy pocztę i telegraf...

– Proszę się nie wahać i pisać. Zawsze chętnie odpowiem – zapewnił Kilemann.

Kord zdążył mu jeszcze opowiedzieć o tym, jak podczas tropienia śladów Kuby Rozpruwacza wpadł w Londynie na ślady zupełnie innych tajemnic i spisków. W niektóre wręcz trudno było uwierzyć, ale tak to już bywa z rojeniami rozmaitych konspiratorów. Doktor był pod wrażeniem. Kiedy Kilemann pojawił się w Londynie jeszcze raz, przekazał Scotland Yardowi dziwną historię, opowiedzianą przez

Polaka, o rzekomym spisku irlandzkich radykałów na życie królowej Wiktorii. „Chyba Kord nie miałby mi tego za złe? Przecież to tylko zasłyszana opowieść? A Kord stał chyba po właściwej stronie? Był legalistą opowiadającym się po stronie prawa i porządku” – zastanawiał się.

Kilemann mimo wszystko nie pochwałił się Polakowi, jaki był efekt jego gadulstwa. Czuł jakiś absmak. Jeśli jednak chodzi o wspólne kontakty i specjalistyczne porady dla domorosłego detektywa, Kilemann nigdy nie zrobił nic kontrowersyjnego i zawsze dotrzymywał słowa. Nawet gdy jego polski znajomi pytał o rzeczy śmieszne. Na przykład o to, jak doktor ocenia metody stosowane przez Sherlocka Holmesa, tego powieściowego detektywa, który pod koniec XIX wieku znany był już w całej Europie. Opilki na ubraniu, brud na butach, ślady tytoniu – czy naprawdę to wszystko można było tak szybko i łatwo porównać oraz sprawdzić pod mikroskopem? Czy tylko geniusz byłby w stanie ogarnąć wielość dziedzin wiedzy – od nauki o mózgu, przez gleboznawstwo po rusznikarstwo – z których musiał korzystać nowoczesny kryminolog? Kilemann odpowiadał cierpliwie i z wyraźnym zadowoleniem. Czasem i jego polski znajomy potrafił zaskoczyć – jak wtedy, gdy donosił o niejasnościach wokół samobójstwa austriackiego arcyksięcia Rudolfa (które wykrył podczas własnego dziennikarskiego śledztwa) czy opisywał głęboko zakorzoną wiarę ludności haitańskiej w powroty zmarłych z zaświatów (nawet nie wiedział, ile wspomnień z Azyłu Wątpliwego Życia wywołało to w Kilemannie). Można powiedzieć, że za refleksje i wskazówki naukowca dotyczące postępów w kryminologii Kord płacił barwnymi opowieściami ze świata, z pogranicza faktów, plotek i domysłów. Kilemann miał jednak wrażenie, że Polak nie opowiadał mu wszystkiego. Dawkował mu swoje historie, jakby nie zawsze mógł ujawnić całą prawdę. Bo nie chodziło chyba o kwestię braku zaufania? Liczba listów rosła, czasem powracali do tematów poruszonych przed laty. Czy Kuba Rozpruwacz mógł działać także po drugiej stronie Atlantyku, w USA? Czy można było zapobiec śmierci austriackiej cesarzowej Sissi, matki Rudolfa, zadżganej pilnikiem przez anarchistrę? Czy na Karaibach używa się roślinnych i zwierzęcych trucizn, które w odpowiednich dawkach mogłyby stanowić doskonały środek znieczulający – lepszy niż śmiechu warta „siła magnetyczna” Mesmera, gaz rozweselający, opium, chloroform czy eter?

Gdy minęło dziesięć lat ich korespondencyjnej znajomości, Kord zapytał Kilemanna, czy nie chciałby się podzielić swoimi wspomnieniami, które można byłoby wydać w formie książki. Odrobinę polecało to naukowca, ale nie był łasy na sławę – a z takim wyniesieniem ponad innych naukowców kojarzyło mu się wydanie wspomnień. Inna sprawa: co miało po nim pozostać? Nigdy nie założył rodziny. Wszystko poświęcił pracy. A po pięćdziesiątce zaczynało już mu powoli brakować sił. A przynajmniej zaczął odczuwać, że nie jest już w sile wieku, lecz znalazł się na krzywej powoli zmierzającej ku nieuchronnej starości. Gdybyż dało się to zatrzymać! „Może kiedyś, w przyszłości, dzięki postępowi w medycynie mężczyźni koło sześćdziesiątki będą wciąż czuli się młodzieniaszkami, lecz ja już tego nie dołączam” – wzdychał czasami. Wydawało się, że może zostać następcą Seydla na stanowisku dyrektora nowo utworzonego Instytutu Medycyny Sądowej na królewskim Uniwersytecie Alberta. Czuł jednak, że nie podola już temu zadaniu. Potrzebny był ktoś młodszy. I faktycznie: kilka lat później wybrano kogoś młodszego, a zarazem utytułowanego – doktora Geорга Puppego rodem z Küstrin²⁶, który po studiach w Berlinie i zrobieniu doktoratu o stanie kobiet po aborcji kilka lat pracował w Wiedniu pod okiem znamienitych miejscowych fachowców od medycyny sądowej. Tymczasem Kilemann sam coraz chętniej mieszkał z dala od Königsbergu, bliżej mazurskich lasów i jezior. A to w Chelchen, korzystając z gościnności brata Seydla (zapałonego myśliwego, z którym mógł godzinami rozmawiać o broni, pociskach i balistyce), a to w Lyck – coraz szybciej rozwijającym się mieście, w którym można było jeszcze poczuć coś z dawnej sielskiej atmosfery. Pewnego dnia sięgnął nawet po pióro. Lecz nie po to, by pisać swoje wspomnienia. Bo czy zatytułowałby je – jak można było przeczytać na eleganckiej stronie frontowej, wykaligrafowanej gotykiem – *Pruski mór*? Wyglądało to niczym jakieś niepublikowane opowiadanie grozy Edgara Allana Poeego czy E.T.A. Hoffmanna albo mroczna baśń braci Grimm lub Hansa Christiana Andersena, jednak było rozprawką stricte naukową. Kilemann przedkładał swoje badania historyczno-naukowe nad kolejne zbrodnie i spekulacje o optografii. Zresztą w przypadku młodego Wintera i tak żaden eksperyment nie wchodził w grę. Trzeba byłoby najpierw odnaleźć odciętą głowę chłopaka.

ROZDZIAŁ 3:

POJEDYNEK

Brygida – dwukrotna rozwódka, dwukrotna ofiara rozkładu małżeństwa, nieprzypadająca za rolę gospodyni, opiekunki ogniska domowego i słabowitej istoty pozostającej pod męską opieką – miała nowego absztyfikanta. Biednego jak mysz kościelna, niepozornego, starszego o dziesięć lat, a na dodatek dość mało postawnego. A przecież kobiety tak lekceważąco podchodziły do mężczyzn niższych od siebie! Dla wielu, nawet tych o rewolucyjnych przekonaniach, właśnie wzrost mógłby być decydujący. Brygida nie miała jednak problemu z zakochanym niziołkiem, zaś ów filigranowy džentelmen – niejaki Edward Orłowski – tym bardziej. „Ja, który walczyłem jako młodzik pod Sadową i pod Sedanem, miałbym bać się kobiet?” – żartował sobie. „Wykluczone! Raczej niech one się boją takiego ogara jak ja”. Nie brakło mu więc pewności siebie. Niektórzy przypisywali to pochodzeniu. Nie było bowiem tajemnicą, że dziadek Orłowskiego służył w bośniackim regimencie powołanym przez pruskie władze. Był to specjalny oddział lekkiej jazdy, uzbrojony w lance i dość odległy od typowej pruskiej kawalerii. Charakterystyczny był raczej dla Polaków, Ukraińców czy przybyszów z Bałkanów. Stąd ich tradycyjna nazwa: Bośniacy. Dziadek Orłowskiego na dodatek był, jako jeden z nielicznych, Bośniakiem prawdziwym. Urodził się w Sarajewie, którego orientalne cuda przedstawiał wnuczkowi, snując opowieści niczym baśnie z *Księgi Tysiąca i jednej nocy*. Dziadek był muzułmaninem, znał na pamięć mnóstwo fragmentów Koranu, do późnych lat spędzonych w Lyck ubierał się na wschodnią modłę. Wszyscy pytali, dlaczego właściwie zamiast służyć tureckiemu sułtanowi, udał się w poniewierkę po Europie. Nigdy nie odpowiedział, ale szeptano, że prawdopodobnie poszło o jakąś kobietę. O zakazaną miłość, po której salwować się musiał ucieczką z Imperium Osmańskiego. Po drodze, w upadającej Rzeczypospolitej, zmienił nazwisko na Orłowski, poprzedniego nikomu nie ujawnił. Wyznał tylko, że nosił imię Adi, które przez podobieństwo zmienił na Adam. Stało się to już w Prusach, do których przybył, widząc, że Polakom jego usługi nie przydadzą, bo niedługo kraj swój stracą, natomiast Prusy toczą wojnę za wojną i potrzebują dobrych wojaków. Tak zasilili regiment bośniacki pruskiego króla. Kiedy Adam zmarł w bardzo sędziwym wieku, przeżywszy o dwadzieścia lat żonę Mazurkę, Edward miał dziewięć lat. Syn Bośniaka pochował go na małej wyspie na rzece Goldap. Było tam jeszcze kilka innych muzułmańskich grobów. Kiedy jednak Edward dorósł i próbował odnaleźć to miejsce, nie pozostał już po nim ślad. Ojciec zaś nie mógł go wesprzeć w tych poszukiwaniach, ponieważ przedwcześnie zmarł, nabawiwszy się zapalenia płuc podczas zorganizowanego zimą weseliska u znajomych. Zdążył tylko zmienić wiarę i ochrzcić syna. Edward wychowywał się już jako ewangelik. Zachował jednak pamiątki po dziadku i kultywował rozmaite tradycje: znał trochę turecki, pamiętał niektóre mądrości z Koranu, z leżką w oku przeglądał książki i pocztówki przedstawiające Sarajewo – miasto, do którego nigdy nie trafił i nie trafi. Może gdyby rozpętała się światowa wojna, dostałby się tam ze swoją jednostką. Jednak taka wojna za jego czasów nie wybuchła. Edward walczył pod Sadową z Austriakami i pod Sedanem z Francuzami. Niewysoki, ale krępy i niesamowicie silny, został artylerzystą. Zebrał trochę orderów, awansował przez lata na porucznika. Tylko żony nigdy nie znalazł. Na nim ród Bośniaków z Lyck miał się skończyć. No, chyba że on teraz, w wieku pięćdziesięciu lat z haczykiem, znalazłby sobie jakąś młódkę, z którą mógłby spłodzić prawnuki Adama Bez Nazwiska. Niestety, młode dziewczyny się do niego nie garnęły. Jedna spytała nawet: „Okropne! To ilu ludzi zabił pan z armat przez wszystkie te lata wojowania?”. Brygida nie zadawała takich głupich pytań, siwiejące włosy na jej głowie faktycznie świadczyły o mądrości. Była atrakcyjna: wysoka blondynka z długimi nogami i bujnym biustem. Niejeden mężczyzna w sil

wieku zawiesił na niej oko. Tylko jeden w obecności Orłowskiego pozwolił sobie pod kościołem na złośliwą uwagę: „Ta kobyła miała już przynajmniej dwóch właścicieli, a jeźdźców pewnie bez liku. Ja nie lubię czuć się w siodle jak na wytartym bujanym fotelu”. Po tych słowach cham dostał od Orłowskiego po pysku, że aż nakrył się nogami. Podstarzałego artylerzystę i ofiarę jego mocarnej dłoni otoczyła grupka mężczyzn. Taki skandal pod kościołem! Mężczyzn rozdzielono. Ustalono, że sprawę rozstrzygną jeszcze przed świętami, honorowo, w pojedynku.

– Co za bzdury! – sarknął Kilemann, któremu przypadł wątpliwy zaszczyt bycia jednym z sekundantów w tym pojedynku, do spółki z byłym strażnikiem więziennym Giesiem, sąsiadem Orłowskiego ze starej kamienicy nad jeziorem. Pocziwina zapukał potem do drzwi Edwarda i starał mu się wyperswadować walkę. Spoglądał przy tym niemal błagalnie na Kilemanna, jednak Orłowski był nieublagany i niemal zatrzęsął przed sąsiadem drzwi.

– Że też władze w Berlinie nie zrobiły jeszcze porządku z tymi pojedynkami i całym tym żądaniem satysfakcji! – narzekał tymczasem Kilemann. – Ba, jeszcze moi oficerowie wypowiadają się na lewo i prawo, że hańbą jest takie żądanie odrzucić, bo honor cenić trzeba wyżej niż życie, zaś każda walka jest cenną lekcją. Idioci. A nawet papież mówił niedawno, że pojedynek to podwójna zbrodnia: jednocześnie zabójstwo i samobójstwo. Zaś nasz filozof radził przed laty: każdego, kto pośle lub przyjmie wyzwanie na pojedynek, powinno się zabrać na odwach i wymierzyć tuzin kijów. Sekundanci powinni dostać z rąk policjantów po sześć. Skończy się pojedynkowanie i pajacowanie. A jak ktoś uważa coś za tak wielką ujmę na honorze, że żyć już nie może, to niech sobie w łeb strzeli. Bo lepiej, jeśli wariat sam się zabije, niż żeby mordować miał jeszcze innych.

– Przystań już głądzić i pleść o filozofach. Nie chcesz być moim sekundantem, to nie bądź! – rzucił mu wściekle Orłowski znad kufla z piwem. Znali się już dość dobrze, ponieważ Edward był w dworku w Chelchen z racji wspólnej służby z jednym z członków tamtejszej rodziny ziemiańskiej, inżynierem specjalizującym się w sztuce artyleryjskiej.

– Oczywiście, że będę. Ktoś musi cię potem pozszywać – zachnął się Kilemann.

– Mnie? Mnie będą szyc? – Orłowski z brzękiem odstawił pusty kufel.

– A nie wiesz, z kim zadarłeś? To Bazil, stary zabijaka, służył kiedyś w Huzarach Śmierci.

– Phi, też coś. Już narobiłem w portki – prychnął Orłowski. – Niech jeszcze przyjdzie w tym swoim kołpaku z pióropuszem i totenkopfem.

Orłowski żartował, a jednak okazał się dobrym prorokiem. Na miejsce pojedynku, na niezamieszkanym wzgórzu nad Lycker See, kilka minut jazdy od Wyspy Zamkowej, Bazil faktycznie przybył w wielkiej futrzanej czapie z trupa główką. Miał też na sobie tradycyjną kurtkę huzarską. Nawet koniem przyjechał siwym, jak podczas służby. Potykać się z Orłowskim mieli jednak pieszo.

– Może pan Orłowski przemyśli jednak przeprosiny – zaczęli Kilemanna sekundanci Bazyla: inżynier Mayer i król drobiu Uecker.

– Ani o tym myśli – odparł Kilemann.

– Niechże pan jakoś na niego wpłynie. – Uecker ściszył głos. – Wachtmeister Bazil był gwiazdą Pierwszego Pułku Przybocznego Huzarów. To elita cesarstwa.

– A leutnant Orłowski to niby wypadł sroce spod ogona? – spytał rozdrażniony Kilemann.

– Ale oni nie z armat będą do siebie strzelać, tylko pójdą na szablę, do pierwszej krwi. – Uecker głośno przelknął ślinę.

– Orłowski miał dziadka, który ponoć nieźle szablą robił w Bośniakach. Może go czego nauczył – odparł Kilemann.

– Równie dobrze możesz pan powiedzieć, że nazwisko ma polskie, a Polak rodzi się z szablą. A i tu-recka krew dobra, żeby gardło komu poderżnąć – sarknął Mayer, przybierając całkiem ton Rahma, jakby nieobecny kolega z MaUeR-a był duchem z resztą towarzystwa.

– Temat skończony. – Kilemann odwrócił się i odszedł.

Gieś właśnie kończył czyścić szablę Orłowskiemu. Nie było na niej rdzy ani wyszczerbień. Mogła ciąć i kłuć, na pohybel Bazilowi i jego kolegom z muchami w nosie. Nie bacząc na chłód, ubrani tylko w białe koszule, na których pierwszorzędnie widać byłoby pierwszą krew, obaj przeciwnicy stanęli naprzeciw siebie. Jeden niski, krępy, wyprostowany, siwy jak gołąb, z rzadkim zarostem ciągnącym się pod nosem, pod ustami, aż do skromnych bokobrodów. Drugi wysoki, pająkowatej budowy, pochylony, lysy, z sumiastymi wąsami spływającymi aż do brody. Tylko błyszcząca stal w dłoniach obu przeciwników była identyczna. I obaj byli praworęczni. Po sygnale od sekundantów ręce poruszyły się. Ostrze uderzyło o ostrze. Wyglądało to, jakby z rąk walczących posypały się iskry. Bazil natarł z takim impetem, że szabla aż zadrżała w garści Orłowskiego. Ostrza zazgrzytały, mężczyźni siłowali się przez chwilę, a potem Edward odepchnął rywala. Bazil zamachnął się, lecz jego szabla skosiła tylko powietrze, bo Orłowski w porę uskokczył. W rewanżu próbował dźgnąć Bazila, ale ten odbił jego ostrze, jakby opędzał się od muchy. Nacierali na siebie jeszcze tuzin razy, ale żaden nie potrafił uzyskać przewagi. Szczęk broni niósł się ze wzgórza, między pozbawionymi liści gałęziami drzew. Błoto chlapało dookoła ich ruchliwych stóp. Była dziewiąta rano, wiał zimny wiosenny wiatr. Być może to nie broń rywala stała się największym zagrożeniem dla walczących, lecz potencjalne zapalenie płuc.

Były artylerzysta i były huzar wymienili wściekle groźne spojrzenia, ale krople potu na czołach i plamy na koszulach świadczyły, że o ile gniew nie mijał, to siły, i owszem, zaczęły ich opuszczać. Nie byli już młodzieniaszkami. Coraz częściej każdy z nich przybierał postawę obronną. Zaczynało brakować sił do ataku. Sekundanci wymienili spojrzenia. Wiedzieli jednak, że w pojedynkujących się nie ma woli zaprzestania walki i porozumienia. Honor i podrażniona ambicja paliły ich bardziej niż siniaki, spracowane kości i obolale mięśnie.

– Nieźle go kogucika sobie ta sterana kobyła wybrała, nie powiem – wymamrotał Bazil tak cicho, że słyszał to tylko Orłowski.

Z wściekłością wyprowadził cięcie na wysokości ust potwarcy, jakby chciał przeciąć mu tę paskudną, niezamykającą się jadaczkę. Lecz Bazil najwyraźniej tylko na to czekał. Zrobił unik, przerzucił szablę do drugiej dłoni i wyprowadził szybki sztych. Nadziały Orłowskiego jak na rożen, gdyby ten w porę nie połapał się w zamiarach rywala. Uniknął ataku i wyprowadził cios w pochylonego Bazila. Ten zdołał zatrzymać uderzenie, ale pod jego impetem aż oparł się na kolanie. Siłowali się, ostrza zgrzytały o siebie. Orłowski szarpnął szablą. Ostrzem nie mógł dosięgnąć Bazila, ale grzmotnął go prosto w zęby kabląkiem od rękojeści. Stary huzar zachwiał się. Błysk triumfu pojawił się w oczach Orłowskiego. Bazil jednak tylko się zachwiał, nic więcej. Dał się zaskoczyć, ale wyprowadził kontratak, nim Orłowski nacieszył się chwilowym sukcesem. Koniuszek szabli przejechał po prawym boku artylerzysty. Orłowski syknął, sekundanci krzyknęli.

– Pierwsza krew! – wrzasnął Uecker, a Mayer i Kilemann zaczęli rozdzielać walczących.

Tylko Gieś patrzył jak urzeczony, jakby chciał, żeby walka toczyła się dalej. To jednak mogło skończyć się tragicznie, obaj nie żartowali, podeszli do pojedynku śmiertelnie poważnie.

– Przynajmniej dostał po gębie – mruknął niezadowolony z finału walki, rozczochrany i zasapany Orłowski. – To tylko draśnięcie – dodał rozdrażnionym tonem, gdy sekundant sprawdzał, co z jego bokiem.

– Krew to krew, nieistotne, że rana jest powierzchowna – rzucił Kilemann. – Ważne, że nikt nie zginął. Ten wielkolud mało cię nie nabił na szablę jak chrząszcza na szpilkę. Naprawdę urządziliście tu jatkę; gotowi byliście się pozabijać za kilka prostackich słów o obcej kobiecie...

– Daruj sobie – przerwał mu Orłowski. – Dopadł mnie, ale przynajmniej zamknąłem mu tę parszywą szczekaczkę – powtórzył z pewną satysfakcją.

Bazil, choć ogłoszony zwycięzcą, stał z boku, pod drzewem. Wypluwał z ust krew. Razem z nią wypadły mu kawałki ukruszonych zębów. Nędzny i bolesny był ten jego triumf. „A na dobrą sprawę, czy to ja wygrałem?” – zadumał się. „Poczułem krew w ustach, jeszcze zanim ciąłem go po żebrach. Co w takim

przypadku?” Nikomu jednak nie powiedział, wołał nie ryzykować. W miasto poszła wieść, że niezwy-
ciężony Huzar Śmierci znów wygrał.

ROZDZIAŁ 4:

TAJEMNY POKÓJ

W deszczową sobotę przed Niedzielą Palmową współtowarzyszkom pani Beaty nie wystarczyła już gra w ruletkę i piętrzące się obok talerze pełne ciast, spomiędzy których wystawały szyjki butelek z szampanem, winem i nalewkami.

– Moja droga – ziewnęła Gertruda, w ten sposób upodabniając się bardziej do strudzonego lenistwem kota niż do kury. – Zdradziłaś nam, że ten domek odziedziczyłaś po swoim mężu. Korzystamy z salonu do gry i dobrodziejstw kuchni. Ciekawe jednak jesteśmy, co znajduje się na pięterku, na które nigdy nas nie wpuściłaś. Z zewnątrz nic nie widać, okiennice zawsze są zatrzęsnięte, więc wygląda to dość tajemniczo.

– A czego się spodziewacie? – Beata wzruszyła ramionami.

– Jeśli tu świętej pamięci małżonek zapraszał kolegów na hazard, to na górze zapewne są sypialnie. – Brygida chrząknęła znacząco, bawiąc się koło ucha puklem lekko już siwiejących jasnych włosów.

– Co też przychodzi ci do głowy? – Dorota spojrzała na siostrę z obrzydzeniem.

– A to coś niezwykłego, że ktoś może się zdrzemnąć po nocy spędzonej na hazardzie? – obruszyła się Brygida.

– No... Myślałam, że masz co innego na myśli. Że jak zawsze chcesz kogoś obrazić.

Pulchna siostra Herta z pewnym rozbawieniem spojrzała na kłócące się siostry, a Gertruda zerknęła znacząco na Beatę. Twarz gospodyni była kamienna jak zawsze. Nie przecięła jej ani jedna rysa zmieszania czy złości.

– Bardzo się zdziwicie – powiedziała tylko. Owszem, jakiś głos wewnątrz podpowiadał jej, by dodała, że nie zastaną tam nieprzyzwoicie udekorowanych pokoi z nieskromnymi aktami na ścianach, nie wypatrzą luster nad łózkami, nie wyobrażą sobie porzuconych resztek kobiecej garderoby. Uchodziła jednak za damę i nie wypadalo jej być tak ordynarną.

– Mnie nic nie zdziwi – zagadkała Gertruda. – Po prostu jestem ciekawa.

– To zapraszam.

– Lecz może nie ma tam nic godnego uwagi – wtrąciła Dorota. – Chcecie oglądać strych, rozdrzeć suknie o gwoździe, zakurzyć pantofle...

– Ależ są tam rzeczy bardzo ciekawe – przerwała jej Beata. – Chodzi o to, że to rodzaj... hm... muzeum.

– Muzeum? – powtórzyły jak jeden mąż pozostałe panie.

– Tak. Nie wiem, czy którąkolwiek z was zainteresuje. Natomiast na pewno pomoże lepiej zrozumieć, jak i dlaczego w tym domu znalazł się stół do ruletki.

Beata wzięła lampę naftową, a potem ruszyły gęsiego wąskimi schodami na poddasze. W stronę pomalowanych na biało drewnianych drzwi z ozdobami w kształcie rombów, serc, strzał i liści. Gospodyni przekazała lampę Gertrudzie, a sama zaczęła gmerać kluczem przy zamku. Potrwało chwilę, nim zaskrzeczał paskudnie i drzwi dało się otworzyć. Gdy weszły do wnętrza, Beata wyjęła zapalki i zaczęła zapalać świece w lichtarzach – jednych rozstawionych na stole pośrodku, innych przymocowanych do ścian. Dopiero gdy na poddaszu się rozjaśniło, kobiety zrozumiały, o jakie muzeum chodziło. Wzdłuż

wszystkich ścian ustawione były wysokie gabloty, niektóre zasłaniały nawet okna. W nich zaś rozłożone były małe kolorowe obiekty.

– To znaczki? – zapytała Gertruda. – Twój małżonek zbierał znaczki? Pamiętam, jak mój...

– Chyba musisz zacząć nosić okulary, przyjaciółko – przerwała jej Brygida.

– Och! – Gdakanie zamieniło się w pełne zakłopotania westchnięcie.

– Jak widzicie, mój mąż był kolekcjonerem i zostawił mnie ze swoimi nikomu niepotrzebnymi zbiorami – podsumowała Beata.

W gablotach znajdowały się karty do gry. Niektóre bardzo stare, z symbolami prawie nieprzypominającymi tych, które panie z Willi z Pruskim Murem znały jako akcesoria służące do wróżenia lub gier. Maczugi, miecze, puchary, złote monety, słońca, korony – można tylko było się domyślać, jakich współczesnych kolorów były odpowiednikami. Zaś niektóre figury tak wystylizowano, że w oczywisty sposób przypominały postacie historyczne.

– Spójrz, to chyba Aleksander Wielki. – Brygida wskazała Dorocie jedną z kart.

– Raczej Juliusz Cezar, prawie łysy jest, w wieńcu laurowym.

– A co, Aleksander nie mógł być łysy?

– Przecież zmarł młodo. Nie zdążył wyłysieć.

– Tu nie będziecie miały kłopotu. – Beata postukała w szybką sąsiedniej witryny. – Są podpisane. Karol Wielki, Napoleon, Kleopatra, Joanna d'Arc.

– Joanna d'Arc? – zdziwiła się Dorota. – Ktoś wydrukował na kartach czarownicę?

– Dla Anglików to czarownica, dla Francuzów święta – poprawiła ją Brygida.

– Ale jednak nie uchodzi – upierała się blondynka.

– Czarownica ci przeszkadza, przyjaciółko? – westchnęła Beata. – To co powiesz o tej galerii kart do tarota?

Były tam i Diabeł, i Śmierć, i Wisielec, i magiczne kręgi, i pogańscy mędrcy, i okultystyczne symbole, i znaki zodiaku, tortury, kochankowie, wojna. Dorota przeżegnała się.

– Od tego lepiej trzymać się z daleka, nawet w muzeum – burknęła.

Jej siostra zaniósła się głośnym, tubalnym śmiechem.

– Za to ruletka jest drogą do świętości, siostrzyczko – parsknęła na koniec.

– Co innego gra, co innego wróżenie z przywoływaniem demonów – odparła Dorota.

– Spokojnie. – Beata położyła jej rękę na ramieniu. – To tylko eksponat, jesteśmy w muzeum.

– Spójrz lepiej tutaj, Dorotko – zawołała ją Gertruda. – To poprawi ci humor.

Palcem wskazała rozłożoną talię kart z satyrycznymi rysunkami z codziennego życia: ludzie przy pracy i w domu, kłócący się i obejmujący. Ktoś ze szpadlem, ktoś w lektyce, ktoś na szczudłach, ktoś przy stole – ilustracje wykonano z humorem.

– Jak widzicie, są tu nawet karty z nutami, z opisami geograficznymi dalekich krain albo z wizerunkami mieszkańców wszystkich rejonów Rosji – opowiadała Beata. – Mąż gromadził te cudactwa przez całe lata. Dla siebie; nie chwalił się nikomu, że je kolekcjonuje.

– A czy pani świętej pamięci małżonek nie chciał czasem wydrukować własnych tali? – odezwała się małomówna Herta, wskazując gablotę w kącie, w której umieszczone były matryce i kamienie litograficzne do odbijania kart.

– Nie sądzę. To tylko kolejny eksponat – uznała Beata. – Chociaż kto go tam wie? Dość krótko byliśmy małżeństwem. Nie zwierzył mi się ze wszystkich swoich niezrealizowanych planów. Może i zamierzał wydać jakąś, powiedzmy, mazurską talię kart? Z rybami, drzewami, jeziorami i krzyżackimi zamkami. Ze wszystkim tym, czego mamy tu w nadmiarze – zaśmiała się.

– A co to za deszczulki? – zapytała Gertruda tak głośno, że jasne było, iż domaga się odpowiedzi.

Beata podeszła do niej, pozostawiając Hertę samą.

– Pytasz o te dłuższe na górze czy okrągłe na dole? – spytała.

– I o jedno, i o drugie.

– Jeśli dobrze pamiętam, górne to chińskie tabliczki do grania. Chociaż sama gra bardziej przypomina domino niż nasze gry karciane. – Beata poskrobała się po czole, jakby chciała sobie przypomnieć więcej szczegółów. – A te dolne żetony to gra karciana z Indii. Jej zasad zupełnie nie znam. Wystarczy mi, że ma piękne obrazki. Nigdy w nią nie grałam.

– I tak sporo pani pamięta, jak na osobę, która tylko pobieżnie знаła tajemną pasję swego męża – uważała siostra Herta.

– W końcu poznałam swego męża w kasynie, więc nie był mi to temat obcy. A trochę potrwało, zanim odziedziczyłam tę bogatą kolekcję. – Beata wzruszyła ramionami. Jej szczerość, prawdziwa lub udawana, była jednak dość dziwna. Jakby niestosowna.

Pozostałe kobiety spojrzały po sobie. Niejedna zaczęła rachować w głowie, ile właściwie czasu para była małżeństwem, nim biedny burmistrz rozchorował się, porzucił urząd, a potem zszedł z tego świata.

ROZDZIAŁ 5:

KORESPONDENCYJNY PRZYJACIEL

Coraz donośniejsze echa sprawy Wintera wytręcały Kilemanna z równowagi. Chciał w spokoju pisać swoją pracę o pruskim morze. Analizować, co stało się w wieku osiemnastym i co może przynieść przyszłość. Jakiego typu zarazki i choroby mogą wstrząsnąć Niemcami i jak należałoby temu przeciwdziałać. Natomiast informacje z Konitz sprawiły, że ów pruski mór nabierał nagle znaczenia metaforycznego. Bo przecież każdy kraj mogą doprowadzić do upadku nie tylko zarazy, ale i epidemie nienawiści, polityczny obłęd. To plagi nawet silniejsze niż przecinkowce cholery. W korespondencji z Kordem wielokrotnie zetknął się z tym tematem – bo polski znajomy Kilemanna wybrał swoją życiową drogę właśnie pod wpływem śledztwa w sprawie domniemanego mordu rytualnego w Galicji, kilkanaście lat wcześniej. Podejrzanymi była rodzina Ritterów. Sprawę początkowo bagatelizowano. „Wiek dziewiętnasty zanadto jest światłym, aby dał wiarę podobnym baśniom” – pisał profesor Blumenstok z Krakowa, opisując sprawę Ritterów. Wierzył w naukę i prawo, ale okazał się zbyt wielkim optymistą. Sprawa Ritterów rzuciła długi cień. Podgrzewała uprzedzenia. Kord pisał Kilemannowi, że wiedział o nich wszystko, bo i sam był na nie podatny.

Zaczęło się w marcu 1882 roku, gdy dwóch chłopców z Podkarpacia odkryło w lesie gnijące zwłoki kobiety z grubym jasnobrązowym warkoczem, ledwo skryte pod resztkami koszuli. Rozpoznano ją jako zaginioną kobietę z miejscowości Lutcza. Miała trzydzieści pięć lat i nazywała się Franciszka Mni-chówna. Była panną mieszkającą u swej ciotki i żyjącą z usługiwania sąsiadom i w parafii. Obdukcja wykazała, że została zamordowana. Była w trzecim lub czwartym miesiącu ciąży. Płód morderca wyszarpał z jej brzucha, jakby nie wystarczyło mu, że poderznął kobiecie gardło. Pojawiły się plotki, że to dziecko – bękart! – któregoś z pracodawców Franciszki. Jedni myśleli o księdzu, inni stawiali na żydowskiego sklepikarza Rittera. Ta druga wersja zyskała popularność, gdy wygrzebano legendę o mordach rytualnych popełnianych rzekomo przez Żydów. Właśnie na tym etapie sprawą zainteresował się Kamil Kord, wówczas jeszcze gołowąs. Śledził właśnie informacje o podobnym, wydawało się, przypadku niejakiej Estery Solymossy na Węgrzech. Zaraz trafił na książki, w których bez cienia wątpliwości przekonywano, że Żydów stać na takie okrucieństwa. Choćby *Tajemnice Talmuda* profesora doktora Augusta Rohlinga, teologa i wykładowcy z uniwersytetów w Pradze, Münster i Milwaukee. Potwierdzały to poniekąd zeznania pewnych podkarpackich Żydów o tym, że ich współwyznawcy zwykli wymować płody z ciał martwych matek. Chodziły nawet słuchy, że smarowali przyrodzenia żydowskich chłopców krwią chrześcijanek, wierząc, że dzięki temu będą bardziej płodni, gdy dorosną. Kord w 1882 roku pochłaniał takie mądrości i przekazywał dalej. Rozповідаł, że naród wybrany stał się narodem wyzyskiwaczy. Zajechał do Drezna na tzw. pierwszy międzynarodowy kongres antyżydowski. Zawarł tam znajomość z antysemitycznym agitarem i politykiem Henricim, później podróżnikiem znanym z eskapad do kolonii w Afryce. Porozmawiał także z pastorem Stoeckerem, który twierdził, że każdy prawowierny chrześcijanin powinien nienawidzić Żydów. Potem w Krakowie śledził proces słynnego malarza Matejki z doktorem Eibenschützem, którego tłem były właśnie wątki antyżydowskie. Kilemann nie znał tych osobistości, ale wierzył Kordowi na słowo, że całe miasto gotowe było zgromadzić się w sądzie lub pod sądem, by śledzić przebieg sprawy.

Kord stał się rasowym antysemitą i byłby nim pozostał, gdyby nie zbieg kilku przypadków. Po pierwsze, poznał bliżej parę osób żydowskiego pochodzenia, którym – jak się okazało – daleko było do potworów. Po drugie, skonfrontował swoje poglądy z kilkoma autorytetami, których wiedza miała znacznie

bardziej rzetelne źródła od legend i tendencyjnych opowieści kronikarzy. Po trzeciej, przeprowadzając własne śledztwo w sprawie Ritterów i stosując naukowe metody, nabył podejrzeń, że to wcale nie stary Ritter i jego rodzina byli winni mordu na Franciszce Mnich. Po czwartej zaś, przekonał się, że za antysemitkami hucpami często stoją istotne władze lub ich służby. Mogą one rozkręcać aferę lub ją gasić – w zależności od potrzeb rządzących i elit. Prawda nie była dla nich najważniejsza. Podobnie było zresztą, niestety, z prasą... Po piątej, poprzez rozpowszechnianie mitów o Żydach i robienie z nich kózła ofiarnego ukrywano fakty niepopularne. Łatwiej zarzucić im, że zamordowali dziewczynę i wyjęli jej płód, niż na przykład zastanowić się, czy nie doszło do nieumiejętnej i nieudanej aborcji, po której ktoś usiłował brutalnie zatrzeć ślady. Łatwiej było uznać za ojca dziecka Franciszki Mnichówny żydowskiego sklepikarza niż księdza czy krewnego. Łatwiej wymuszać zeznania od wystraszonych Żydów, niż zająć się porządną pracą śledczą. Łatwiej wydawać orzeczenia lekarskie zbieżne z oczekiwaniami opinii publicznej, niż sięgać do opinii specjalistów od medycyny sądowej. A im dłużej trwał proces Ritterów, tym bardziej wykoślawiał się obraz sprawy w oczach opinii publicznej. Była już znutzona procesem i potrzebowała nowych bodźców, krążyły coraz to nowe plotki. Przekreślano imiona i wiek. Ktoś zrobił z Mnichówny Ukrainkę; ktoś pisał, że jej zwłoki odkryto w stercie gnoju. Śmierć biegłych lub świadków stawała się przyczynkiem do szerzenia teorii spiskowych. A po paru latach doszło do tego, że gdy w Londynie zaczął grasować Kuba Rozpruwacz, któraś z brytyjskich gazet wyciągnęła przykład procesu Ritterów jako dowód, że mordercą z Whitechapel może być jakiś obłąkany żydowski emigrant z Europy Wschodniej... Antysemitki cyrk mógł trwać dalej. Czy Kubą Rozpruwaczem faktycznie mógł być jeden z żydowskich imigrantów z Europy Wschodniej? Kord tego nie wykluczał. Zadziwiało go jednak, jak łatwo kierowano podejrzania na obcych. Sam poświęcił wiele lat na tropienie śladów Rozpruwacza, bez skutku. Czy to były stracone lata?

„Czy to my szukamy swoich »koników«, czy to one wyszukują nas?” – pisał Polak w liście do Kilemanna. „Powiedziałem sobie, że czas porzucić poszukiwania Rozpruwacza. Zdarzyło się jednak, że podróżując przez stan New Jersey, przypadkiem nocowałem w hoteliku w okolicy cmentarza w Rahway. W barze zaczął mnie włóczyć, który za parę drobniaków obiecał opowiedzieć mi historię, jakiej nie znałem. Okazało się, że na cmentarzu pochowano wiosną 1887 roku ofiarę morderstwa pod miejscowym mostem, przypominającego późniejsze londyńskie zbrodnie Kuby Rozpruwacza z roku 1888. Wziąłem to za bajdy, ale następnego dnia sprawdziłem prasę w miejscowej bibliotece, popytałem kilka osób i zdębiałem. Było tyle podobieństw! Brutalny atak, ale bez widocznych śladów gwałtu. Głębokie ciosy nożem, aż do kości. Gardło ofiary poderżnięte od ucha do ucha, tak że głowa nieomal została odcięta. Ciało zmasakrowane i porzucone na uboczu w kałuży krwi. Tożsamości nieszczęśliwej kobiety nie ustalono. Była młoda, miała brązowe włosy i niebieskie oczy. Dość elegancko ubrana, w ciemnozieloną kaszmirową suknię obszytą piórami, do tego kapelusz, rękawiczki i futrzana peleryna. Obok jej ciała znaleziono kosz z jajkami, zapewne należący do kobiety. Bo przecież to chyba nie morderca przyczaił się z zakupami, a po zbrodniczym akcie o swoich sprawunkach zapomniał. Ani nie świadek, który potem zapomniał języka w gębie. Czyżby kobietaniosła te jajka w prezencie? A może dostała od kogoś? Albo była na zakupach? Lecz nikt nie zgłosił jej zaginięcia, jakby nikogo nie znała i nikt o nią się nie troszczył. Zabił ją ktoś z rodziny? Lecz czy wtedy porzuciliby zwłoki, zamiast gdzieś je ukryć? Wtedy zrozumiałem, że mogła być imigrantką, świeżo przybyłą do Ameryki. Być może miała tylko adres jakichś dalekich znajomych i szła do nich z drobnym prezentem, lecz nigdy nie dotarła, bo na jej drodze stanął zbrodniarz. Zaś rodzina pomyślała, że zmieniła plany i została w nowojorskim porcie. Wokół ofiary znaleziono ślady stóp, jednak do niczego policji nie doprowadziły. Ta bezradność organów ścigania wywołała podejrzenia, że za zbrodnię mógł być odpowiedzialny Kuba Rozpruwacz, który bezkarnie podróżował i mordował po obu stronach Atlantyku. Opowiadał sobie o szalonym doktorze, który handlował ludzkimi organami i z czasem popadał w coraz większy obłąd. Kiedy dopytywałem o tę sprawę, zaczął mnie, znów w barze – cóż za znakomite miejsce na prowadzenie dziennikarskich dochodzeń – pewien pracownik miejscowej kolei. Wręczył mi naszkicowany portret mężczyzny z wysokim czołem, głęboko osadzonymi ponurymi oczami i sumiastym wąsem. »To on« – powiedział. »To jest

Kuba Rozpruwacz«. Potem dowiedziałem się, że portret przedstawia niejakiego McDermotta, irlandzkiego radykała, który krąży między Wielką Brytanią i Stanami Zjednoczonymi. Tylko czy człowiek podkładający bomby, nawet najkrwawszy terrorysta, jest też zdolny do skatowania niewinnej kobiety na poboczu drogi?

Pomyślałem wówczas, że w naszych czasach przemocy jest tak dużo, kobiety narażone są na ataki tak często, że trudno o każdy z nich obwiniać Rozpruwacza. W rzeczywistości imię jego jest Legion, jak mówi Pismo. A ofiary... Nie mogłem opędzić się od myśli o tej zabitej młodej kobiecie. Pochowano ją na obrzeżach cmentarza w Rahway, bo nie wiadomo, kim była i w co wierzyła. Niektórzy purytanie podnosili nawet, że nie wiadomo, »jak się prowadziła«. Naprawdę sądzili, że to była kobieta lekkich obyczajów, szukająca nocą klienta z koszem jajek w dłoni? Zrozumiałem też wtedy, że zamiast szukać Kuby Rozpruwacza, powinienem był poświęcić swój czas, zapał i talenty na przywrócenie tożsamości ofierze. Może była jakaś szansa, by ją zidentyfikować? Wydawało się to szalenie trudne, zgoła niemożliwe, ale spróbowałem. I wtedy okazało się, że takich jak ja jest więcej. Nowojorscy dziennikarze, do których skierował mnie znajomy amerykański fotoreporter, dowodzili swego czasu, że ofiarą mogła być przybyła z Glasgow Mary Dorman. Tak przynajmniej twierdziła jej szkocka rodzina. Uznałem, że trzeba kuć żelazo, póki gorące. Płynę zatem do Liverpoolu ze wszystkimi materiałami, które uzyskałem. Dalej wyruszę koleją do Glasgow. Trzymaj za mnie kciuki, przyjacielu. Może w końcu, dochodząc już do czterdziestki, uda mi się zrobić coś użytecznego dla innych...”

Kilemann musiał przyznać, że Kord mu zaimponował. I nagle pomyślał, że sam też powinien kiedyś zrobić więcej, niż nakazują mu obowiązki, przepisy i doświadczenie zawodowe. Chciałby, nawet ryzykując własną reputację, zająć się czymś, co inni porzucili. Pomóc komuś, kogo inni pozostawili na lodzie. *Pruski mór* poczeka.

Musiał przerwać dumanie, gdy rozległo się pukanie do drzwi. Poczciwy Gieś przyprowadził Orłowskię, który lekko skarżył się na zraniony bok. A kto może pomóc w środku nocy, jak nie znajomy lekarz – nawet jeśli jest głównie specjalistą od trupów?

ROZDZIAŁ 6:

ZŁA WRÓŻBA

– Wróżyła pani kiedyś z kart? – spytała nagle Gertruda, odwołując siostrę Hertę powozem do domu po wieczorku w Willi z Pruskim Murem.

– Skądże! – Młoda kobieta wzdrygnęła się. – W ogóle z kartami niewiele miałam do czynienia. Może jak byłam dzieckiem, graliśmy z rodzicami w pszczołkę.

– W co takiego? – Kura Getruda nadstawiła ucha.

– W pszczołkę – powtórzyła Herta.

– To znaczy?

– Tak prosta gra, że nawet dzieci rozumieją. Przy dobieraniu kart trzeba bzyceć jak pszczoła.

– Aha. – Gertruda ściągnęła usta w dziób. – O to chodzi.

Zapadła nieco krepująca cisza. Nie miały wspólnych tematów. Herta była nowa w klubie.

– Może jednak powinna pani spróbować – znów zagaiła Gertruda. – Przyznam, że ja każdą decyzję, podejmowaną przez męża, konsultuję z kartami.

– Ale ja nie wierzę w moc kart.

– W wygraną na loterii pewnie też pani nie wierzyła.

Chwilę jeszcze przerculowały się argumentami, aż wreszcie siostra Herta ustąpiła. Nie wiedziała, do czego ta rozmowa zmierza. Stało się to jasne, gdy zgodziła się „zawierzyć kartom”. Gertruda nagle zmieniła się nie do poznania. Wyprężyła się i władczym głosem zatrzymała powóz. Ten zjechał lekko na pobocze, gdzieś w stronę jeziora.

– Lampa! – poleciła.

Potem nałożyła na nos binokle, z jakiegoś schowka wyciągnęła talię miniaturowych kart, niewiele większych od znaczków pocztowych, a ze ściany powozu wysunęła składany pulpik. Rozłożyła go tuż pod szybą, by dobrze oświetliła go wisząca na zewnątrz powozu naftowa lampa, właśnie rozpalona przez stangreta. Herta obserwowała to z mieszaniną zaciekawienia i rozbawienia. Jak zdążyła się zorientować, Gertruda miała wśród koleżanek opinię safandudy. A tu nagle zamieniła się w taki wulkan energii.

– Ułożę pani piramidę – oznajmiła Gertruda. – Nauczyła mnie tego kiedyś znajoma Cyganka. Wie pani, że one mają talent do wróżenia. Jedną z nich będzie pani. – Pokazała Hercie cztery damy. – Umieścimy ją na szczycie piramidy. Pod spodem muszą zmieścić jeszcze sześć rzędów po dwie, trzy, cztery, pięć, sześć i na koniec siedem kart.

– Te rzędy mają znaczenie?

– Oczywiście.

– To weźmy na przykład...

– Najpierw niech pani wylosuje, kim jest – przerwała Gertruda, przetasowując damy i podstawiając młodej kobiecie pod nos. – Proszę.

Herta wyciągnęła kartę ze środka i odwróciła. Dama trefl. Gertruda pokiwała głową.

– To dobrze? – Herta wbiła w nią wzrok. – Dobrze wyciągnęłam?

– Nie chodzi o to, czy dobrze czy źle – odparła Gertruda. – Po prostu ta karta panią charakteryzuje. Pokazuje, kim pani jest, przynajmniej w tej chwili.

– I kim jestem? – Herta uniosła brew.

– Kobieta, która kieruje się sercem.

– Zaraza zaraz, to nie powinnam być damą kier?

– Dama kier jest kobietą szczęśliwą, zakochaną. Pani jest kobietą, która kieruje się sercem, lecz szczęśliwa nie jest. Trawi panią jakiś ból, zmartwienie, zgryzota.

Herta przygryzła wargę, podczas gdy Gertruda rozstawiała kolejne rzędy kart – zakryte, rewersem do góry.

– Chyba nie jestem pewna, czy chcę, żeby pani to kontynuowała – wyszeptła w końcu zakonnica.

– Dlaczego? – zapytała Gertruda, nawet nie przerywając rozkładania kart.

– Boję się, co można z nich odczytać.

– Prawdy się pani boi? – mruknęła Gertruda.

– Nie – odpowiedziała twardo Herta. – Boję się tego, jak interpretuje się te karty. Mogą pokazać zupełnie bzdury, ale będziemy starały się je dopasować do mojej osoby i mojej sytuacji. To krepujące i denierujące.

– Ależ tu chodzi o to, by poczuć się lepiej. – Gertruda spojrzała na zakonnice z jakąś nadzwyczajną łagodnością, a jej szorstki głos stał się ciepły i miły. – Karty mają pomóc nam zapanować nad życiem. Dokonać oceny, co jest ważne, a co nie. Podpowiedzieć właściwą decyzję.

– Mówi pani o tym tak, jakby te kolorowe kartoniki były lekarzem – zachnęła się Herta.

– Bo mogą być. Pytała pani, czy te rzędy mają znaczenie. Tak, mają. Na górze jest pani. Z drugiego rzędu poznamy sytuację, w jakiej teraz się pani znajduje. Może jest pani na jakichś życiowych rozstaniach dróg? Trzeci rząd mówi o pani zdolnościach, talentach, możliwościach. Oraz o przyjaciółach i innych ludziach, na których można liczyć. Rząd czwarty ma znaczenie odwrotne – opowiada o czyhających niebezpieczeństwach oraz przeciwnościach, na jakie jest pani narażona. Piąty rząd pokazuje, co pani już przeszła i przeżyła. A przynajmniej te wydarzenia i emocje z przeszłości, na które trzeba zwrócić uwagę. Z przedostatniego rzędu dowiemy się o pani teraźniejszości i perspektywach na przyszłość, czyli o planach, zamierzeniach, obawach i lękach powstrzymujących przed działaniem. Ostatni rząd, siódmy, pokazuje przyszłość tak, jak się rysuje. To, co panią ostatecznie czeka. W nim liczy się także, jakiego koloru karty mają tam przewagę. Jeśli najwięcej jest kierów, to oznacza zwycięstwo pani serca, uczuć. Jeśli dominuje karo, diamenty, oznacza to szczęście. Jeśli trefle, żołędzie, może pani liczyć na spokojne i zasobne życie. Jeśli zaś najliczniejsze są piki – czyli, jak widziała pani na starych kartach u Beaty, puchary z winem, tarcze lub miecze – to oznacza kłopoty, ciągłe perypetie, walkę, topienie smutków.

– Ani chybi czeka tam mnie śmierć – mruknęła Herta. – Jak każdego z nas.

– To nie tarot. Tu nie ma karty śmierci, nie ma kościotrupa z kosą – odparła Gertruda. – Ale nie będę pani okłamywać. Jeśli jest gdzieś tutaj dziewiątka trefli, to oznacza dla pani wieść o śmierci kogoś bliskiego. Aczkolwiek może znajdować się na przykład w linii kart dotyczących nie przyszłości, lecz przeszłości. – Gertruda postukała palcem w piąty rząd.

Herta spojrzała na nią czujnie, jakby odrobinę się wystraszyła. Było w tym wzroku także niedowierzanie. Bardzo słabo знаła Gertrudę, lecz teraz wydawała się jej kimś zupełnie innym niż podczas wszystkich spotkań damskiego towarzystwa. Kura Gertruda zniecka zamieniła się w jakąś czarownicę. Nieporadna, po cichu wyśmiewana przez wszystkich, powolna i tępa baba nagle zaczęła się jawić jako przebiegła wróżka odczytująca ze szklanej kuli ludzkie losy. Mędrzyni mająca wgląd w boskie plany i manipulatorka pociągająca za sznurki.

– Chyba jednak nie chcę się w to bawić – odpowiedziała Herta sucho.

– Proszę się nie bać! Może chociaż jeden rząd, tak na próbę? – nie przestawała namawiać Gertruda.

– Nie daje pani za wygraną.

– Bo wiem, że pani nie pożałuje.

– Śmiem wątpić.

– Proszę wybrać najbardziej bezpieczny rząd, choćby ten dotyczący przeciwności losu, z którymi musi się pani liczyć. – Gertruda postukała w rząd z czterema kartami. – I wtedy pani uzna, czy to brednie. Zobaczymy, czy karty kłamią.

– Podejrzewam, że muszę się zgodzić, bo inaczej nie odwiezie mnie pani do domu, a mam jeszcze kawał drogi, nie na moje lekkie buty – westchnęła Herta.

– Ależ nic podobnego, nic na siłę – odparła zmieszana Gertruda, aż jej policzki zrobiły się czerwone.

– Żartuję tylko. No dobrze. – Zakonnica machnęła ręką. – Niech pani odsłoni ten rząd, proszę.

Gertruda powoli, z namaszczeniem, zaczęła odkrywać karty. Pierwsza była szóstka trefl. Druga była... piątka trefl.

– Coś dużo tych żołądzi. Zdaje się, że to niedobrze? – spytała Herta. – Chyba wspominała pani, jakoby nadmiar tego koloru wskazywał, że szczęście nam nie sprzyja.

– Nie, pomyliła pani z pikami. – Skupiona wróżka pokręciła głową. – Proszę się nie bać.

Odkryła kolejną kartę: króla kier. A zaraz po nim asa pik.

– No to doczekałam się pika. I to jakiego! Puchar wina, pełen zapewne goryczy. – Herta postukała palcem w obrazek na karcie, przedstawiający pełną czarę.

– Proszę nie być taką pesymistką...

– Oczywiście wiem dobrze, że między ustami a brzegiem pucharu wiele może się wydarzyć. Jednak sama pani zapowiadała, że trzeba uważać na piki.

– Tak, ale głównie w ostatnim rzędzie. Czyli w tym, który mówi o przyszłości. Ten rząd ma zupełnie inny charakter – pocieszyła ją wróżbitka.

– No to niech pani mówi, co odczytała...

– Dobrze – westchnęła Gertruda. – Jest pani osobą nastawioną na ciężką pracę i gotową wiele poświęcić, by zrealizować swoje wielkie plany. Nie zawsze się pani wieździe, a to przez kłopotliwe związki emocjonalne. Być może w grę wchodzi przystojny blondyn – proszę wybaczyć, to ten król kier – a może chodzi o jakieś rozczarowujące spotkanie z kimś pani bliskim, całkiem niedawno, góra pół roku temu. Po nim musiała pani porzucić swoje życiowe projekty albo pani nadzieje zostały pogrzebane, a plany speliły na niczym.

Twarz Herty ani drgnęła. Może tylko zrobiła się odrobinę bledsza.

– Przecież wygrałam na loterii. Karty tego nie widzą?

– To pewnie pokazałby inny rząd. Na przykład dziewiątka lub dziesiątka trefl w przedostatnim rzędzie. Te cztery karty opowiadają o zagrożeniach...

– Które wyglądają na dość duże i trudne do przewyciężenia. A mówiła mi pani, że bym nie była taką pesymistką. I co teraz pani mi powie? Żebym nie wierzyła jednak kartom? – zapytała zdenerwowana.

– Cóż mogę powiedzieć, karty mówią, pani to interpretuje i wyciąga wnioski. – Gertruda poprawiła okulary. – Nie jest powiedziane, że pani ambitne plany nigdy się nie spełnią. Po prostu uczucia czasem stają im na drodze, i to uczucia głębokie.

– Nie mówmy już o tym. – Herta odwróciła głowę. – Jedźmy, proszę.

– Tak naprawdę, to powinna pani zajrzeć do ostatniego rzędu, żeby sprawdzić, co będzie z tymi planami. – Gertruda zerknęła na nią wzrokiem kota mającego nadzieję, że pani rzuci mu jeszcze jeden przysmak do schrupania.

– Jeszcze czego! Nigdy w życiu! – To mówiąc, odsunęła od siebie pulpit z kartami, rozsypując je naokoło. Gertruda odruchowo rozłożyła ręce, żeby je schwytać. Atmosfera w powozie zrobiła się nerwowa.

– Jednak muszę się przespacerować. Proszę wybaczyć, ale dalej pójdę już pieszo – oznajmiła siostra stanowczym tonem

– Ależ mówiła coś pani o przemokniętych butach...

– Wytrzymaj – odparła Herta, dumnie zadzierając głowę. – Naprawdę czas już na mnie.

– Przecież wystarczy jedno moje słowo i ruszamy. – Gertruda wskazała palcem na stangreta za ścianą powozu.

– Nie trzeba, wystarczy już tej jazdy. – Herta energicznie pchnęła drzwiczki do powozu i pomimo tuszy wyskoczyła na zewnątrz. Wróżbitka obserwowała tę scenę z rozbawieniem. Jej poważna twarz nagle się zmieniła nie do poznania, gdy tylko Herta na nią nie patrzyła. Kura Gertruda wyglądała teraz na prawdziwą sekutnicę.

– Do widzenia – rzuciła siostra Herta, nawet się nie odwracając.

– A nie „z Bogiem”? – odparła ze zdziwieniem Gertruda. – Do widzenia. Do następnego razu.

– Tak, lecz wtedy poprzestanę już tylko na ruletce. Nikt nie zaciągnie mnie do kart. – Herta pomałała ręką, ruszając ledwo oświetloną alejką w stronę plebanii katolickiego kościoła. Jak na swoją tuszę poruszała się nader szybko. Jakby się bardzo bała.

Gertruda odprowadzała ją wzrokiem. Ich miasto było bezpieczne nawet nocą, aczkolwiek samotnie chodzące kobiety mogły zawsze narazić się na jakieś nieprzystojne zaczepki ze strony oficerów wracających z nocnej hulanki. Nawet zakonnica musiała się liczyć, jeśli nie z nieprzystojnymi propozycjami, to ze złośliwymi docinkami. Poza tym Herta niedawno wygrała na loterii, mogła spełniać swoje marzenia, po co ryzykować, że jakiś samotny frustrat przysporzy jej kłopotów? Życie jej niemiłe?

– Czy jechać za tą panią? – zapytał stangret, jakby czytał w myślach Gertrudy. – Dyskretnie, żeby nie widziała?

– Tak, pojedźmy tak kawaleczek – potwierdziła Gertruda. – Lecz jeśli tylko siostra Herta odwróci się w naszą stronę, natychmiast zawróć.

Wydawszy te dyspozycje, spojrzała z powrotem na pulpicik, na którym rozłożyła rzędy swoich miniaturowych kart. Herta niemal wszystkie straciła, ale zachował się ostatni siódmy rząd. Gertruda uśmiechnęła się z ukontentowaniem. Nie wahała się nawet sekundy, czy odsłonić karty i poznać przyszłość młodej kobiety, która wołała nie wiedzieć, co ją czeka. Wróżbitka, przebijając paluszkami jak kurka łapkami, odsłoniła siedem kart. To była dla niej ekscytująca chwila, aż zaparło jej dech.

Piątka kier. As pik. Siódemka pik. Trójka kier. Dama pik. Dziesiątka pik. Szóstka karo.

Widząc te karty, Gertruda aż zasyczała jak wąż. Cztery piki na siedem kart. To sprawiało, że nawet szczęśliwe kiery należało interpretować inaczej. Zwykle piątka czerwonna oznaczała jakieś wielkie nadzieje i marzenia. Tu mogła sugerować zazdrość. As pik to radość, lecz krótkotrwała i myląca, zwodnicza. Siódemka pik zwiastowała zmartwienia i niepokoje wynikające z jakiejś cudzej intrygi. Trójka kier mówiłaby przy dobrym układzie innych kart, że Herta będzie wierzyć w siebie. Przy takim rozłożeniu sugerowała jednak, że młodej kobiecie zabraknie rozwagi i ostrożności. Wejdzie przy tym w drogę damie pikowej, oznaczającej niebezpieczną kobietę, najprawdopodobniej zazdrosną wdowę... Idzie za tym dziesiątka pik, oznaczająca smutek i cierpienie. Kończąca tę wizję na przyszłość szóstka karo nie oznaczała zaś sznura diamentów, lecz stratę – miłości lub majątku. Oto ostateczny dylemat siostry Herty.

Powóz stanął. Dojechali już do domu – zgrabnej, otoczonej drzewami willi przy Memeler Strasse. Gertruda niespiesznie zbierała karty. W głowie kotłowały jej się myśli niby kłębowisko żmij. Przyszłość siostry Herty rysowała się nader intrygująco. „Ciekawe, co z tego wyniknie. I co tu zrobić?” – pytała samą siebie Gertruda. Pocałowała talię, nim ją schowała. Przypomniała sobie, jak młoda zakonnica, nie

chcąc, by stawiać jej wróżbę, mruknęła w powozie: „Ani chybi czeka tam mnie śmierć”. Gertruda odpowiedziała jej wówczas: „To nie tarot. Tu nie ma karty śmierci, nie ma kościotrupa z kosą”. Skłamała. Tę śmierć można było odczytać między rzędami kart niczym między wierszami listu. Wiedziała o tym pani Helena Mayer, która należała do ich klubu hazardowego, zanim przyjęto tam Hertę. Owej damie, żonie architekta, Gertruda też ustawiła piramidę. Karty wypowiedziały się jednoznacznie pesymistycznie. Nie było nadziei, żadnej deski ratunku. Piki zalewały jej przyszłość niczym zatrute wino. Helena Mayer była mądrą i odczytaną kobietą. Dlatego próbowała ignorować wróżby. Zawsze miała na podorzędziu jakieś życiowe maksymy, cytaty ze sławnych ludzi, o których Gertruda nawet nie słyszała. Dlatego na nieszczęścia wróżone przez karty Helena zareagowała po swojemu, z chłodnym dystansem i sypiąc mądrościami innych. „Zdaniem Goethego nawet wciąż się potykając, można zejść bardzo daleko. Nie można tylko upaść i się nie podnieść” – stwierdziła. „Nie będę się starała naginać biegu wydarzeń do swoich pragnień, lecz dostosuję swoje pragnienia do biegu wydarzeń na tym świecie. Może tak uda mi się być szczęśliwą”. Ta recepta niestety nie była skuteczna. Okazało się, że karty nie kłamały. U Heleny było coraz gorzej: z życiem domowym, ze zdrowiem, z relacjami z córkami i zięciami. „Pewien filozof, chyba Erazm z Rotterdamu, mówił, że życie ludzkie nie jest więcej niż komedią, w której każdy z nas występuje w jakiejś masce i gra swoją rolę, dopóki wielki reżyser nie każe mu zejść ze sceny” – stwierdziła któregoś dnia, jakby zaczęła tracić wszelką nadzieję. Nie twierdziła jednak, że żyć jej się nie chce albo że tylko śmierć może jej dać jakieś ukojenie.

Powiedziała jedynie: „Starożytny mędrzec przekonywał, że śmierć, choć jawi się najstraszliwszym i ostatecznym złem, nie dosięga nas wcale, bo dopóki my jesteśmy i czujemy, to nie ma jeszcze śmierci, a kiedy się pojawia, to nas już nie ma. Dlatego wcale się jej nie boję”. Panie z klubu nie wiedziały, jak to ocenić: poprawiało się Helenie czy pogarszało? Zdania były podzielone. Nie tylko siostry Dorota i Brygida miały odmienne opinie, różniły się w nich także Beata i Gertruda. Damy podzieliły się de facto na dwa obozy: pesymistek i optymistek. Gertruda należała do tych pierwszych.

Któregoś dnia Helena nie przyszła na spotkanie ich klubu. Mężowi powiedziała, że jedzie na dłużej za granicę, że dość ma miasteczek, potrzebuje nerwowego rytmu i zamętu wielkich miast. Koleżankom z Willii zostawiła list pożegnalny. Beata dostała jeszcze od niej kilka pocztówek z zagranicy: Bruksela, Paryż, Barcelona. Potem zapadła cisza. Ani słowa o powrocie. Temat stał się niezręczny. Mayer po pewnym czasie przestał mówić o żonie. Znajomi nie dopypywali. Miejsce Heleny w klubie zajęła Herta. A mąż Heleny... Ostatnio coraz mniej krył się ze spotkaniami z owdowiałą panią Beatą. Zdaniem Gertrudy trzeba było być ślepy, żeby nie widzieć śmierci między tymi wierszami. Jej mąż zbeształ ją za samą myśl, że Heleny może nie być wśród żywych. Zagroził, że zamknie ją na noc w jednym z kurników, żeby ochłonęła. To była jego ulubiona groźba: „Zamknę cię w kurniku”. Jakże obelżywie i pogardliwie to brzmiało! Ktoś obcy mógłby uznać, że para się nienawidzi. Nic jednak podobnego. Kochali się. A Uecker był zbyt zajęty interesami, by mieć czas na romanse. Jeśli miał wolną chwilę, spędzał go na pogawędkach w Klubie Dobrego Porządku. Albert cały należał do Gertrudy. Była tego pewna, bo w każdą księżycową noc pokazywały tak karty.

ROZDZIAŁ 7:

KONSPIRACJA

„Panowie, wracam z Konitz. Niesamowite rzeczy tu się dzieją. Konieczna rozmowa w naszym gronie” – taki telegram wysłał Rahm do Mayera i Ueckera, zanim jeszcze wsiadł do pociągu. Zaś w trakcie długiej drogi koleją wyskoczył na kilka minut z wagonu podczas postoju na jednej ze stacji, by nadać kolejną depeszę do kolegów z Lyck: „Panowie, sprawa niecierpiąca zwłoki. Nie dziwcie się, ale mam propozycję nie do odrzucenia: jedziemy na stację Alt Jucha²⁷ pojutrze o szesnastej”. Kiedy nadawał telegram, Rahm był tak podekscytowany, że aż się trząsał. Wyglądał jak osoba dotknięta jakimś rodzajem egzotycznej gorączki. Gdy wrócił do wagonu, po jego zmarszczonym czole i skupionym wzroku widać było, że intensywnie o czymś myśli. Jakiś pomysł załągł się w jego głowie i nie dawał mu spokoju.

Takie wrażenie miał również Dawid Frankenstein, gdy ukradkiem śledził Rahma w wagonie. Bo wiem na skutek zrządzenia losu wracali do Lyck tym samym pociągiem. Nos reportera podpowiedział mu, by dyskretnie udać się za lekarzem politykiem do stanowiska pocztowego, gdy Rahm postanowił wysłać depeszę. A ponieważ podyktował ją telegraficznie, Frankenstein zadanie miał ułatwione. „Alt Jucha, pojutrze, godzina szesnasta” – powtórzył sobie. „Czego mogą szukać na sielskiej wsi, gdzie kompletnie nic się nie dzieje, a największym wydarzeniem może być to, że jakiś wędkarz spadł z łódki do jeziora i nałykał się wody. O cóż też może chodzić tej rozpolitykowanej ambitnej trójce, która zaczęła się wtrącać w tyle aspektów życia w Lyck?” Wydawało się to interesujące, zwłaszcza w świetle skandalicznego zachowania Rahma w Konitz. Świadczącego o tym, że lekarza ogarnia jakieś szowinistyczne szaleństwo. „Rasistowski, nacjonalistyczny, antysemicki obłąd bazujący na uprzedzeniach i zabobnach, podgrzewany dla celów politycznych, być może dla błyskotliwej kariery, a na pewno dla narcystycznego samozadowolenia” – myśli Frankensteina same układały się w pełen pretensji akt oskarżenia wobec Rahma. „Czego taki człowiek może szukać na mazurskiej wsi?” Frankenstein zastanawiał się, czy Rahm nie umówił się w Alt Jucha z miejscowym dziedzicem Gruberem, który jako ziemianin miał zapewne konserwatywne poglądy. Czy jednak podzielał ekstremalne zapatrywania Mayera, Ueckera i Rahma? Może chciał przystąpić do ich Klubu Dobrego Porządku? „Ciekawa sprawa, ciekawa”. Frankenstein poskrobał się po głowie. „Tylko dlaczego akurat teraz, po aferze w Konitz?” Wystarczyło trochę cierpliwości i ostrożności, by to sprawdzić. Nic prostszego, mógł umiejętnie śledzić całą trójkę. Frankenstein pojechał do Alt Jucha odpowiednio wcześniej i przyczał się na stacyjce kolejowej, czekając na przybycie pociągu z Lyck. Założył, że trzej mężczyźni nie przyjadą tu konno albo powozem. I nie pomylił się. Wszyscy wyszli z tego samego wagonu. Sęk w tym, że przez całą drogę już o czymś rozmawiali. I Frankenstein nie mógł sobie darować, że mu to umknęło. Lecz mimo wszystko bardziej ciekawiło go, co mają do załatwienia w Alt Jucha – wiosce pięknie położonej nad jeziorami, aczkolwiek niemającej najmniejszego znaczenia.

Ku zdziwieniu Frankensteina Mayer, Uecker i Rahm nie udali się wcale do dworku Grubera. Nie poszli także na probostwo miejscowego kościoła, całkiem niedawno przebudowanego. A zatem nie chodziło im o spotkanie z wpływowymi ludźmi, mogącymi poprzeć ich idee w regionie. Wyglądało na to, że wybrali się na najzwyczajszy w świecie spacer nad rzeką. Tylko po co? Oglądać dzikie ptaki? W pewnym momencie Rahm wskazał na coś palcem. Kryjący się w zaroślach Frankenstein był zbyt daleko, aby słyszeć głos. Jednak gest rozpoznał bez trudu. Lekarz wskazywał na wielki głąz leżący w lesie na lewo od nich. Legenda mówiła, że przed wiekami był to ołtarz ofiarny pogańskich plemion. Niektórzy miejscowi twierdzili nawet, że na głązie wciąż widać ślady krwi ludzi poświęconych zapomnianym

bożkom. Od tego wzięła się pierwotna nazwa wsi: Jucha. „Czyli tam zmierzacie? Intrygujące” – mruknął Frankenstein, po czym natychmiast ruszył w stronę historycznego kamienia na skrót, przez błoto i krzaki. Rahm i jego koledzy szli zadbaną ścieżką, żeby nie zamoczyć kamazys w pośniewowym błocie. Frankenstein w swoich dziurawych buciorach nie miał takich oporów. Z mokrymi stopami, ale za to minutę przed śledzonymi, dotarł na miejsce. Tam zaś skrył się w zaroślach za szerokim dębem, kilkanaście kroków od kamienia. Przysiadł i nadstawił ucha. Rahm zaczął mówić o pogańskim kamieniu. Nie dał sobie przerywać, udaremniał wszelkie próby wejścia sobie w słowo, aż współtowarzysze w końcu z tego zrezygnowali. Mógł Mayer przynudzać o starożytnych wynalazcach, mógł Uecker gędzić o rynku drobiu, to i jemu należała się chwila uwagi kolegów. Perorował zaś Rahm tak długo, że aż się zasapał. Było to na tyle męczące, że obaj znajomi uciekli myślami gdzie indziej. Mayer dumał o liście, w którym zaoferowano mu zakup wykonanej przez rzemieślnika pięknie zdobionej kopii lami-główki Archimedesza, inspirowanej sztuką starożytną. Uecker zaś kalkulował w głowie, ile zarobi na dostawie gęsiny w nadchodzące święta i w co zainwestuje pieniądze. Bo przecież nie w kolejną złotą gęś. Zresztą ta cholera się zepsuła. Miso przestał bić w bębenek. Będzie musiał zażądać zwrotu pieniędzy od Żyda antykwariusza – i to szybko, nim stary zwinie manatki i ucieknie z Lyck ze strachu o własną skórę. Mayer i Uecker wrócili do rzeczywistości, dopiero gdy Rahm zaczął z zapalem kaznodziei opowiadać o tym, co widział w Konitz.

– Powtarzam wam jeszcze raz i powtarzać będę do znudzenia. Osiemnastoletni Ernst Winter zamordowany został przez Żydów. Jak zwykle potrzebowali chrześcijańskiej krwi na swoją świąteczną macę. Jednak tym razem, w odróżnieniu od ich poprzednich krwawych rytuałów, to nie może ująć starozakonny płazem. Są świadkowie, którzy widzieli, jak dziwnie miejscowe żydostwo zachowywało się w ostatnich dniach. Odnaleziono też rozczłonkowane zwłoki, zdaniem lekarzy dobitnie świadczące, że chłopcu poderżnięto gardło, z ciała upuszczono krew, a potem pocięto zwłoki na kawałki. Czy to nie krzyk niewinnego młodzieńca słyszeli świadkowie nocą obok boźnicy? A jeśli potwierdzi się, że koło synagogi znalaziono butelkę z ludzką krwią, to żadna siła nie zapobiegnie już temu, by prawi obywatele wzięli się na poważnie za to siedlisko barbarzyństwa. Spalą Żydom święte księgi, puszczą z dymem synagogę, a żydostwo przepędzą z miasta, wcześniej wybiwszy wszystkim pejsatym szyby w oknach. Tak będzie. I stanie się to początkiem oczyszczania kolejnych wsi, miasteczek i miast. Nie mam co do tego wątpliwości. Porządni Niemcy są już nazbyt zmęczeni żydowskim sąsiedztwem. Mówiłem wam w pociągu, jak starozakonni kupcy dorobili się na nieurodzaju i kryzysie wśród chłopów w Kreis Konitz²⁸. A przecież mętne interesiki to nic w porównaniu z tym, do czego naprawdę są zdolni.

W tym momencie Rahm zaczął wymieniać jakieś przypadki rzekomo żydowskich mordów rytualnych z przeszłości, a Frankenstein zastanawiał, do czego to wszystko prowadzi. Co to ma wspólnego z Alt Jucha i tym głazem? Docierało to do niego bardzo powoli.

– Żydzi nie różnią się niczym od pogan, którzy przelewali ludzką krew na tym kamieniu. – Doktor wskazał palcem głaz. – Ba, są nawet od nich gorsi! Dlaczego? Bo wrośli głęboko w nasze społeczeństwo. Tak bardzo, że wielu z nas nie wyobraża sobie, że mogliby zniknąć. A jednak to jest niezbędne. Tak samo jak nieodzowne było wyrugowanie przed wiekami pogaństwa z tych pięknych ziem. I trzeba to zrobić dla ich własnego dobra. Pamiętacie słynną sprawę Edgarda Mortara – żydowskiego dziecka z Italii ochrzczonego ukradkiem przez chrześcijańską służącą i na tej podstawie odebranego rodzicom. Zrobiono z tego wielką aferę, lecz on wcale nie chciał wracać do ojca i matki. Na szczęście władze kościelne nie poddały się presji żydowskich gazet. A gdy dorósł, Mortara został księdzem i nawracał Żydów. Mówią, że przekonał do prawdziwej wiary nawet własną matkę.

– I co masz zamiar z tym zrobić, doktorze, bo już nie rozumiem? – odezwał się w końcu Uecker. – Mamy pukać do żydowskich domów i ewangelizować starozakonnych? Czy chodzić od drzwi do drzwi w całym mieście i opowiadać o twoich wieściach z Konitz?

– Przecież ludzie czytają prasę. Na jej łamach nie brakuje stamtąd doniesień – dodał zaraz Mayer.

– Panowie... – Rahm uśmiechnął się z niedowierzaniem. – Czy wy naprawdę nic nie rozumiecie?! Nie o Konitz mi chodzi. Tak samo mamy oczyścić z żydostwa Lyck! Sto lat temu dało się tu policzyć Żydów na palcach jednej ręki. Ale wystarczył edykt emancypacyjny, który dał im pruskie obywatelstwo, i się zaczęło. W trzydzieści lat było ich w mieście i powiecie prawie stu. Po kolejnych trzydziestu latach prawie trzystu. Jak tak dalej pójdzie, to zaczną dominować, jak w przygranicznych miasteczkach po carskiej stronie! Weźmy Grajewo i Rajgród, tam ponad trzy czwarte mieszkańców to Żydzi. Ciągną za handlem, za geszefkami, a sprzyja im rozwój kolei, niestety. Oczywiście z pociągami walczyć nie będziemy. Tak jak nie walczyliśmy z statkami, choć razem z nimi przenoszą się z lądu na ląd także szczury. Po prostu musimy zarządzić wielkie odszczurzenie. Miasto za miastem, oczyścimy w ten sposób z żydostwa całe cesarstwo.

– Nie wiem, czy broszury, ulotki, a nawet nasze osobiste wizyty i agitacja sprawią, że mieszkańcy Lyck się zmobilizują do walki. Są przyzwyczajeni do świętego spokoju. Nie potrzebują sensacji. – Mayer kręcił głową.

– Mówisz trochę o sobie, mój stary. Nieprawdaż? – zapytał Rahm. – Uwierz mi, nie wszyscy szukają w Lyck oazy spokoju, czekając na szósty krzyżyk.

– Nie jestem znowu taki stary – burknął obrażony architekt.

– Zgoda, nie jesteś. Ale za świętym spokojem tęsknisz, nawet gdy domagasz się zmian w świecie dookoła. – Lekarz podszedł do Mayera i lekko dźgnął go palcem.

– A co ty proponujesz? – odparł, dotknięty do żywego.

– Niepokój. Oto, co proponuję. Niepokój, który trzeba dopiero wywołać...

– Co właściwie masz na myśli? – spytał Mayer niepewnym głosem. – Czyżby podobny przypadek z żydostwem jak w Konitz miał miejsce u nas, coś mnie ominęło?

– Nie – zaprzeczył Rahm.

– Więc? – Architekt rozłożył bezradnie ręce. Czegoś tu nie rozumiał.

– Nawet, jeśli coś się nie wydarzyło, to zdarzyć się może. – Rahm, pochylony nad ofiarnym głazem, aż zacisnął pięści.

– Czyli mamy ludzi edukować, uczuwać, wzywać do ostrożności? – włączył się Uecker, a ton jego głosu był już lekko zniecierpliwiony. Zrobiło się zimno, a on łatwo się przeziebiał, mimo że tłuszczył z gęsiną miał działać cuda dla zdrowia.

– To nie wystarczy.

– A zatem co mamy robić? – Uecker zniecierpliwiał się jeszcze bardziej. Był człowiekiem konkretnym, nie lubił próżnych dywagacji i pustej wymiany zdań.

– To zależy, na co nas stać. – Rahm przybrał poważny ton, a jego niebieskie oczy stały się zimne i błyszczące. – Do czego jesteśmy zdolni.

– Co masz na myśli? Finansowo? Organizacyjnie? – Mayer znów bezradnie rozłożył ręce. – Mam wrażenie, że używasz jakiegoś ezopowego języka, Leopoldzie.

– Powiesz w końcu wprost, o co ci chodzi? – dorzucił Uecker. – Żydzi u nas nikogo nie zamordowali. Co mamy zrobić? Przecież nie będziemy ich zmuszać!

Rahm wziął głęboki oddech.

– Ano właśnie. Nie będziemy ich zmuszać. A przy tym wiemy, do czego są zdolni. Więc... – zawiesił głos. – Jaki stąd wniosek?

Frankenstein, schowany w zaroślach, zadrżał. Nie z zimna, choć zaczęło mu już doskwierać. Zadrżał, bo zaczął podejrzewać, jaki diabelski pomysł przyszedł do głowy Rahmowi.

– Przypomnę wam, koledzy – kontynuował Rahm – że w Konitz obok mordu Wintera pojawiła się jeszcze inna sprawa: zaginięcia innego chłopaka, niejakiego Bulewa z pobliskiej wioski.

– Jednak, o ile pamiętam, on się odnalazł – zwrócił uwagę Mayer.

– Tak – skinął głową Rahm. – Lecz przypadek ten i tak zdążył dolać oliwy do ognia.

– Nadal nie rozumiem. – Głos Ueckera był już zupełnie zrezygnowany. – To nie na głowę prostego handlarza drobiem.

– A ja już chyba wiem, co Leopold chce nam dać do zrozumienia – uznał Mayer. – Że powinniśmy sami wykreować to wydarzenie. Rozpuścić plotkę!

– W rzeczy samej! – Rahm aż klasnął w dłonie. – Wiemy, do czego Żydzi są zdolni. I mieszkańcy Lyck też wiedzą. A już na pewno ci, którzy śledzą prasowe doniesienia z Konitz. Musimy dać szansę ich gniewowi. Pozwolić, by rozlał się na ulice. I musimy zarazić owym gniewem innych rodaków, tych jeszcze nieuświadomionych. To jest nasza wspólna walka!

– Jeśli puścimy kłamliwą plotkę, czy to nie obróci się przeciw nam? – zaniepokoił się Uecker.

– Jeśli dobrze to rozegramy, ujawnienie prawdy nic już nie zmieni. Ludzie dokonają zemsty na tych krwio pijcach, za wszystkie ich winy przeszłe, teraźniejsze i przyszłe. Od czczenia Baala, przez zamęczenie naszego Zbawcy, po mord na Ernście Winterze. Dostaną sprawiedliwą odpłatę. Nawet jeśli dziecko, które mieli skrzywdzić, odnajdzie się całe i zdrowe, nikt nie będzie się smucił. Wszyscy będą się cieszyć, że nie wpadło w ręce tych oprawców! A synagoga przy Bahnhofstrasse będzie już wtedy wypaloną skorupą z powybijanymi szybami. Podobnie żydowska łaźnia. Na starozakonnym cmentarzu bramy zostaną wylamane, a macewy potłuczone i wrzucone do rzeki. Żydowskie sklepy i apteki znajdą się już w ruinie. A sami Żydzi będą mieli szczęście, jeśli umkną z życiem przed gniewnym tłumem. Gdzie? Nie wiem. Bo kto by ich chciał? Zwłaszcza jeśli ich karawany ciągnąc będą z kolejnych miast, miasteczek i wsi, jedna za drugą. Może w Palestynie ich przyjmą, nie nasza sprawa, wolna droga.

– Albo na Madagaskarze. Czytałem coś na ten temat. Byle dalej od nas, od porządných ludzi. – Mayer pokiwał głową.

Uecker tylko spacerował od drzewa do drzewa – trudno powiedzieć, czy z nerwów czy po to, żeby się rozgrzać.

– Skoro się zgadzacie, że ten pomysł ma sens, to pozostaje już tylko ustalenie szczegółów. – Rahm uśmiechnął się ukontentowany.

– Co proponujesz? – rzucił podekscytowany Mayer.

Uecker, zamyślony i skupiony, bez słowa spacerował dalej.

– Po pierwsze trzeba dogadać się z jakąś rodziną, która zgodzi się nam pomóc i odegrać rolę poszkodowanych. Mam tu niedaleko znajomą chłopską rodzinę, która na pewno się zgodzi, jest mi coś winna. Dziecko wywieziemy na jakiś czas. Po wszystkim przetransportujemy je z powrotem i rozgłosimy, że zgubiło się w lesie, straciło pamięć i błąkało się bez celu, aż w końcu ktoś je rozpoznał daleko stąd. Prościutki – wymieniał Rahm. – Po drugie natychmiast pójdziemy ze sprawą do patriotycznie nastawionej prasy i wyślemy listy do organizacji antyżydowskich. Trzeba będzie wywrzeć presję na magistracie w Lyck, by nie usiłował zakopać sprawy pod dywan.

„Co za draństwo” – pomyślał Frankenstein. „Co za cholerne świństwo”. Był jednocześnie oburzony, przestraszony i zafascynowany, słysząc te diaboliczne knowania patriotów z MaUeR-a. To mógł być temat na najważniejszy materiał dziennikarski w jego życiu.

– Da się zrobić. – Mayer pokiwał głową. – To plan tak prosty, że aż genialny. Winszuję.

– Lecz to jeszcze nie wszystko – przerwał mu dumny ze swego konceptu Rahm. – Prasa lubi spektakularne fakty, makabryczne opisy. To się najlepiej sprzedaje. Dlatego zastanowiłbym się, czy do tego zniknięcia naszego chrześcijańskiego chłopca nie powinno dojść tutaj. Czy tu, gdzie jesteśmy, nie powinna zostać odkryta krew!

– Ale to pogański ołtarz – zaproponował Mayer.

– A czy Żydzi to nie poganie? – odparł Rahm.

– Nie wiem, czy ktoś uwierzy, że do swoich rytuałów używają glazów wykorzystywanych przez dawnych Prusów – kręcił głową Mayer. – To nie będzie brzmiało wiarygodnie. Może wręcz prowadzić do hipotez, że to nie Żydzi zamordowali chłopca, lecz jacyś wyznawcy czarów, członkowie satanistycznego kultu czy innego diabelstwa.

– A co, jeśli się okaże, że Żydzi wylali tutaj trochę krwi chłopca, żeby odwrócić uwagę od siebie i wprowadzić śledecznych w pole? – zaproponował Rahm, jakby nie mógł się pogodzić z odrzuceniem świętego, jego zdaniem, pomysłu. – Wystarczy jeden dobry świadek, który zezna, że widział tu jakiegoś starozakonnego aptekarza lub rzeźnika z fiolką z krwią. A zdjęcie tego ofiarnego kamienia rozejdzie się po całych Niemczech, stanie się symbolem kłamstw naszych wrogów.

– No nie wiem. – Mayer nie był przekonany. – A co ty na to, Albercie? Co ty tam...

Nie dokończył. Uecker skoczył nagle w zarośla i zaczął coś tam tarmosić.

– Tuś mi bratku! – krzyknął. – Panowie, do mnie, to żydowski pismak!

– Do diabła! – warknął Rahm. Na szczęście miał przy sobie miniaturowy pistolet. Wyszarpnął go spod płaszcza i zaczął mierzyć w kotłującą się parę. Nim nacisnął spust, Mayer schwycił go za dłoń.

– Przestań! Trafisz Alberta i cały plan licho weźmie – szepnął.

W odpowiedzi Rahm skinął głową i w podskokach rzucili się na pomoc walczącemu przyjacielowi. Lecz było już za późno. Frankenstein wymierzył królowi gęsiny potężny prawy sierpowy prosto w dziób. Znokautowany Albert Uecker padł jak długi w grubą warstwę stopionego śniegu, rozbryzgując błoto dookoła.

– Zabił go! Zabił! – wrzasnął Rahm, podczas gdy Frankenstein pędził susami przed siebie, byle dalej od trójki szaleńców chorych z nienawiści.

– Kto zabił? – zamrugał oczami Uecker, gdy po kilku sekundach się ocknął. – Kto?

Mayer i Rahm spojrzeli po sobie i odetchnęli.

– Rozpoznałeś go? – spytał architekt.

ROZDZIAŁ 8:

NA ŻYDOWSKIM CMENTARZU

Po tym, jak uczestnicy narady w Alt Jucha go zidentyfikowali, Frankenstein spodziewał się, że będzie miał kłopoty. Już w drodze powrotnej przedsięwziął środki, by się zabezpieczyć przed najgorszym. Przez to wrócił jednak do domu dopiero przed północą – tak późno, że żona i trójka dzieci już spały. Postanowił nie robić zamieszania i przez noc przemyśleć, jak ochronić rodzinę. Nie mógł pozwolić, by choć włos spadł im z głowy. Nie zamierzał narazić ich na takie szykany, jakie widział w Konitz. Najprościej było zawieźć całą czwórkę do Breslau, do teściów. „Kawał drogi. Ale może tak będzie najprościej. I najbezpieczniej” – rozważał na krześle w jadalni, w myślach układając już w walizkach, co będzie trzeba zabrać ze sobą. Świeczka na stole kurczyła się, a on kończył w myślach pakowanie. To wyliczanie rzeczy podziało na niego równie usypiająco, jak liczenie baranów.

Obudził się, nie mogąc nabrać powietrza i czując się jak sparaliżowany. Miał kłopoty z chrapaniem i z bezdechem – ale nie, tym razem nie o to chodziło. Przy gasnącej już świeczce dostrzegł, że po jadalni krząta się kilka obcych, zakapturzonych postaci. Jedna zakneblowała go, nim zdążył krzyknąć. Jakież ręce zarzuciły mu na głowę worek. Nie mógł się ruszyć, bo ręce miał spętane. Napastnicy ściągnęli go z krzesła i niemal wynieśli przez drzwi domu. Usłyszał ciche rżenie koni. Zaskrzypiały drzwiczki. Położono go na podłodze, chyba powozu. Ktoś obok się przeciskał, dopychając go butem. Kiedy ruszyli, miał już pewność, że to powóz. I najwyraźniej nie jechał nim sam. Frankenstein nie myślał jednak o sobie. „Co z moją rodziną?” – pulsowało mu w głowie. „Widziała to wszystko? Co te bydlaki zrobiły Miriam i dzieciom?” Chciał odpowiedzi, ale zakneblowany nie mógł zadać żadnego pytania. Wierzył, że dzięki pewnym środkom ostrożności nikomu nie stanie się krzywda. Nagle jednak przyszła mu do głowy straszna myśl: „A co jeśli mam do czynienia z durkami, którzy nie biorą pod uwagę, że mogłem się jakoś zabezpieczyć? Co, jeśli po prostu wywozą mnie z miasta i kropną, zanim zdolam z siebie wydusić chociaż słowo?” Z zasłoniętymi oczami czuł się jak skazaniec przed ostatnią drogą. Nagle zaczął dygotać. Usłyszał nad sobą śmiech, gdy któryś z oprawców to zauważył.

– Żydek trzęsie się jak galareta. – Frankenstein usłyszał kłapiący głos. – Boi się, że przerobimy go na kalceson i nakarmimy nim małe Żydki.

Reszta chrząknęła, maskując śmiech. To było ohydne, ale Frankensteina nieco uspokoiło. Skoro sobie żartują, to pewnie chcą go tylko nastraszyć. Bo kim trzeba być, żeby żartować przed morderstwem? Na to stać już jedynie ludzi kompletnie zdemoralizowanych. Dawid wierzył, że ma do czynienia z niewawstnikami, nie z zabójcami. Gdy powóz stanął, mężczyźni wyrzucili go ze środka, zamiast wynieść. Wylądował brzuchem w miękkim, oblepiającym błocie. Ktoś chwycił go za nogi i zaczął ciągnąć. Frankenstein szorował brzuchem i kłatką piersiową po ziemi, po kamieniach, przez kałuże. Ostre gałęzie rozerwały mu w kilku miejscach ubranie. Zahaczyły też o worek, który Dawid miał narzucony na głowę. Gdy go zdarły, Frankenstein znów widział, co dzieje się dookoła. Przynajmniej na tyle, na ile mógł odchylić głowę. Był środek nocy, ale mężczyźni mieli ze sobą lampę. Dzięki temu Frankenstein zobaczył, że zamykają się za nim jakieś żelazne wrota. Na obu skrzydłach miały umieszczoną pośrodku gwiazdę Dawida. Frankenstein znalazł to miejsce – był na żydowskim cmentarzu pod Górą Jerozolimską. Położyli go pod macewą zapisaną po hebrajsku i niemiecku. Przypadkiem, bądź nie, to był grób Gordona, dawnego szefa „Hamagid”.

– Patrzcie no, zdążył już się rozebrać. – Jeden z napastników trącił czubkiem buta odsłoniętą głowę Frankensteina. – To nawet lepiej, czeka go robota.

Przecięli mu więzy i wręczyli szpadel.

– Kop! – polecili.

Gdy próbował wyrwać knebel, by cokolwiek powiedzieć, dostał cios pięścią w brzuch.

– Kop! – usłyszał ponownie polecenie. To chyba znów był ten mężczyzna, który mówił o galarecie i salcesonie. – Znajdź sobie wolny kawałek ziemi na grób i kop. Nie będziemy tu siedzieć do rana.

Frankenstein pochylił głowę, posłusznie chwycił szpadel, a potem z całej siły zadał oprawcy cios. Ten był jednak zbyt czujny. Uchylił się, a Frankenstein nie dość, że nie trafił, to jeszcze stracił równowagę. Na jego plecy posypały się razy.

– Ty świni! Ty gnido! – Każdemu wyzwisku towarzyszyło kilka uderzeń pięścią i kopniaków. Dziennikarz tylko skulił się w sobie i wyrwał z ust knebel.

– Jeśli mnie zabijecie, wszystko wyjdzie na jaw – wysapał na jednym oddechu. Poczul jeszcze kilka uderzeń, a potem napastnicy przestali go tłuc. Wymienili szeptem jakieś uwagi.

– Co masz na myśli? – spytał niski głos, którego Frankenstein chyba wcześniej nie słyszał. Brzmiał, jakby wydobywał się spod szalika, którym ktoś zasłonił sobie usta.

– Spisałem wszystko to, co słyszałem w Alt Jucha, i zostawiłem w bezpiecznym miejscu – wytrajkotał szybko Frankenstein, jakby bał się, że zaraz znów go zakneblują i straci okazję, by się wypowiedzieć. – Jeśli coś mi się stanie, wszystkie wasze plany zostaną ujawnione.

– Co to za bezpieczne miejsce? – spytał tubalny głos.

– No przecież wam nie powiem – prychnął Frankenstein.

Jeden z napastników już się pochylił, by wymierzyć mu kolejną serię ciosów, gdy tubalny głos znów się odezwał:

– Wiesz, że mamy metody, by cię zmusić do mówienia?

– Nic mnie nie zmusi. Gdybym wam zdradził, gdzie złożyłem list, to w istocie popełniłbym samobójstwo. Nic już mnie wtedy nie ochroni...

– A o rodzinę się nie martwisz?

– Ją też macie zostawić w spokoju. – Frankenstein podniósł się z błota.

– A wiesz, że w powozie, którym tu przyjechaliśmy może być dziecko zawinięte w worek? – odezwał się znów tubalny głos. – I że za chwilę ten worek może wylądować w rzece?

– Ty bydłaku! – Dziennikarz rzucił się z pięściami, ale nie miał szans w tej walce. Znów zaliczył parę ciosów od napastników i ponownie padł w błoto.

– Będziesz mówił? – odezwał się tubalny głos.

– Blefujecie – wysapał Frankenstein. – Nikogo w powozie już nie ma.

– Ale przecież możemy zaraz wrócić do twojej nory i zrobić, co trzeba... A może wolisz, żeby do środka wpadło kilka lasek dynamitu?

– To nie uszłoby wam płazem! – odparł Frankenstein drżącym głosem.

– A założymy się? – Tubalny głos zachichotał złowieszczo. – Ludzie uwierzą, że ktoś w tym spokojnym mieście wrzucił bombę do żydowskiego mieszkania? Czy może raczej uwierzą, że ten Żyd był nie tylko pismakiem mąciwodą, ale też – jak wielu jego pobratymców – anarchistą? Konstruował po cichu jakąś bombę, Bóg jeden wie, co chcąc z nią zrobić. Tyle że działał tak nieostrożnie, że wysadził siebie z rodziną. „W sumie to nawet lepiej się stało. Niewinnych dzieci szkoda, ale strach pomyśleć, do czego mogła posłużyć ta bomba” – tak wszyscy pomyśla.

– Anarchista w Lyck? Tutaj, w takim sielskim miejscu? Kto w to uwierzy? – Frankenstein próbował uśmiechnąć się szyderczo, ale nie było mu do śmiechu.

– A kto uwierzy w to, że w takim sielskim mieście powstała pierwsza żydowska gazeta na świecie? – odparł przywódca porywaczy. – Różne dziwaczne rzeczy dzieją się w Lyck.

– Halo?! Kto tu?! – rozmowę przerwał donośny głos z ciemności, od strony bramy. – Co t-tam się dzieje? – odezwał się kolejny, lekko jękając.

Napastnicy zakłęli.

– Stróża tu mają? Nawet dwóch? – Spojrzeli po sobie. Zgasili lampę.

– C-co pan tu robi tym powozem? Prooszę się zatrzymać! – zawołał głos przed bramą cmentarną. – S-stać!

Konie zarżały, powóz zatrajkotał i ruszył pędem przed siebie.

– C-c-co, mnie batem? B-batem?! Ż-żandarmów wezwę! – Ciemności raz po raz rozdzierało narzekanie.

– Kto otworzył bramę? Kto tam jest? – zawołał drugi mężczyzna, towarzyszący jękającemu się stróżowi.

Frankenstein dostrzegł zbliżający się punkt światła.

– Na pomoc! – wrzasnął wtedy. – Ratunku! Mordują!

Żaden cios go nie uciszył. Napastnicy salwowali się ucieczką. Potykając się na grobach, pobiegli na przeciwległy koniec cmentarza. Jeden za drugim przeskoczyli płot i zniknęli w ciemnościach.

– C-co tu się stało? – zapytał stróż cmentarny i jego współtowarzysz, gdy znaleźli ciężko dyszącego Frankensteina.

– Ot, grube nieporozumienie. Odwiedzałem grób rodziców i się potknąłem – odparł dziennikarz. Przecież nie mógł im powiedzieć, że napadł go szanowany doktor Rahm z grupą bandziorów. – Muszę do domu, panowie. Muszę do domu.

ROZDZIAŁ 9:

TERROR

Kilemann był poruszony. Przed pójściem spać przez godzinę obracał w rękę kopertę z wyznaniem złożonym przez Dawida Frankensteina. Reporter wpadł do niego zziębnięty. Zнали się już parę lat. Ufali sobie. Zaczęło się w roku 1892 od wywiadu na temat rzekomego mordu rytualnego w Xanten, w Nadrenii. Sprawa wydawała się typowa: zamordowane dziecko, antyżydowskie plotki rozpuszczane przez sąsiadów, zarzuty podsycane rywalizacją ekonomiczną w miasteczku, wsparcie ze strony księdza prześląkniętego antysemityzmem, nienawistna kampania i ataki na Żydów. A na koniec gniew, gdy okazało się, że sąd uznaje oskarżonych za niewinnych – z braku dowodów na to, że właśnie oni popełnili zbrodnię. Sprawa śmierci pięcioletniego chłopca, śledztwo i proces stały się nawet tematem ostrych dyskusji w niemieckim parlamencie. Nic więc dziwnego, że chociaż Xanten dzieliło od Lyck ponad tysiąc kilometrów, zdarzenia te interesowały mieszkańców – nie tylko tych żydowskiego pochodzenia, zaglądnących do „Hamagid”. Frankenstein dowiedział się, że Kilemann, wówczas już uznany fachowiec od medycyny sądowej, bywa w Chelchen u rodziny Seydlów. Tak udało mu się do niego dotrzeć. Początkowo Kilemanna zadziwiło przede wszystkim nazwisko reportera. Kojarzyło mu się ze znaną angielską książką, mającą już dobrych sto lat. Tymczasem okazało się, że było to nazwisko, jakie nadali przodkom Dawida, mieszkającym w wymazanej już z map Europy niepodległej Polsce, pruscy urzędnicy. A konkretnie Ernst Theodor Amadeus Hoffmann, lepiej znany miłośnikom literatury z dreszczykiem i operetki jako E.T.A. Hoffmann. „W odróżnieniu od swoich złośliwych kolegów, którzy potrafili nadać Żydom takie nazwiska jak Fiszbín (Fischbein) czy Fetorspodni (Hosenduft), moi dziadowie mieli szczęście, że trafili na romantycznego literata. A przynajmniej tak mówi rodzinna legenda” – wyjaśnił Dawid. Kolejne spotkania i listy od Frankensteina zaczęły Kilemannowi przypominać korespondencję od Kamila Korda. Koniec końców skontaktował ze sobą obu żurnalistów. Pomyślał, że łączy ich zdecydowanie więcej niż walka z zabobonami. On sam odrzucał przesady i mity może aż nazbyt ostentacyjnie. To raczej nie pomagało Kilemannowi w karierze. Tu trzeba było się liczyć z realiami politycznymi oraz zapatrywaniami i oczekiwaniami decydentów. Na szczęście broniły go wyniki i znakomita opinia wśród kolegów po fachu i studentów. No i Głos, jego wierny sojusznik, jego ciche „plecy”.

W roku 1896 Frankenstein zwrócił się do Kilemanna z kolejną prośbą. Postanowił napisać serię artykułów na nietypowy dla siebie temat, bo kompletnie niedotyczący spraw żydowskich, na których koncentrowało się „Hamagid”. Frankenstein postanowił mianowicie uhonorować sto czterdziestą rocznicę urodzin Ludwika von Baczko – historyka z Lyck, zmarłego kilkadziesiąt lat wcześniej. Skąd ten wybór? Baczko stracił wzrok z powodu ospy, którą zaraził się podczas studiów prawniczych na Albertynie. Mimo to działał w towarzystwie naukowym w Königsbergu, wydał kilkutomową historię Prus, pisał artykuły, traktaty filozoficzne i powieści. Zredagował też dziennik z podróży na wschód w 1816 roku swego syna kawalerzysty, który zawierał też liczne anegdoty, dotyczące na przykład menonickich wiosek na Ukrainie nad Morzem Azowskim czy tatarskiej hodowli koni nad Morzem Czarnym. Frankenstein uważał, że niezależnie od poglądów Baczki – z którymi mógł się zgadzać lub nie – historia jego życia dowodzi, jak wiele można osiągnąć, chociaż niemal wszyscy dookoła uważają cię za gorszego i spisują na straty. Pod tym względem faktycznie pasowało to do publicystyki, adresowanej do Żydów narażonych na ciągłe ataki i podejrzenia swoich nieżydowskich sąsiadów. Kilemann pomógł Frankensteinowi dotrzeć do żyjących jeszcze w Königsbergu dawnych znajomych Baczki. Skontaktował go także z Edwardem Orłowskim – wnukiem muzułmańskiego oficera „bośniackiego” regimentu, w któ-

rym służył wcześniej ojciec Baczki, jak się okazało pochodzący z Dalmacji. Do jakich ustaleń wspólnie doszli, tego Kilemann nie wiedział. W artykule temat potraktowano zdawkowo, tym niemniej dziennikarz był bardzo wdzięczny, a i Orłowski wydawał się uszczęśliwiony, że ktoś zainteresował się jego spuścizną rodzinną. Na koniec wręcz Frankenstein przez ostatnie pół roku wypytywał dokładnie Kilemanna, jak przygotować do zawodu swojego najstarszego syna. Dziennikarzowi zamarzyło się, że chłopiec zostanie lekarzem. A może nawet kimś więcej, kimś takim jak Kilemann. Było to trudne, ale przecież nie nieosiągalne. Zwłaszcza że chłopiec, o imieniu Leo, był bardzo dobrym uczniem. Nic nie stało więc na przeszkodzie, by wykształcił się na farmaceutę czy doktora – o ile tylko sprostą wymaganiom nauczycieli, wykaże się wytrwałością, a rodzicom nie zabraknie pieniędzy, by sfinansować jego edukację. Kiedy więc pod wieczór zziązany Frankenstein zapukał do drzwi Kilemanna, ten był zaskoczony nieoczekiwaną wizytą, ale nie skonfundowany. Sądził, że reporter pewnie znów przybywa po prośbie. Nie mylił się. Jednak sprawa, z jaką się zjawił, wprawiła gospodarza w osłupienie. Frankenstein, cały upapraný w błocie, w przemoczonych butach, złożył u niego coś w rodzaju listu pożegnalnego. Opisał w nim szczegółowo niewiarygodne wręcz spotkanie wymienionych z imienia i nazwiska trzech prominentnych członków społeczności lyckiej, którzy przy pogańskim kamieniu w Alt Jucha snuli wizję mrocznego spisku. Dawid nie omieszkał wspomnieć, że jednego z nich widział już wcześniej w Konitz, gdy terrorem wymuszał zeznania od żydowskiej dziewczyny.

– Tylko panu mogę zaufać – powiedział na koniec do Kilemanna grobowym tonem.

– Tylko mnie? – zdziwił się doktor. – A nie komuś z pana gminy?

– Komu? Kto się za mną, niedowiarkiem i mąciwodą, ujmie? Rabin myślący tylko o modłach? Stary antykwariusz, który lada dzień wyjeżdża z Lyck? Aptekarz udający, że Żydem nie jest? A może wdowa po burmistrzu skutecznie ukrywająca fakt, że jej babka była francuską Żydówką? Co, nie wiedział pan o tym? Nic dziwnego, prawie nikt nie wie. Ja dowiedziałem się przypadkiem, jeszcze od świętej pamięci burmistrza... Sam pan widzi, jak tutaj jest. Pan nie należy do żadnego tutejszego układu towarzyskiego czy politycznego, do żadnej z tutejszych sił. Pan nie ma tu żadnych powiązań. Nie musi się nikogo obawiać i swoim życiem udowodnił pan, że nie boi się prawdy.

– Starczy tych komplementów – przerwał mu Kilemann. – Skąd ten śmiertelny strach? Czego pan właściwie się boi?

– Chyba mnie tam rozpoznali. – Frankensteinowi zadrżał głos. – I przyjdą po mnie. Wtedy ten list będzie ubezpieczeniem na życie dla mnie i mojej rodziny.

– Ale zaraz, zaraz. Ten kij ma dwa końce. To oznacza, że nikogo nie zamierzasz informować o tym upiornym spotkaniu? – Kilemann łypnął na Dawida nieco zdziwiony.

– Zastanawiam się nad tym. – Dawid wziął głęboki oddech. – Po tym, co widziałem w Konitz... A i lata wcześniej w Rosji. Nie chcę być ofiarą. A jednocześnie wiem, że muszę też chronić innych niewinnych, nie tylko własną rodzinę. Wybaczy pan ten melodramatyczny ton... Może napiszę artykuł, gdzie ujawnię ten szatański plan bez podania nazwisk. Przedstawię go jako wymysł czy plotkę, ale to powinno wystarczyć, by rozbroić tę bombę obmyśloną przez nienawistnika.

– Przyznam, że nie spodziewałem się tego po Rahmie. – Kilemann poczuł, że zaschło mu w gardle i chętnie napiłby się czegoś mocniejszego. Zaczął rozglądać się za karafką.

– Ale wierzy mi pan? – Frankenstein złapał go za rękę, jakby bał się, że rozmówca od niego się dystansuje i nie traktuje jego obaw poważnie.

– Oczywiście – uspokoił go Kilemann i spojrzał głęboko w zmęczone oczy. – Ja od dzieciństwa wiem, że śmierć nigdy nie jest daleko. Nie ma co jej kusić.

Gdy Frankenstein wyszedł, było już po jedenastej w nocy. Kilemann długo obracał w rękę kopertę z jego wyznaniem. Powinien właściwie zanieść je do notariusza, lecz czy tutejsi prawnicy nie znali się dobrze z Rahmem i jego kolegami? Tak dobrze, że zapomnieliby o tajemnicy zawodowej? Może gdyby

był jakiś jurysta z żydowskimi korzeniami, Frankenstein bardziej by mu zaufał. A tak pozostał tylko szanowany człowiek spoza układów – Kilemann. Albo przynajmniej tak się Frankensteinowi wydawało.

Kiedy Kilemann w końcu zasnął, nie spało mu się dobrze. Snił o Azylu. O domu śmierci pełnym ofiar „pruskiego moru”. Upychał z ojcem ofiary w kolejnych salach, a Dawid Frankenstein w stroju sanitariusza prowadził w dzienniku buchalterię. Nagle babcia zawałała ich na obiad. Przedstawiła specjalnego gościa – był to doktor Rahm. Zaprezentował w kilku słowach własną receptę na walkę z „pruskim morem”: maca z krwią żydowskich dzieci i ze spopielonymi prochami ich rodziców. Dawid Frankenstein ciągle notował. Z tego koszmaru wybudziło Kilemanna gwałtowne pukanie, a potem wręcz tarabanie w drzwi. Ktokolwiek tak łomotał, doktor był mu wdzięczny, że wyrwał go z upiornego i absurdalnego koszmaru. Dopiero gdy Kilemann otwierał drzwi, uświadomił sobie, że to przecież mogą być ludzie Rahma! Przyszli tu po list! Było jednak już zbyt późno, by zatrzaskać drzwi. W progu zablokował je ciężki zablocony but.

– Panie Kilemann, to znowu ja – odezwał się Frankenstein ściszym, zmęczonym głosem. Zaspany gospodarz przetarł oczy. Dawid był w jeszcze podlejszym stanie niż poprzednio. Dużo gorszym, co wyszło wyraźnie przy lepszym oświetleniu. Jego całe ubranie wyglądało jak lachmany najgorszego włóczki. Mokre, porwane, zablocone. Pod podziurawioną grubą marynarką widać było strzępy koszuli, z oderwanym kawałem od pępka na dół. Buty miał powykrzywiane i dziurawe. Ręce poranione. Twarz w siniakach, włosy w nieładzie.

– Co ci się stało, na Boga? – Kilemann wciągnął dziennikarza do środka mieszkania i zatrzaskał drzwi. Nawet nie zauważyli, kiedy przeszli na ty.

– A jak sądzisz? Rahm i spółka – odparł Frankenstein, chwytając się na nogach.

Kilemann usadowił go w dużym skórzanym fotelu, a potem szybko rozejrzał się za jakimś mocniejszym alkoholem. Nalał pół szklanki. Dawid przyjął ją bez słowa, podniósł ją do ust i wypił niemal jednym haustem.

– Ostrożnie! – Kilemann chwycił go za ramię.

– Spokojnie – odrzekł Frankenstein. – Po tym, co przeszedłem, to jak bułka z masłem.

– A co takiego przeszedłeś? – spytał Kilemann, jakby nie widział, w jakim stanie jest garderoba żydowskiego żurnalisty. – Pobili cię?

– Gorzej – odparł Dawid i szybko zrelacjonował wydarzenia z domu i cmentarza. Tym razem to Kilemann musiał nalać sobie kieliszek koniaku.

– Na Jowisza! – sapnął i zacisnął pięści, gdy Dawid dotarł do miejsca, w którym na cmentarzu cudem ocalił go nocny stróż i jakaś grupka podchmielonych żołnierzy na przepustce. – Miałeś szczęście.

– No raczej – przyznał Frankenstein. – Gdyby tam pojawił się sam stróż, Rahm i jego bandziory mogliby go pnać w łeb i dokończyć sprawę ze mną. Ale w tej sytuacji wzięli nogi za pas. Chociaż raz pijani żołnierze na coś się w tym mieście przydali. Przeszanę o nich źle pisać. Zwłaszcza że był wśród nich ten wielkolud, którego nigdy nie znośm. Ten, co wiecznie chwali się służbą w Huzarach Śmierci.

– Bazil? – Kilemann zmarszczył brew.

– Tak. Gdy jako tako otrzępalem się z błota, podszedł do mnie i zapytał, czy nie potrzebuję pomocy. Nawet mocno stał na nogach, w przeciwieństwie do reszty zmęczonych pijatyką wojaków. Powiedział, że przypadkiem trafił na moją broszurę o Ludwiku Baczko i że od tamtego momentu zaczął mnie szanować. Wyobrażasz sobie? – Frankenstein na moment przestał mówić, jakby chciał nabrać powietrza. – Próbował wyciągnąć ze mnie, kim byli napastnicy, ale udawałem, że nie mam pojęcia.

– Nie możesz trzymać tego w tajemnicy. Sytuacja wymyka się spod kontroli. Trzeba iść na policję, nie ma wyjścia – uznał Kilemann.

– W żadnym wypadku! – Frankenstein poderwał się z fotela. – Nie usłyszałeś jeszcze mojej historii do końca.

– To zaszło coś jeszcze? – Czoło Kilemanna jeszcze bardziej się zmarszczyło.

– Owszem. – Wyczerpany Dawid opadł z powrotem na fotel. – Szybko pożegnałem moich wybawców, bo nie miałem czasu do stracenia. Biegłem do domu z duszą na ramieniu. Wyobrażałem sobie, że moi oprawcy mogli znów tam pojechać i dokończyć dzieła z moimi bliskimi.

Kilemann zamarł. Wielokrotnie zajmował się sprawami gwałtów i mordów na kobietach i dzieciach. Przed oczami przesuwały mu się makabryczne obrazy z miejsc zbrodni. „Czy nie ma przed nimi ucieczki? Nawet tutaj mnie dopadły? Nie, może nie...” – przemknęło mu przez myśl.

– Kiedy dobiegłem do domu, powitała mnie złożona kartka przybita do drzwi nożem – ciągnął opowieść Frankenstein. – „A więc już tu dotarli!” – pomyślałem ze zgrozą. Zerwałem kartkę i do niej zajrzałem. Komunikat od Rahma i jego ferajny był krótki. „Milcz, to przeżyjecie” – napisali.

Zapadła przeciągająca się cisza.

– I postanowiłeś ich posłuchać? – spytał cicho Kilemann.

– Postanowiłem przeżyć – odparł Frankenstein. – Przede wszystkim postanowiłem przeżyć.

– I co dalej?

– Miriam z dziećmi już się pakują. Rano zabieram je do Breslau, do teściów.

– I co potem?

– Nic. Zostaniemy tam.

– Jak to? A Lyck? – zdziwił się Kilemann.

– Lyck? Tu nie wracam. – Dawid pokręcił głową. – Chyba mam dość ryzykowania życia i zdrowia. Zwłaszcza gdy nie chodzi już o mnie, lecz o moich najbliższych. Może wyjedziemy do Ameryki? Ten polski dziennikarz, z którym mnie zapoznałeś, pisał o wielkich perspektywach roztaczających się przed tamtejszą prasą. I nikt nie wymyśla tam bzdur o żydowskich rytualnych mordach²⁹.

– Jesteś pewien? Myślisz, że Amerykanie są na to odporni? Przyjęli jakąś szczepionkę? – Kilemann się skrzywił. – Gnoją czarnych, ale nie Żydów?

– Łatwo ci tak mówić. Nie masz rodziny, nie masz dzieci. Czy wiesz, co sobie wyobrażałem tam, przed drzwiami domu? – Dawidowi załamał się głos. – Nawet kiedy wszedłem do środka, wciąż bałem się, co zastanę. Leżeli tam, powiązani jak bydłęta, z workami na głowach. Płakali, szarpali się, ale nie potrafilili się uwolnić. Wyobrażasz to sobie? Zostałeś kiedyś tak potraktowany?

– Nie. Jednak wiele w życiu widziałem – odparł ostrożnie Kilemann. – Więc weź pod uwagę, że nie jesteś jedynym człowiekiem, który spotkał się z niesprawiedliwością, hipokryzją i brutalnym prześladowaniem. Czasem trzeba zaprotestować, zrobić coś...

– Przecież próbowałem. – Frankenstein znów zerwał się z krzesła. – Ile lat przepracowałem w swoim fachu, nie dla pieniędzy przecież? Ile razy ryzykowałem, żeby opisać niewygodne fakty? Nikt nie może mi zarzucić braku odwagi. Nikt! Lecz kiedy idzie o zdrowie i życie moich bliskich, jestem tchórzem!

– Spokojnie, nie unós się. – Kilemann złapał go za ramiona i próbował posadzić z powrotem na fotelu. – Chodzi mi tylko o to, co dalej ze spiskiem Rahma? Chcesz go tak zostawić i dać im działać? – spytał.

– Zostawiam to. – Frankenstein wyrwał mu się. – Zostawiam tobie. Dlaczego antyżydowskie spiski mają zwalczać tylko Żydzi, jak ja? A co z tak zwanymi porządnymi Niemcami? Co z prawymi, uczciwymi Prusakami, jeśli tacy są? Niechże oni się zajmą ptakami, które kalają ich rodzinne gniazdo. Niech oni uprzętną to gówno! – Dawid zaczął wywijać w powietrzu pięściami.

– Dobrze zatem – uspokoił go gospodarz. – Spróbuję coś z tym zrobić, nawet bez ciebie. Chociaż ten list mi zostawisz? Pamięć mnie już zawodzi...

– List zostawię tutaj jako gwarancję bezpieczeństwa. A nuż będą mnie szukać nawet daleko stąd? – odparł Frankenstein. – Wydaje mi się, że nikt mnie nie śledził. Wciąż więc nikt nie wie, że powierzyłem tę sprawę właśnie panu.

- Dobrze. Zapewniam, że nie rzucę tego listu w kąt i nie zapomnę o nim – obiecał Kilemann.
 - To zostawię coś jeszcze – Frankenstein wręczył doktorowi wyjęty z kieszeni gałgan. Jakiś podłużny przedmiot zawinięty w kawał koszuli. Ten strzęp, którego brakowało Dawidowi pod marynarką.
 - A co to takiego? – zainteresował się Kilemann i ostrożnie rozwinął pakuneczek.
- W koszulę zawinięty był składany nożyk z metalowym trzonkiem.
- Wyciągnąłem go ostrożnie z drzwi, chwyciwszy przez koszulę – wyjaśnił Dawid. – Może znajdziesz na rękojeści odciski palców? Czytałem, że to metoda, która zdobywa coraz większą popularność. Może więc ten kozik przyda się, żeby ustalić, kto jeszcze działa w bandzie Rahma? Kto jeszcze chce zrobić z Lyck drugie Konitz?

ROZDZIAŁ 10:

DŁUGIE CIENIE Z KONITZ

Pytany w dworku w Chelchen o sprawę z Konitz, Kilemann odpowiadał, że uważa ją za niebezpieczną dla porządku publicznego, aczkolwiek tylko na krótką metę. „Takie afery wybuchają i kończą się, a życie toczy się dalej. Nienawiść i uprzedzenia nie tyle wygasają, co przechodzą w stan życia utajonego, hibernują jak nietoperze, śpią jak niedźwiedzie zimą. Potem budzą się przy okazji kolejnej dętej, groteskowej afery” – tłumaczył. Mówił tak, jakby była to bzdura, którą szkoda nawet się zajmować.

Kłamał.

W rzeczywistości zdarzenie to niepokoiło go dużo bardziej, bo wpisywało się w ciąg kolejnych spraw z morderstwami rytualnymi i podgrzewało spore już emocje. Tisza Eszlar i Lutcza w Austro-Węgrzech, Skurz²⁰ i Xanten w Niemczech, Polna w Austro-Węgrzech, a teraz Konitz, żeby wymienić tylko najbardziej znane przypadki z ostatnich kilkunastu lat, opisywane przez niemiecką prasę. A przecież były jeszcze pogromy w Rosji, śledztwo w sprawie Kuby Rozpruwacza w Anglii, afera Dreyfusa we Francji – wszystkie z widocznymi antyżydowskimi uprzedzeniami w tle. O nich też informowały gazety w Cesarstwie Niemieckim. Co bardzo ważne, sprawy te ciągnęły się często latami, nakładały na siebie, rozmywały się w kryminalnych, prawnych i proceduralnych zawiłościach, zamiast zmierzać do rozstrzygnięcia. To wszystko buzowało jak lawa rozpieńająca wulkan. „Pytanie, za którym razem nastąpi prawdziwa erupcja nienawiści, zamiast paru wstrząsów, kilku wyrzutów gazów i pary z krateru tego potwora?” – dumał Kilemann. „Nie chciałbym być świadkiem tego wybuchu”. Głośno bagatelizował zagrożenie, jakby uważał, że nieprzykładanie doń wagi może obniżyć ciśnienie w tym społecznym wulkanie nienawiści. Skrycie śledził jednak dokładnie sytuację w Konitz. Napięcie rosło aż do Wielkanocy. Wielki Piątek wypadł trzynastego kwietnia. „Jeśli kto wierzy, jak niektórzy ezoterycy, że to dzień pechowy, bo właśnie w piątek trzynastego rozwiązano zakon templariuszy za domniemane herezje, będzie miał teraz okazję się przekonać, czy to prawda” – mówił Seydlowi w Chelchen, gdzie spędzał okres świąteczny, rozrośnięty do niemal tygodnia przed Wielkanocą i po niej.

„Dobry temat na pogawędkę w salonie burmistrzowej Beaty. Wiesz, że próbowała mnie zaprosić? Ciekawe, kto by z własnej woli przyszedł na wieczorek ze mną, he? Wracając jednak do zabobonów... Ja słyszałem tylko, że trzynastym gościem na uczcie nordyckich bogów w Walhalli był złośliwiec Loki. Albo że w ostatniej wieczerzy Jezusa uczestniczyło trzynaście osób – dlatego to liczba pechowa. O tym, że szczególnie feralna jest w połączeniu z piątkiem, jeszcze nie słyszałem” – odparł Seydel. Zapalony myśliwy nie przestawał przy tym czyścić dubeltówki. „Dla mnie będzie pechowy, bo przecież nie pójde polować w Wielki Piątek”. Uśmiechnął się pod wąsem.

Kilemann od polowań wolał uroki spokojnego wędkowania. Odpoczynek przerwała mu informacja, że w samą Wielkanoc, piętnastego kwietnia, dzieci z Konitz wypatrzyły na łące pod miastem, na skraju lasu, odciętą ludzką głowę zawiniętą w gazetę. Zaginioną część ciała zmasakrowanego Wintera. Znajdowała się w takim stanie, że nawet gdyby optografia była skutecznym narzędziem, nie pomogłaby w tym przypadku. Wielkanoc przypadała tego roku w tym samym czasie co żydowskie święto Paschy. To jeszcze zwiększyło kryminalno-religijne napięcie w Konitz. Głowy tamtejszych nienawistników i podżegaczy aż parowały z emocji. Antysemitcka prasa dawała wyraz wściekłości. Miejscowy fotograf zaczął wystawiać w witrynie swojego zakładu zdjęcia z miejsc, w których odnaleziono rozczłonkowane ciało. Pojawiły się poczynówki jednoznacznie wskazujące, kto ponosi winę za śmierć Wintera. Po domach roznoszono antysemitckie ulotki i artykuły. Władze zatrzymały żydowskiego garbarza, którego

ktos rzekomo widział, jak wynosi tajemniczy worek – w domyśle z ludzką głową – w pole. To pasowało do antysemitycznej teorii: zbrodnia na chrześcijańskim nastolatku była z góry zaplanowana, wzięło w niej udział kilku Żydów, którzy wykorzystali znajomość Wintera z młodą Żydówką Metą Caspary. Czyli mamy do czynienia z mordem rytualnym, potrzebne są kolejne aresztowania i przesłuchania. Tymczasem prokuratura wzięła starozakonnego garbarza pod klucz, jednak śledztwo zmierzało w zupełnie innym kierunku, ku wściekłości żydożerczej publiki. Mianowicie zatrzymano miejscowego rzeźnika, lecz nie Żyda, a chrześcijanina. Nazywał się Gustaw Hoffman i miał czternastoletnią córkę Annę. Ponoć romansowała z Winterem, a dowodem na to miała być między innymi chustka z monogramem „A” znaleziona przy zwłokach Wintera. Wbrew woli starego Hoffmana młodzi spotykali się podobno na miłosnych schadzkach w budce nad jeziorem, notabene niedaleko synagogi. I tylko to łączyło śmierć Wintera z Żydami. Publika była wściekła. Uważała, że Żydzi wykorzystali swoje wpływy u burmistrza, nieomal go szantażując. Pojawiali się kolejni świadkowie wskazujący na żydowski spisek i następnych uczestników mordu. Jednak przybyli z Berlina śledczy doszli do wniosku, że to konfabulacje. Bardziej wiarygodna była dla nich wersja, że oddającą się flirtom lub nawet miłosnym igraszkom parę nastolatków nakrył Hoffmann i celowo lub przypadkiem zabił chłopaka. Potem, jak to rzeźnik, poćwiartował zwłoki i ukrył.

21 kwietnia w mieście doszło do zamieszek. Nieformalnie tej antyżydowskiej kampanii przewodzili przedstawiciele miejscowej inteligencji, ludzie wykształceni: nauczyciele i lekarz dentysta. Kilemann przypomniał sobie wtedy o nożu pozostawionym mu przez Dawida Frankensteina. Przy pomocy chemicznych odczynników i lupy zaczął szukać na nim śladów odcisków palców. Wprawdzie i tak był pewien, kto za tym stoi, ale uznał, że takie przeświadczenie to za mało. Na razie nie miał materiału porównawczego – nie dysponował przecież odciskami palców członków MaUeR-a, jednak bez większego trudu mógłby je zdobyć. Wtedy zyskałby ostateczny dowód na to, kto gnębił żydowskiego dziennikarza i zmusił go do panicznej ucieczki z Lyck. Niestety, na metalowym koziku nie było żadnych odcisków palców.

– Żadnego dowodu przeciw tym miejscowym elitom, roznoszącym po mieście pożogę nienawiści. Mogę sobie używać tego kozika do strugania ludków z drewna, tyle z niego pożytku – mruknął z niezadowolaniem.

Próbował upchnąć nóż do jakiejś szuflady pełnej rupieci, ale w końcu zostawił na biurku. „Może przyda się chociaż do otwierania korespondencji” – pomyślał. „Biedny Frankenstein. Sądził, że ten nóż coś zmieni, tak jak jego zeznanie o planach Rahma, Mayera i Ueckera. A tymczasem nie zmienił i nie zmieni już pewno nic”.

Tymczasem owi przedstawiciele elit roznoszących po mieście pożogę nienawiści, jak narzekał Kilemann, dobrze się bawili. Mayer zawarł tego dnia znajomość z marszandem dzieł sztuki – sądząc po liściach i przywiezionej paczuszce, dużo bardziej obrotnym niż żydowski antykwariusz z Lyck. Przybyły z marszandem amerykański biznesmen zainteresował pozostałych kolegów Mayera. Mógł przecież opowiedzieć im, jak wytępić dzikusów. Nikt z MaUeR-a nie wierzył bowiem w powieści dła Karola Maya ze szlachetnymi Indianami pokroju Winnetou.

ROZDZIAŁ 11:

KOZŁY

W pierwszą sobotę po Wielkanocy także w Willi z Pruskim Murem poruszono tematy zgoła mało rozrywkowe. Zaczęło się od fotoplastykonu, który miał powstać w Lyck, ale ostatecznie z powodu rodzinnej tragedii właściciela nigdy nie został otworzony²¹.

– Nie mamy czego żałować – stwierdziła z miną znawczyni pani Dorota. – Owszem, na początku chodziłyby tam rodziny z dziećmi, żeby oglądać przez okulary nowe cuda Paryża i Londynu, ruiny w Rzymie, egipskie piramidy i plemiona żyjące gdzieś na krańcach świata. Ale po paru tygodniach zaczęłyby już tam być tylko spoceni piwosze, przyglądający się fotografiom z gołymi dzierlatkami.

– A to nie jest zakazane? – rzuciła cicho Gertruda. Przeliczyła akurat żetony, których przybyło jej po tym, jak obstawiła na ruletce cztery numery ułożone w kwadrat, a kula wskazała na jedną z tych liczb. Zwycięzcy ośmiokrotnie powiększyła obstawiony zakład.

– A wołałabyś, żeby zamiast chodzić do fotoplastykonu, ci jurni panowie zaglądali do wesolych willi na Sybbie²² – skontrowała siostrę Brygida. – I zostawiali tam pieniądze, które mogłyby przeznaczyć na edukację dzieci, na lecznicze wczasy swych żon w Zoppot²³ albo na charytatywną zbiórkę w kościele?

– Obawiam się, siostruniu, że owi lubieżnicy korzystaliby i ze sfotografowanej golizny w fotoplastykonie, i z tej prawdziwej w lupanarach – odparła Dorota.

Wtedy Beata spojrzała na nią, jakby była zdziwiona, że dewotka może wiedzieć, co siedzi w głowach mężczyzn. Wszak to właścicielka Willi z Pruskim Murem orientowała się w tym doskonale.

– A to nie jest zakazane? – powtórzyła Gertruda trochę głośniej, odkładając już swoje żetony.

– Miałam dwóch mężów i żaden z nich nie musiał biegać do lupanaru albo fotoplastykonu – rzuciła Brygida, a pozbawione wszelkiej dwuznaczności i pruderii stwierdzenie przyprawiło pozostałe panie o rumieńce. Zaczęły się zastanawiać, czy Brygida nie wspomni zaraz, jak ostatnio o nią się pojedynkowano. Byłoby to jednak dziwne, bo, jak wieść niesła, broniący jej czci absztyfikant został pokonany.

– No cóż, nie każda z nas może mieć za sobą tak... dużo udanych związków – skwitowała złośliwie Dorota. – Aż żal, że się skończyły.

– Ja tam nie żałuję – odparła Brygida, udając, że nie zauważyła ironii w słowach siostry. – A co do moich mężów... Pierwszy, jak wiecie, postanowił wyjechać i szukać szczęścia w południowej Afryce, co zupełnie mi nie odpowiadało, nawet gdyby miał tam założyć kopalnię diamentów. Moja cera nie znosi upałów. Drugi zaś zbyt chętnie zaglądał do kieliszka. Ja zaś chciałam być żoną, a nie niańką, a już na pewno nie niańką pijaka.

Pozostałe kobiety spojrzały po sobie z zakłopotaniem. Brygida nie przebierała dzisiaj w słowach. Być może były to akurat „te” dni, gdy wszystko ją drażniło i denerwowało. A może fakt, że nie przyszła dziś na spotkanie siostra Herta, sprawił, iż Brygida mniej się hamowała. Jednak o tak wstydliwych sprawach przyjaciółki nie zamierzały rozmawiać.

– Ale czy to nie jest zakazane? – powtórzyła już głośno Gertruda.

– Co takiego? Zostawianie męża pijaka? – rozżościła się Brygida.

– Nie, przecież Gertruda wraca do tematu nieobyczajnych zdjęć w fotoplastykonie. Zapomniałaś, o czym rozmawiamy? – zwróciła jej uwagę siostra.

– Ach, czyli zamiast grać w ruletkę, mamy rozmawiać o ustawodawstwie? O *lex Heinze* i takich tam? Policja ma decydować, co jest dziełem sztuki, a co nie? Jakiś prosty jak budowa cepa żandarm ma cenzurować artystów? – podchwyciła Brygida.

– A co, ma się z nimi pojedynkować? – zirytowała się Dorota.

Atmosfera w okamgnieniu zgęstniała. Brzęknęły żetony upuszczone na ziemię przez Gertrudę.

– Och, wybaczenie, niezłoda ze mnie – zaczęła natychmiast przeproszać.

– Nic się nie stało, złotko – rzuciła zimno Brygida, przesywając jednak wzrokiem swoją siostrę. – Znam większe niezłady. To tylko ruletka, nie życie.

Kłótnia między rodzeństwem wisiała w powietrzu.

– Gertrudo, słyszałam, że twój mąż bardzo zaangażował się w spotkania tego męskiego towarzystwa dżentelmenów, Klubu Dobrego Porządku – zmieniła nagle temat Beata.

– Nie tylko on, także mój małżonek i pan Mayer. – Dorota spojrzała znacząco na gospodynię. – To miasto trzeba oczyścić.

– Oczyścić? – zainteresowała się Brygida. – Z czego?

– Raczej z kogo. – Dorota uśmiechnęła się, ale jej twarz przybrała jakiś złowieszczy wyraz.

– Czuję, że zaraz usłyszymy coś o mordercach Jezusa – mruknęła Brygida, jakby chciała sprowokować siostrę i wcale nie lękała się karczemnej awantury.

– Musimy oczyścić nasze sąsiedztwo z morderców dzieci – kontynuowała Dorota. – Słyszeliście, co dzieje się w Konitz? Czytacie przecież gazety. Znacnie sprawę śmierci młodego Wintera. Ludzie w Konitz, i nie tylko tam, żądają prawdy i sprawiedliwości. Tymczasem zamiast przymknąć w oczywisty sposób winnych Żydów, pielęgnowujących swe barbarzyńskie tradycje, tamtejszy sąd bierze się za Bogu ducha winnego rzeźnika chrześcijanina. Na protestujący tłum mieszkańców władze wysyłają żandarmów, a nawet wojsko. Za informacje o sprawcy lub sprawcach mordu na Winterze władze wyznaczyły najwyższą nagrodę w historii Niemiec – aż dwadzieścia tysięcy marek – ale nie interesuje ich prawda. Pod naciskiem Żydów sąd podważa prawomocne zeznania. Z ofiary, z porządnego nastoletniego chłopaka zrobiono bywalca domów publicznych i takiego, który żadnej dziewczuszcze nie przepuści. Jego morderców zaś się wybiela i szuka w ich miejsce kozła ofiarnego. Jak tak może być?

– A co to ma wspólnego z Lyck? – prychnęła Brygida.

– Bardzo dużo – odpowiedzieli jednocześnie Dorota i Beata.

Gertruda z zimną, pozbawioną emocji twarzą, słuchała uważnie.

Z tym, co tego wieczoru powiedziano w Willi za Pruskim Murem, na pewno nie zgodziłby się Kilemann. Dla niego święte były słowa znajomego doktora Puppe, którego zresztą typował, zamiast siebie samego, na następcę starego Seydla na stanowisku szefa katedry medycyny sądowej na Albertynie w Königsbergu. Po przeprowadzonych analizach Puppe stwierdził, że Winter został zabity podczas stosunku piciowego. Zaatakowano go i uduszono. Następnie został poćwiartowany. Nie wyglądało to na mord rytualny. Raczej zabójstwo w afekcie i próbę pozbycia się zwłok. Pasowały do tego inne poszlaki. Donoszono, że w jakimś zagajniku znaleziono porzucone spodnie Wintera ze śladami, jak sądzono, krwi i nasienia. Plotkowano także, że nastolatek miał za sobą sporo romansów i regularne wizyty w miejscowym burdelu, co narażało go nie tylko na choroby, lecz i na kontakty z miejscowym półświatkiem przestępczym. Cóż z tego. Prasę zalewały artykuły wskazujące, że wina Żydów jest oczywista, lecz jakieś tajemnicze siły starają się ukryć sprawie łeb. Przypominano, na czym polega mord rytualny i dlaczego miało do niego dojść. Stało się oczywiste, że przy ówczesnych nastrojach w Konitz pogrzeb Wintera może zamienić się w antysemitki pogrom. Władze zwlekały więc z uroczystością. Nie nawiść jednak kipiała. W okolicznych miejscowościach i wsiach, w tym w rodzinnym Prechlau Wintera, powybijano szyby w żydowskich sklepach i bożnicach. Berlin wysłał do regionu jeszcze więcej żandarmów i wojska. Teraz kamienie wzburzonego tłumu sypały się i na żydowskie mieszkania, i na przedstawicieli władz. Agresja rozlewała się na inne miasta. W Neustettin²⁴, siedemdziesiąt kilome-

trów od Konitz, żandarmeria musiała bronić przed agresorami synagogi i domów zamieszkiwanych przez Żydów. „Lepiej, żeby z tych kamieni zbudowali wieżę na cześć kanclerza Bismarcka, niż ganiałi Żydków” – usłyszał Kilemann od eleganckiej damy, z którą spędził wieczór w posiadłości Seydla w Chelchen. Zbył to milczeniem. Wołał zmienić temat. W salonie Seydlów właśnie pojawił się Orłowski z wieścią, że na lyckim targowisku zderzył się z Bazilem i Huzar Śmierci zażądał kolejnego pojedynku. Na pistolety. „Ale dopiero gdy rany mi się zagoją” – zastrzegł. „Jesteśmy, jak mówią Anglicy, džentelmenami”.

ROZDZIAŁ 12:

DANSE MACABRE

Tak jak ojciec kiedyś gromadził w *Księdze Śmierci* opisy przypadków, które trafiły do Azylu Wątpliwego Życia, tak syn zapisywał maczkiem puste stronicę, opisując epokę pruskiego moru z początku osiemnastego stulecia. Kilemann wrócił do swojego opracowania, gdy przebywał u znajomych w Chelchen. Dziwne, że w tak sielankowych okolicznościach najlepiej szło mu pisanie o rzeczach tak strasznych i ostatecznych. Zaczynał Kilemann swą opowieść nie od chronologii, nie od zarania tragedii, a od pozostałości po tym masowym wymieraniu. Oto puchar dziękczynny po sędzim Maletusie z Johannsburga²⁵, wdzięcznym za ocalenie siebie i rodziny. Jego sąsiedzi nie mieli tyle szczęścia. Oto malowidło z kościoła w Kutten²⁶, przedstawiające śmierć, która pędzi na rumaku i wywija kosą na lewo i prawo. Wśród trupów i mogił przechadza się pochód zmarłych, danse macabre namalowany na zlecenie wstrząśniętego pastora Drygalskiego. Oto epitafium z wierszem pastora Sartoriusa, płaczącego nad zgonem siedmiorga swoich dzieci. „Och, zwiędłyście me najmilsze dziatki w siedem dni, jak kwiatki” – lamentował nad swoim hiobowym losem. Przede wszystkim jednak Kilemann przepisał wiersz napisany po polsku przez rektora Grodzkiego ze szkoły w Margrabowej²⁷. Był w nim i smutek i opis przebiegu zarazy, i charakterystyka choroby, i moralizatorski ton typowy dla owych czasów.

Miła, pruska ziemio, łzami się oblewaj!
Rozżalże się Boże. Mów, a smutno śpiewaj,
Pomnąc na to, jak śmierć czyściła te kąty,
Gdy pisano tysiąc siedemset i dziewięć...
Hardy, cichy prostak i doktor sławetny,
Bogaty, ubogi, chłop i pan ślachetny
Tą drogą iść musiał, bo mu próżno było
Uciec przed powietrzem, gdy go już ruszyło...
Któż powie, że wtenczas smętarza szukano?
Lub we wsi, lub w polu, lub w lesie schowano.
Gdzie kogoś śmierć zaszła, tuż i dół zrobiono.
Tamże go wrzuciwszy, ani mu dzwoniłono.
Już tam nie szukano księdza ni kantora,
Chociaż wynoszono i panów ze dwóra.
Bogate, ubogie za równo rzucano,
Tak młodych, jak starych pospołu mieszano...
Kogo ta zaraza morowa ruszyła,
W tego zdrowiu tedy marna ufność była;
Gdy od gruczołów, wrzodów wielki ból ponosił,
O koniec zbawienny Pana Boga prosił.
Trud też nie jednemu jadowity sprawił,
Że go i rozumu jego już pozbawił.

A nie wiedział wtenczas od bólu, co czynił;
W niebacznych swych sprawach karania zawinił...
Zboże w polach stoi: zbierać niemasz komu;
W gumnach, w chlewach pustki, pustki w samym domu
Niemasz kogo, co by opatrzył ubóstwo,
Gdy ludu powietrzem padło wielkie mnóstwo...
Jeżeli też który padł morem zrażony,
Żeby się kto przejął trudno znalezione.
Tak długo tam leżał, aż się kto zmiłował,
Że śmierdzące trupy zaledwie pochował.
Często, żal się Boże, trupy nie schowane
Leżały, gdzie padły, jak wodą zalane,
Nie przyszły i w ziemię, gdyż psi nie jednego
Pożarli do szczętu. Cóż nad to gorszego?...
Wspominając na to, o człowieku miły,
Uważaj, co by to za przyczyny były.
Wiedźże o tym pewnie, żeć to grzech twój sprawił,
Żeś naprzeciw Panu występny się stawił.
Ach! Pychać to twoja i niesprawiedliwość,
Ubogich ściśnienie i bogactwa chciwość,
Twe krzywoprzysięstwo i nierządne sprawy,
Które czasu łaski były twe zabawy...³⁸

Lecz choć w wierszu tym było wiele prawdy, badania Kilemanna wykazały, że nie brakło również półprawd i fałszu. Śmierć morowa szalała nie tylko w roku 1709, lecz także w 1708 i 1710. Zaczęło się od mrozów, podczas których ptaki kostniały w locie, ludzie sztywnieli na amen we własnej pościeli i umierały nawet zziębnięte dęby, okazy zdrowia. Nic dziwnego, ziemia zmrożona była na metr w głęb! Bałtyk był tak oblodzony, że statki z Königsbergu wypłynęły dopiero w maju. Potem pojawiły się powodzie. Po tych klęskach musiał przyjść nieurodzaj. To zaś oznaczało głód, ubóstwo, śmierć. Zaraza wisiała w powietrzu. A przy przemarszach po kraju i państwach ościennych wojsk szwedzkich, rosyjskich i pruskich toczących niekończącą się wojnę północną, było komu ją przenosić. Wojskowe lazarety wypełniały się chorymi. Karczmy i zamtuzy zamieniały się w kłębowisko zarazków. Co gorsza, za epidemię winę ponosili też nieodpowiedzialni kupcy, handlujący ubraniami i innymi dobrami pozostałymi po zmarłych wskutek moru. Nie wspominając o rabusiach, którzy okradali opuszczone domy. Posuwali się nawet do robienia podkopów, a swój łup wyprzedawali za bezcen, nie ostrzegając nabywców, że kupują w pakiecie także śmiertcionośne zarazki. U chorych zrazu pojawiały się dreszcze, potem silny ból głowy, łamanie w krzyżu, wreszcie gorączka i wrzody, a na koniec pragnienie nie do przezwyciężenia. Majaczyli, dostawali napadów szału (tak silnych, że czasem trzeba było nieszczęśników pętać) lub zapadali w śpiączkę, a na koniec umierali.

Jak należało walczyć z epidemią? Ówczesna wiedza medyczna była mizerna. Podobnie jak za czasów starożytnych, za winne zarazy uważano „miazmaty” w powietrzu, wyziewy z bagnisk, trujące jady z cmentarzysk, procesy gnilne w ludzkim ciele. Dlatego przede wszystkim stosowano okadzanie dymem, który rzekomo miał oczyszczać powietrze. Chorych starano się wypocić, ogrzać ciepłymi kamieniami i butlami z gorącą wodą. Z lubością stosowano też lewatywy – wszak dobre na wszystko – oraz puszczenie krwi, które bardziej szkodziło, niż pomagało osłabionym pacjentom, w co ani Kilemann, ani nikt rozsądny w XIX wieku już nie wątpił. W czasach pruskiego moru myślano dużo o przykłada-

niu pijawek i stawianiu baniek, a tymczasem trupy i chorych transportowano tymi samymi wozami, a zwłoki grzebano gdzie popadnie – jakby logika wcale nie podpowiadała, że trzeba umieścić zmarłych podczas epidemii z dala od żyjących narażonych na zarazę.

Tak, wielu chorych było rozmodlonych i zawierzało swoje życie Bogu. Ślubowali, składali wota. Symbolicznym schronieniem miał dla nich być płaszcz Matki Boskiej. Lecz do ilu zakażeń dochodziło w wietrzonych wprawdzie, lecz częstokroć zatłoczonych kościołach? Ilu jednak desperatów zagrożenie śmiercią pchnęło w odmęty dawno porzuconych wierzeń i pogaństwa? Panikę wywoływało pojawienie się mgły, mającej rzekomo zapowiadać mór. Podobnie kojarzono mnożenie się żab, motyli, kleszczy i wszelkiego innego robactwa. Ba, przestрах budziło nawet rodzenie się bliźniąt. Ilu „dobrych chrześcijan” po wschodniopruskich wsiach myślało w sytuacji zagrożenia o przywróceniu ofiar z ludzi, jak robiono za dawnych czasów przedchrześcijańskich? Kilemann wiedział z artykułów i listów sprzed lat, że na pewno dochodziło do wykopywania zwłok i utracania głów trupom, rzekomo wstającym z grobów jako demony z zaświatów. Dokonywano samosądów na włóczęgach, Żydach i grabarzach, oskarżanych o roznoszenie zarazy. Atakowano ozdrowieńców, przymuszanych do noszenia na ramieniu znaku czarnego krzyża – słabi, wycieńczeni, byli łatwym celem dla motłochu. Atakowano nawet lekarzy, jakoby dorabiali się na ofiarach pruskiego moru. Biedni obwiniali bogatych. Jedni zarzucali im, że chcieli przez zarazę pozbyć się plebsu. Inni, że chorobę przyniosili zbytki i wyrafinowana kuchnia, w których gustowali bogacze. Ci ostatni z kolei winili ciemną biedotę, żyjącą w brudzie i niewiedzy. A wszyscy bez wyjątku podejrzewali obcych, cudzoziemców podróżujących rzekomo bez żadnej większej kontroli, póki wokół Prus nie rozciągnięto kordonu sanitarnego. Kwarantanna, jak wskazuje sama łacińska nazwa, wynosiła w przypadku dżumy czterdzieści dni. Zarażone domy oznaczano białym krzyżem. Gałę zadżumione wioski otaczano palisadami. Czasem pod szlabanami zostawiano żywność i leki, lecz w praktyce wiele z osad skazywano na śmierć. Strzelano do tych, którzy próbowali się wydostać z ognisk piekielnej zarazy. Straszono demonstracyjnie wystawionymi przy szlabanach szubienicami. W złożonych chorobą rodzinach w akcie desperacji rodzice potrafili dusić dzieci, by oszczędzić im jeszcze gorszej śmierci, gdy dom zamieni się w kostnicę. Swoją drogą, również szybko brano śluby, jak i chowano małżonków. Jak pisał Kilemannowi pewien młody student z Kreuzburga²⁹ Willie Sahn – też zainteresowany historią moru – bywało, że jednego dnia mężczyzna składał do grobu żonę, kolejnego szedł do ślubu z inną, a nazajutrz sam wyruszał na tamten świat. Zaś panna młoda zabierała z jego jeszcze ciepłego palca obrączkę, by dać ją innemu kawalerowi, nim sama odejdzie do wieczności. Jakikolwiek porządek społeczny zawisł na włosku. Rajcy wielu głodujących miasteczek błagali władze o zboże, podczas gdy wygłodniały mieszkańcy w poszukiwaniu jedzenia szabrowali dotknięte zarazą wymarłe domy. Rządowe pruskie Kolegium Zdrowia wydawało ostrzegawcze komunikaty dla ludności – zarówno po niemiecku, jak i po polsku – lecz w wielu wymierających wioskach brakowało kogoś mającego siłę i autorytet, by wprowadzić je w życie. Lekarze, przebrani niczym upiory w długie nawoskowane płaszcze, kapelusze z wielkim rondem i dziobate maski wypchane szmatami nasączonymi eterycznymi substancjami mającymi zdominować smród gnijących wokół zwłok, budzili czasem więcej strachu niż nadziei. Na pruski mór próbowali rozmaitych środków ziołowych, na przykład piólunu i dzięgla leśnego, a nawet tytoniu. Pito jałowcówkę i piwo zaprawione ziołami. Zapobiegawczo przyjmowano ocet dżumowy i jedzono kanapki z masłem i rutą. Bardziej jednak pomagało dbanie o czystość ulic, zabezpieczanie dostępu do wody pitnej, odkażanie rąk spirytusem i noszenie masek. Na ulicach rozpalano ogniska, dezynfekowano mieszkania, paląc tam nasiona jałowca, pióra ptasie, kopyta zwierzęce i proch. „Okadzanie było dobre o tyle, że odstraszało pchły” – zapisał Kilemann. „A po niedawnych odkryciach Francuza Yersina oraz Japończyków Kitasato i Ogaty wiemy już, że odgrywają one niepoślednią rolę w roznoszeniu dżumy. Chorobę powodują bowiem bakterie, których nosicielami są pchły szczurze. Ile pokoleń minęło, nim nauka doszła do tych wniosków? I czy będą ostateczne? Kto to wie. Nic jednak na pewno nie zrehabilituje szukania upiorów, dopatrywania się w chorobach kary Bożej oraz upuszczania krwi – to nie są metody walki z epidemiami”.

W Prusach zmarło ćwierć miliona ludzi, jedna trzecia populacji. Dziesiątki tysięcy gospodarstw stało pustych. Władze mogły się tylko pocieszać, że w sąsiednim państwie polsko-litewskim bywało jeszcze gorzej: w wioskach podlaskich magnatów wymierało nawet osiemdziesiąt procent ludności! A jednak to właśnie z terenów Polski przybyła nowa fala kolonistów, by załuszczyć opustoszałe Prusy. Starzy mieszkańcy byli wobec nich podejrzliwi, wzdądzali biedotę, lecz z braku rąk do pracy musieli z tym się pogodzić. Kilemanna interesowało jednak co innego: czy epidemia na skalę pruskiego moru może się powtórzyć? A jeśli tak, to jak mogłaby wyglądać i jak należałoby jej przeciwdziałać? Jego ojciec zmarł na ospę, wciąż groźną pomimo szczepień. Kilkakrotnie przetoczyła się przez Europę cholera. Co będzie następne? Czy postęp naukowy dotrzyma kroku zarazkom, które też – chciałoby się powiedzieć – zbroją się na starcie z ludzkością? Starcie, w którym nie będą się liczyć religia, kolor skóry, majątek czy poglądy polityczne. Chyba że jakiś złowrogi geniusz będzie potrafił tak ukierunkować bakterie, by atakowały tylko wybrane osoby. Czy to możliwe? Jakaż byłaby to straszliwa broń. Broń niosąca masową śmierć... Kto mógłby użyć takiej broni? Jaki wróg? Nie mówimy przecież o zatruciu studni czy przerzuceniu katapultą zadżumionego truchła za mury oblężonego miasta. Mówimy o celowym rozpoczęciu epidemii, która rozniesie się po całym kraju. Nieważne, w jak cywilizowane piórka stroiła się Rosja, Kilemann był przekonany, że w razie potrzeby kraj carów może się posunąć nawet do takiej zbrodni. A Anglosasi? Czy to nie oni rozdawali Indianom w Ameryce Północnej skażone koce, żeby ich przetrzebić? Czy podobnie nie zarażali też Aborygenów w Australii? Mogli uczyć cały świat demokracji, lecz mieli diabła chciwości za skórą. Można byłoby rozszerzyć te podejrzania także na inne państwa – w końcu za czasów dzieciństwa Kilemanna, podczas wojny krymskiej przeciw Rosji, kraje zachodnie rozważały różne mało cywilizowane metody walki, w tym użycie przeciw wojskom carskim broniącym Sewastopola śmiertelnych chemikaliów. Kiedy Kilemann snuł swe pisemne rozważania, ich zasadności dowiodła konwencja haska podpisana przez mocarstwa w roku 1899. Zabraniała ona między innymi atakowania nieuzbrojonych miast, używania na polu bitwy straszliwych pocisków dum-dum i duszących gazów, a także stosowania w walce środków trujących. Lecz przecież cała makabryczna zabawa, jaką jest wielka polityka, polega na tym, żeby zaatakować przeciwnika znieścacka i to jeszcze najlepiej tak, żeby nie wiedział, z której strony atak przyszedł. Epidemia byłaby bronią znakomitą.

Kiedy doktor dzielił się luźnymi spostrzeżeniami ze swoim korespondencyjnym przyjacielem Kordelem, ten zwrócił mu uwagę, że to wcale nie mocarstwa mogą stanowić największe zagrożenie. Co z organizacjami terrorystycznymi nawiedzonych ideowców? Pal licha, jeśli chcą wysadzić w powietrze cara czy zasztyletować cesarżową. Lecz kilka lat wcześniej rozbito w Berlinie siatkę anarchistów dysponujących laboratorium chemicznym. Włosi donosili o francuskich terrorystach planujących wysadzać instalacje gazowe w miastach i wprowadzać beczki z nitrogliceryną do wodociągów. Angielska prasa zaś twierdziła, że miejscowi radykałowie planowali roznosić śmiertelne zarazki i zatrącać ujęcia wody, by doprowadzić w kraju do społecznego wybuchu. Czy to wszystko były tylko wymysły? Bo o tym, że dziennikarze potrafią zmyślać, Kilemann i Kord wiedzieli przynajmniej od czasów sprawy Kuby Rozpruwacza. Nie ulegało też wątpliwości, że dezinformację potrafią szerzyć politycy dla własnych korzyści. A w cieniu pozostawały jeszcze tajne służby, usiłujące z jednej strony wpływać na polityków, a z drugiej – kontrolować społeczne masy. „Czasem mogłoby się wydawać, że wszyscy owi radykałowie to psy łańcuchowe albo państwowych tajniaków, albo obcych agentów” – pisał Kilemann do Korda. „Można mieć nadzieję, że to tylko straszaki, środki nacisku. Co jednak, jeśli pewnego dnia sytuacja wymknie się spod kontroli? Co, jeśli jakiś szalony »zbawca« świata rozpuści wokół zarazki, by zwalczyć przeludnienie, głód, niedostatek i brak pracy w najbardziej drastyczny sposób: redukując liczbę ludności i doprowadzając do społecznego wybuchu, do wojny domowej, która pochłonie kolejne ofiary i z której miałby się wyłonić lepszy, bardziej sprawiedliwy świat”.

„Nigdy nie myślałem o podobnych problemach w ten sposób” – odpisał Kilemannowi Polak. „Nie mam jednak wątpliwości, że ważne są tyleż fakty, co ich interpretacja. Pamiętam, jak podczas jesieni grozy, gdy w Londynie szalał morderca z Whitechapel, światli publicyści zaczęli zwracać uwagę, że jego zbrodnie mają tę dobrą stronę, że elity zauważą tragiczną sytuację ludzi żyjących w dzielnicach

biedy. Każde więc okrucieństwo można przy odrobinie talentu i zaangażowania odczytać tak, by wydłubać z niego jakąś domniemaną wartość, jakieś rzekomo cenne przesłanie – wszystko w myśl starej podłej i zakłamanej zasady, że nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło”.

„Nawet zacni geniusze mają w głowach zbrodnicze idee” – odpisywał Kilemann. „Wszak Leonardo da Vinci zaproponował obrzucanie wrogich okrętów sproszkowanymi trującymi chemikaliami, które podusiłyby załogi”.

„Pomysłów nie brakuje. A wciąż powstają nowe artykuły i książki, które mogą natchnąć szaleńców” – zwracał uwagę Kord. „Przekartkowałem jakąś francuską powieść, w której grupa lekarzy i chemików planuje zmasowany atak przy użyciu zarazków czerwonej, odry i jeszcze kilku paskudztw. Inny autor proponuje rozrzucenie balonem bakterii wąglika i doprowadzenie tym samym do upadku starego porządku świata. Nawet słynny Robert Louis Stevenson, ten od słodkiej Wyspy skarbów (ale i od przemian doktora Jekylla w mister Hyde'a) wspominał w jakimś opowiadaniu o pomysle rewolucjonistów, by skazić kanalizację w brytyjskich miastach bakteriami tyfusu. Także popularny autor Wehikułu czasu i Wojny światów Herbert George Wells sugeruje, że anarchiści mogliby zniszczyć Londyn i rzucić na kolana Imperium Brytyjskie dzięki zjadliwej odmianie cholery. Inna sprawa, że we wspomnianej Wojnie światów to nasze ziemskie zarazki są ocaleniem dla Ziemi przed inwazją Marsjan. Tyle że międzynarodowy terroryzm jest bardziej realnym zagrożeniem niż niszczące maszyny z Czerwonej Planety”.

CZĘŚĆ III:

POMÓR

„Nowy gwałt przeciw polskim ludziom zaleca pewien ksiądz ewangelicki: stawia on w berlińskiej gazecie »Tägliche Rundschau« żądanie, żeby żołnierzy nie władających zupełnie biegle językiem niemieckim nie puszczano z wojska po dwuletniej służbie, lecz żeby ich trzymano tak długo, aż tę biegłość nabędą, choćby mieli całe życie pozostać żołnierzami!”

„Do księcia Walii (następcy do tronu angielskiego) strzelił ktoś na dworcu brukselskim dwa razy z rewolweru, nie raniąc go jednak. Książę był w podróży z Anglii do środkowej Europy i przesiadł się właśnie w Brukseli (stolicy królestwa belgijskiego) do pociągu jadącego do Prus. Widać go było siedzącego w wagonie. Wtem skoczył szesnastoletni blacharczyk Sipido na deskę przed wagonem, pokierował rewolwer na księcia i strzelił dwa razy przez szybę okienną, chybił jednak. Obok księcia siedzieli jego małżonka i adiutant. W okamgnieniu przyleciał oficer policyjny i zaarrestował zbrodniarza. Przy rewizji cielesnej na policji znaleziono w jego kieszeniach dużo podburzających pism anarchistycznych. Niedoszły morderca oświadczył, że nie żałuje swego czynu”.

„Gazeta Ludowa”, Lyck, rok 1900

ROZDZIAŁ 1:

NOCNY ATAK

Kontakty Kilemanna z Kamilem Kordem były na tyle częste, że Polak zaczął pisać coraz więcej o docieklwym niemieckim doktorze w swoim pamiętniku. Robił z niego bohatera nowych czasów: już nie zwykłego lekarza sądowego, lecz nieomal detektywa. „Spośród wszystkich niezwykłych zagadek kryminalnych, jakie udało się rozwiązać mojemu przyjacielowi, doktorowi Kilemannowi, sprawa z 1900 roku, zapoczątkowana napaścią na Wilhelma Mayera, z pewnością należała do najistotniejszych. Mogę sądzić, że pod pewnym względem była dla niego bardziej istotna niż współpraca z brytyjską policją podczas nieudanego polowania na Kubę Rozpruwacza. Jakiś odprysk tej nierozwiązanej londyńskiej sprawy doprowadził podobno do rozbicia zupełnie innego rozgałęzionego spisku, znacznie ponoć poważniejszego niż seryjne ataki mordercy w dzielnicy biedy. Tego niestety pewien nie jestem, szczegóły nigdy nie ujrzały światła dziennego. Zdaje się, że z przyczyn politycznych. »Wzłaszcza tobie nie mogę ich ujawnić, panie Kamilu, uwierz mi« – przypominam sobie słowa doktora” – zapisał reporter Kamil Kord w pamiętniku. Bawiło go naśladowanie stylu, w jakim doktor Watson pisał o Sherlocku Holmesie. Ale sprawa z Lyck zabawna wcale nie była. „Wróćmy więc z wielkiego Londynu z roku 1888 do małego Lyck w roku 1900. Wielkość tym razem nie miała kluczowego znaczenia. Ba, sprawa Mayera jest tak osobliwa, że zastanawiam się, czy jej szczegóły w ogóle dotrą do opinii publicznej w kraju pod panowaniem cesarza Wilhelma II Hohenzollerna. Dlaczego? Bo premier von Bülow uzna, że zbyt zagrażają mocarstwowym snom Niemiec. Kanclerz, tak jak kajzer, marzył o imperium. Jeszcze zanim został premierem, wyraził nadzieję, że w najbliższych latach dojdzie do wojny, która pozwoli wysiedlić wszystkich Polaków z terenów cesarstwa. Potem jego oczkiem w głowie były niemieckie kolonie. Mniejszości, rewolucjoniści, reformatorzy społeczni – to wszystko zagrażało jego wizji. Kajzer stwierdził w roku 1900, że von Bülow będzie jego Bismarckiem i oczyści niemiecki parlament z brudów. A sprawa Mayera była brudna” – pisał Kord. Tak paskudna, że szpeciła sielskie i piękne Prusy Wschodnie.

Wszystko zaczęło się w maju. W Paryżu trwały wtedy Drugie Letnie Igrzyska Olimpijskie. Brytyjczycy walczyli w Afryce z Burami. W Chinach trwało powstanie bokserów. Rosjanie zajęli Mandżurię i szykowali do działań na Pacyfiku właśnie zwodowany nowiutki krążownik Aurora. W Cesarstwie Niemieckim zaś narastała antyżydowska fobia: w Konitz lada dzień mogło dojść do prawdziwego pogromu, nie tylko do przepychanek na ulicach. Kilemann pobieżnie przejrzał gazety i przekazał je swojemu znajomemu Orłowskiemu.

– Poczytaj sobie, Edwardzie, jak świat schodzi na psy i zmierza ku katastrofie. To pomoże docenić ci fakt, że młodość mamy już za sobą i powoli będziemy zamykać za sobą drzwi – stwierdził, sącząc kawę.

– Jeszcze trochę, a każesz mi żałować, że Bazil nie rozplątał mi ła. Skończyłyby się wtedy wszelkie moje troski – odparł Orłowski z przekąsem, przejmując szeleszczącą stertę prasy. Bywał często u doktora po tym, jak został ranny w pojedynku. Nie, żeby wymagał pomocy lekarskiej, a już na pewno nie od specjalisty od medycyny sądowej. Grywali razem w szachy i planowali, gdzie będą łowić podczas kolejnego pobytu u Seydlów w Chelchen. Orłowski przebąkiwał też o swoich perypetiach sercowych, co Kilemann zbywał milczeniem. Doktor nie kierował się taktem, a raczej niechęcią do rozważań o relacjach damsko-męskich, które po swoich doświadczeniach z młodości uważał za z góry skazane na klęskę. Nie przerywał Edwardowi tylko dlatego, że ból serca starego artylerzysty łączył się z bólem w zranionym boku. Doktor uznał więc, że taka psychiczna dezynfekcja bardzo przyda się Orłowskiemu.

– Ech, biedna Brygida. Mogę sobie wyobrazić, co o niej się gada. Nigdy nie miała najlepszej opinii wśród tych świętoszkowatych kwok. A teraz, po tym nieszczęsnym pojedynku, pewnie jest obiektem drwin. – Orłowski odłożył gazety i trajkotał jak nakręcony, mimo że Kilemann pogrążony był w lekturze jakiegos periodyku lekarskiego, który otrzymał z poranną pocztą. – A prym w plotkowaniu wiedzie jej siostrunia Dorotka. Nawet te przyjaciółki Brygidy... Burmistrzowa Beata, to znaczy była burmistrzowa, kochanka architekta Mayera, to wyrachowana żmija. Gertruda Ueckerowa myśli tylko o sobie. I jest jeszcze ta młoda, co wygrała na loterii. Milcząca, tłusta pularda w habitcie...

Tę przydługą i nudną litanie, unoszącą się wśród dymu z fajki Kilemanna niczym wśród kościelnych kadzidel, przerwał pukanie do drzwi. Stuk, stuk, stuk, STUK! Stuk, stuk, stuk, STUK!

– Pozwól, że zgadnę, Edwardzie – wycedził Kilemann, nie odstawiając filiżanki z kawą i nie odrywając wzroku od periodyku. – To twój sąsiad. Ten poczcziwiec, który był strażnikiem w więzieniu, a potem został woźnym sądownym...

– Pan Gieś? – zdziwił się Orłowski, podczas gdy w tle powtórzyły się stuk, stuk, stuk, STUK! stuk, stuk, stuk, STUK! – Skąd ten pomysł? Dlaczego nie listonosz?

– Listonosz już mnie dzisiaj odwiedzał – odparł Kilemann, wstając z fotela i odstawiając filiżankę. – Poza tym stuka inaczej. Natomiast ów pan Gieś jest jedyną znaną mi osobą, która pukając, wybija rytm pierwszych taktów piątej symfonii Beethovena.

– A niby kiedy to spostrzegłeś? – zdziwił się Orłowski, lecz nie uzyskał odpowiedzi. Doktor otwierał już drzwi. Pojawiła się w niej zziązana, okrągława sylwetka z ogorzałą twarzą. Kilemann spojrział triumfalnie na Edwarda. Potem jednak mina mężczyzn zrzedła. Gieś przybył do doktora z sądu służbowo i przynosił tragiczne informacje. W nocy doszło do napadu na dom inżyniera Mayera. Efekt: dwa trupy!

– W sądzie potrzebują pana konsultacji medycznej. Proszą o rychłe przybycie – stwierdził woźny z poważną miną.

– Oczywiście, jestem do dyspozycji. – Kilemann zaczął rozglądać się za płaszczem.

– Panie sąsiedzie, ale powiedz pan coś więcej. Przecież nie jesteś tylko kurierem. – Orłowski doskoczył do Giesia, rozemocjonowany i spragniony informacji.

– A co ja mogę powiedzieć? – Gieś przewrócił oczami. – Wszyscy wiemy, że pan Mayer przyjechał tu z wielkiego miasta. Budował dworce, tunele, kamienice. Z miejsca stał się znany. Ma pieniądze...

– I pewnie to podziałało na jakichś opryszków jak miód na niedźwiedzia? – dokończył Orłowski.

– Tak. Tylko... – Gieś zawiesił głos. – Nie mieliśmy tutaj wcześniej takich bezczelnych i krwawych napadów. Były dziwaczne sprawy, jak sięgam pamięcią. Jakies trupy pod lodem i tak dalej. Lecz podobnie zuchwały atak to coś nowego.

– Bo idą nowe czasy – skwitował Kilemann, już gotowy do drogi. – Chodźmy, resztę opowiecie w drodze.

Okazało się, że wedle informacji posiadanych przez woźnego (a zasłyszanych i podsłuchanych rzecz jasna w sądzie) minionej nocy Mayer wracał do domu późno z tradycyjnego spotkania ze znajomymi. Prawdopodobnie z dzentelmenami z Klubu Dobrego Porządku. Zastał w domu włamywacza. Było to koło godziny dwudziestej trzeciej. Narobił hałasu, a potem chwycił za laskę i chciał obić drania, który wspiął się po gzymsie i wlał oknem do jego gabinetu. Ten jednak wyjął nóż i cisnął nim w inżyniera.

– Gdyby nie refleks Mayera, trafiłby go w serce. A tak ugodził tylko boleśnie w ramię, niczym pana w bok szabla Bazyla, Edwardzie – zaznaczył Gieś z przekąsem.

Następnie włamywacz z wypchanymi łupem kieszeniami salwował się ucieczką, tą samą drogą, jaką przybył. Nim nadbiegła służąca, zeskoczył z gzymsu, przelazł przez płot i pomknął ulicą. Na szczęście wypatrzył go żandarm. Zaczął krzyczeć za zbiegiem. Groził, że będzie strzelać. Kiedy zbliżył się do łotra, ten znów wyjął nóż. Obaj jednocześnie użyli broni. Efekt: dwa przebite serca – nożem i kulą. Dwa trupy.

– Dość przerażająca historia, panie Gieś. Faktycznie nic podobnego nie miało u nas miejsca. Gdzieżby tam! O takich rzeczach można przeczytać tylko w relacjach z wielkich miast – przyznał Orłowski.

– Prawda? – przytaknął woźny. – Czasem boję się, że to, co napisane i przeczytane, jakby to powiedzieć, materializuje się. Słowo staje się ciałem. Im więcej czytamy wieści z dalekiego i bardziej ponurego świata, tym więcej ciemnych chmur zapędzamy nad nasz sielski zakątek. Dlatego o wojnach nawet nie czytam. Nie wyobrażam sobie, co by się stało tutaj, gdyby... – Gieś nie dokończył, machnął tylko znacząco ręką.

– Nawet w wielkich miastach rzadko zdarza się, żeby napadu dokonywał nożownik akrobata – mruknął Kilemann. – Dla mnie to nowość.

– A zobaczymy, do czego jeszcze dogrzebią się reporterzy – dodał Orłowski.

W odpowiedzi Gieś chrząknął nerwowo. Dwaj pozostali mężczyźni spojrzeli na niego pytająco.

– Jestem tylko malutkim trybikiem w sądowej machinie, ale, o ile mi wiadomo, sprawa załatwiana jest bardzo dyskretnie – stwierdził Gieś pod ciężarem tego spojrzenia.

– To znaczy? – Kilemann zmrużył oczy.

– Robi się wszystko, by do prasy nie dotarła. Pan Mayer nie ma powodu, by o niej trąbić naokoło. Zabit żandarm był kawalerem, bez rodziny. Nikt nie będzie rozpytywał. Ja też miałem przekazać tylko kilka słów wyłącznie panu Kilemannowi. – Woźny i kurier w jednej osobie skrzywił się.

– No to żeś już słowo złamał – zwrócił mu uwagę Orłowski.

– A co ja, dzikus jestem? Sąsiadowi słowa nie powiem?

– To było dużo więcej niż słowo.

– Oj, bo się obrażę, panie Edwardzie. I następnym razem będzie trzeba szukać innego sekundanta!

Zachichotali jak dzieci. Śmiech przerwał Kilemann, ciągle skupiony.

– A co ze zwłokami? – spytał.

– Trafiły w ręce doktora Rahma. – Gieś momentalnie spoważniał.

– No tak, mój ulubieniec – mruknął Kilemann. Nie miał przyjemności pracować z człowiekiem, którego po wydarzeniach z Frankensteinem uważał za kawał skurwysyna. Cóż z tego, skoro nic nie można było udowodnić temu szanowanemu obywatelowi. Kilemann miał też przeczucie, że z Rahmem sprawa ataku na Mayera nie zakończy się ani spokojnie, ani dyskretnie. Zaczął nawet się zastanawiać, czy cały atak nie został sfingowany, skoro Rahm i jego koledzy rozmyślali już, wedle relacji Frankenstein, o sfabrykowaniu jakiegoś przestępstwa i zrzuceniu winy na Żydów. Tyle że tutaj nic do tego scenariusza nie pasowało. Napad rabunkowy, nożownik, no i dwa trupy – prawdziwe, nie zmyślane.

ROZDZIAŁ 2:

TRUP

Gdy znaleźli się pod gabinetem Rahma, Kilemann szybko pożegnał się z Orłowskim i Giesiem. Myślał już tylko o sprawie zbrodni.

Rahma zastał obok młodego oficera śledczego. Był to Bazil junior, syn sławetnego Huzara Śmierci, tysego fechmistrza. W odróżnieniu od ojca karierę chciał zrobić w organach ścigania, a nie w kawalerii. Wyglądało jednak na to, że nie ma zamiaru niczym olśnić przełożonych.

– Bandycki napad. Po prostu bandycki napad. – Niemal ziewnął, informując Kilemanna o faktach. Wieści pokrywały się z tym, co doktor usłyszał od Giesia.

– Nie zgadzam się. – Rahm pokręcił głową. – Choćby dlatego. – Wskazał na ciało leżące między nim a Bazilem juniorem. Były to zwłoki kobiety.

Kilemanna lekko zatkało.

– Czy ustalono już personalia tej damy? – spytał po chwili, lustrując wzrokiem trupa.

– Niestety, nie jest nam znana.

– A jakimś... hmmm... informatorom z tutejszego półświatka? – drażył Kilemann.

– Chyba krótko pan tu mieszka, jeśli sądzi, że mamy tu jakiś półświatek. – Bazil junior spojrzął na niego z pobłażaniem.

– No, niechże pan będzie poważny – zgromił go Kilemann. – W każdym większym mieście jest jakiś półświatek. Jeśli jest garnizon, to są prostytutki i nielegalny handel alkoholem. Jak blisko jest granica, są przemytnicy. Jak jest dworzec, to pojawiają się też szajki kolejowych rabusiów. Chyba pana nie powinienem tego uczyć?

Rahm pokiwał głową.

– No właśnie – podchwycił Bazil junior, zupełnie nie przejmując się tym, że jemu, oficerowi śledczemu, uwagę zwracają doktorzy. – Zabita to na oko dwudziestoletnia przyjezdna, pewnie ze wsi, która postanowiła zrobić karierę w większym mieście. To, że jest kobietą, niewiele zmienia. Poznałem kilka świetnych złodziejek – dodał policjant.

– O, nie wydaje mi się, żeby to była wieśniaczka – zaprzeczył Rahm. – Widzieliście panowie jej dłoń? Ona nie wygląda na kobietę ze wsi.

– Protestuję! Wręcz przeciwnie. Pani ta nie ma zbyt smukłych kształtów, jest wręcz mocno zbudowana, co potwierdza tezę, że ciężko pracowała fizycznie – upierał się Bazil junior.

Rahma poparł jednak zaszepion Kilemann:

– Jej twarz, ręce, palce i paznokcie są niezwykle zadbane, noszą ślady regularnej pielęgnacji. Tak nie wygląda złodziejka, chyba że z wyższych sfer. Jednak budowa jej ciała jest atletyczna. To bardzo silna kobieta, nawet lekko zmaskulinizowana, gibka. Wiemy, że umiała się wspinać i skakać z dużych wysokości. To bez wątpienia była akrobatka, cyrkowa gwiazdka.

Rahm i Bazil junior spojrzeli na Kilemanna zdumieni. Potem oficer sięgnął po mały notatnik i zaczął w nim coś gorączkowo zapisywać.

– Pamiętajcie ponadto – kontynuował doktor – że prawdopodobnie miała wprawę w rzucaniu nożem. Czy czasem nie miała przy sobie kilku ostrzy, panie Bazilu? – zapytał Kilemann, a gdy zzieleniał

inspektor potwierdził, dodał jeszcze: – Jeśli chcemy ją zidentyfikować, musimy wypytywać o młodą nożowniczkę z cyrku, która porzuciła dawną profesję i z jakiegoś powodu trafiła w okolice Lyck.

– A co z jej pochodzeniem? – zainteresował się Rahm. – Widzę tu wydatny nos, czarne lekko kręcone włosy, brązowe oczy. To nie jest nordycki typ urody, lecz ewidentnie semicki, nie uważa pan? – zwrócił się do starszego doktora.

– Możliwe. Na Szwedkę nie wygląda. Ale równie dobrze zmarła może mieć korzenie węgierskie, bałkańskie albo pochodzić z południa Europy. Z tym semickim typem urody bym więc nie przesądzał sprawy. Nie wykluczyłbym nawet, że miała Cyganów wśród przodków... – odparł Kilemann.

– Cyganów? Mój przyjaciel Uecker byłby wstrząśnięty – podchwycił Rahm. – Czy oni nie parają się cyrkowymi sztuczkami? To by się nawet zgadzało!

– Teraz możemy tylko podejrzewać. Nie ustalimy w kostnicy, czy przybyła do cesarstwa z innego kraju czy jest tutejsza. Może być rodowitą Niemką lub Polką o nieco egzotycznych korzeniach.

– Tak to już jest w czasach mieszania się ras – westchnął Rahm, ale nie rozwinął tematu.

– Niewiele nam to daje, ale zanotuję. – Bazil junior dopisał kilka słów w notesiku. – Czy coś jeszcze możemy powiedzieć o jej życiu, doktorze Rahm?

– Nie znalazłem żadnych widocznych blizn, ran pooperacyjnych czy znamion. Denatka nigdy też nie rodziła, choć, jak stwierdziłem, nie jest już intacta – odparł beznamiętnym tonem.

Bazil junior wysłuchał tej ostatniej uwagi z lekkim zakłopotaniem. Kilemann spojrzał na niego z zaskoczeniem: czy oficer śledczy nie powinien mieć większego doświadczenia? Chyba ojciec musiał użyć wielu znajomości, żeby synalek szybko awansował. Nie było jednak czasu na refleksje nad doborem ludzi i awansami w organach ścigania.

– Spodziewałem się tego, że denatka nie jest świętą Teklą – chrząknął znacząco Kilemann. – Im więcej wiemy, tym lepiej.

– Zbyt wiele to jednak nie wiemy. – Bazil junior poskrobał się po wysokim czole, otoczonym zakolami włosów.

– Czy aby na pewno? – Kilemann pomyślał, że może podzieli się z niedoświadczonym policjantem swoją opinią. – Gdy zsumujemy wszystkie nasze ustalenia, okoliczności potwierdzą następujący przebieg wydarzeń: ładna, choć może prowincjonalna cyrkowa gwiazdeczka znajduje bogatego wielbiciela. Ten zabiera ją do siebie i utrzymuje. Ona porzuca przeszłość, pięknieje, rozkwita jak kwiat, poznaje smak lepszego życia, aż nagle staje się coś dziwnego. Z jakiegoś ważnego powodu musi wrócić do dawnego fachu. Potem dochodzi do tragedii. – Kilemann pstryknął palcami.

Oficer śledczy łypnął na niego, pomruczał coś nad notesikiem i odparł:

– Myślę, że pan się zagalopował. Dziewczyna po prostu wykonywała rozkazy bandy. Po co dwudziestolatce jakieś plany konstrukcyjne starego architekta?

– Może i ma pan rację. Jestem tylko lekarzem, nie chcę wchodzić w pańskie kompetencje. Może jako akrobatka została przez bandę wynajęta – odparł Kilemann. – Niech no pan tylko przypomni, jeśli to nie tajemnica, co zabrała z gabinetu Mayera.

– Papiery ze schematami jego konstrukcji z Berlina i jakieś dwieście marek w gotówce – odrzekł Bazil junior. – Taka sumka to zawsze coś.

– Raczy pan żartować – zachnął się Kilemann. – Na Sybbie jest kilka wesołych domów, z których wyniosłaby dużo więcej po sobotnio-niedzielnym breweriaczku. Co zatem szczególnego zawierały wykradzione papiery, bo przecież to one stanowiły główny łup?

– Z sejfu, bardzo kiepskiego zresztą, zabrano dokładnie wszystko. Oprócz pieniędzy była to dokumentacja planowanych i zrealizowanych projektów Mayera, trochę osobistej korespondencji z przebywającymi za granicą dziećmi – jak wam wiadomo, od dłuższego czasu żyje z żoną w separacji. Nie

mniej wszystko się odnalazło przy trupie. Wspólnicy dziewczyny albo byli za daleko, albo przestraszyli się żandarma. Na pewno są już teraz daleko, ale sprawdzimy wszelkie możliwe tropy.

– Wierzę. A pozwoli pan, że jeszcze raz przyjrzę się zwłokom, ubraniu dziewczyny i jej sztyletom? – poprosił Kilemann.

– Już je przeglądaliśmy. Noże były trzy, dwa są teraz we krwi. Ani na nich, ani na ubraniach nie ma nic charakterystycznego, żadnego śladu. – Bazil junior wzruszył ramionami.

– Absolutnie nic? – zdziwił się starszy doktor.

– Kompletnie. Najbardziej plugawe i niewyróżniające się lachmany. Buty dzieciennego rozmiaru. Puste kieszenie bez śladu tytoniu czy resztek jedzenia – odparł oficer.

– Coraz lepiej, coraz lepiej – zamruczał Kilemann. – Właśnie dlatego warto byłoby przyjrzeć się po kolei temu wszystkiemu.

Po czym przy milczącej zgodzie policjanta zaczął badać przez lupę dłonie, broń i strój denatki, którą roboczo ochrzczili mianem Akrobatki. Trwało to pół godziny, gdy funkcjonariusz w końcu zapytał zniecierpliwiony:

– I jak, wypatrzył pan tam coś? Czyta pan z dłoni jak chiromanta?

– Proszę? – Doktor oderwał wzrok od lupy. – Aha. No wie pan, to wymaga czasu. Muszę to przeanalizować i przemyśleć.

– To czekam na wszelkie pańskie uwagi – rzucił oficer i zapewniając, że policja nie popuści bandytom, oddalił się pospiesznie. Przez okno widać było, że gdy wyszedł z gabinetu, jego głowę otoczyły siwy dym. Najwyraźniej nie mógł już wytrzymać bez papierosa.

– Wie pan, że to ze mną i z Ueckerem widział się Mayer tamtego feralnego wieczora? Gdzieś do pół do jedenastej w nocy – zagaił Rahm, gdy Kilemann oglądał sztylety Akrobatki.

– O, doprawdy? – bąknął Kilemann. – Powiedział pan o tym policji?

– Oczywiście. Pewnie Wilhelm także – odparł Rahm. – Nie uważa pan, że w tej sytuacji to nie ja powinienem przeprowadzać sekcję i zajmować się zwłokami tej kobiety?

– Dlaczego? – zdziwił się starszy doktor.

– No nie wiem... Na przykład mógłbym nie być obiektywny.

– Czyżby więc dlatego mnie wezwano? – zapytał złośliwie Kilemann. – Oczywiście żartuję. Myślę, że lycka policja nawet o tym nie pomyślała.

– Policja to najchętniej zamknęłaby tę sprawę – mruknął Rahm. – A mnie wydaje się, że pan oficer albo nie był w stanie dostrzec czegoś ważnego, albo nie chciał.

– Na przykład, że jeśli sponsorzy Akrobatki nie dostali, czego chcieli, to mogą wrócić? I Mayer znów znajdzie się w niebezpieczeństwie? – Kilemann spojrzał uważnie na rozmówcę. – Skoro nie policja, to ktoś życzliwy powinien mu to uświadomić.

– Prawda – przytaknął Rahm. – Jednak Wilhelm otarł się o śmierć. Dam mu porządnie się wyspać i ochłonać – powiedział tonem człowieka, który wie, że czasem warto zamarudzić w łóżku. – Tym niemniej zajrzę do niego jeszcze dzisiaj, po pracy.

– Pewnie dobrze by było. Aha, ma pan jakieś jej zdjęcie? – Kilemann wskazał na Akrobatkę.

ROZDZIAŁ 3:

ŁAMIGŁÓWKA

Czekający na zewnątrz Orłowski dla zabicia czasu przechadzał się po parku. Gdy zauważył Kilemanna opuszczającego gabinet Rahma, doktor wyglądał mu na niezwykle podekscytowanego i zadowolonego. Ku rozczarowaniu starego artylerzysty wszystkie przemyślenia zachowywał jednak dla siebie. Zamiast o sprawie, mówił o obiedzie. Orłowski nie zwykł jadać tak wcześnie. Wrócił więc do siebie jak niepyszny, pozostawiając Kilemanna samego z jego ustaleniami i przypuszczeniami. Doktor porządkował je w myślach po obiedzie, przy filiżance kawy. Po raz pierwszy od dłuższego czasu nie poświęcił ani chwili na poobiednią pracę przy Pruskim morze. Zamiast przeszłości i przyszłości, pochłonęła go teraźniejszość. Do tego stopnia, że postanowił odwiedzić Mayera. Po drodze zaszedł jeszcze do Orłowskiego, jakby chciał go przeprosić za oschle potraktowanie wcześniej. Zabrał go ze sobą na przechadzkę, ale znów się rozstali, gdy około godziny siedemnastej Kilemann znalazł się przed dwupiętrową willą Mayera. Wyglądała nader malowniczo, wciśnięta pomiędzy stare drzewa na pagórku nad Lycker See, w słońcu, które zeszło już poniżej wiosennych chmur i rozświetlało wszystko ciepłym blaskiem. Kilemanna przyjął w drzwiach służący o zwichrowanej, nastroszonej czuprynie i bródce, przez które wyglądał jak stary kozioł. Był miły i wygadany. Okazało się, że Mayer ma już jakiegoś gościa. Kamerdyner pozostawił więc Kilemanna na chwilę samego i sprawdził, czy gospodarz znajdzie dla niego czas. Okazało się, że tak, o ile doktor poczeka jeszcze jakiś kwadrans. Kilemann skinął głową. Miał czas, mógł poczekać. Służący wprowadził go schodami na piętro willi i pozostawił w dość przestronnym, skromnie udekorowanym holu, którego centralnym punktem był okrągły dębowy stół. Leżała na nim dziwaczna mozaika. Nie, Kilemann się pomylił. To nie była mozaika, lecz układanka. Złożona z czterestu części o dziwacznych, oryginalnych kształtach, ułożonych w kwadrat. Była zbyt duża i dziwaczna na dziecinną zabawkę. Zresztą jacy milusińscy mieliby bawić się w domu Mayera, słomianego wdowca? Ponadto elementy układanki zdobyły rysunki absolutnie niennadające się dla dzieci. Stylizowane na antyczne, niezrozumiałe i pokazujące bardzo niejednoznaczne sytuacje. Początkowo Kilemann zupełnie nie wiedział, z czym można byłoby te sceny powiązać. Kiedy w końcu jakaś furtka otworzyła się w jego głowie, aż cicho gwizdnął z zachwytu. To było prawdziwe dzieło sztuki. Żyłasta ręka Kilemanna przesunęła się po kanciastych fragmentach tworzącej kwadrat układanki. Pomyślał, że chyba nic się nie stanie, nic nie zepsuje, jeśli przyjrzy im się bliżej? Zasepiony sięgnął po pierwszy z brzegu element układanki – duży, romboidalny. Wtedy gwizdnął cicho po raz drugi. Okazało się, że każdy fragment pomalowany jest z obu stron. Po jednej w ozdobnych rysunkach dominowały złoto i czerń, po drugiej czerwień i błękit. Te obrazki aż ociekały zdobieniami, drobiazgami. Wręcz męczyły pretensjonalnym bogactwem. Lecz opowiadały również jakąś historię.

Na wierzchu trójkąta połyskiwała sylwetka starego filozofa w złotej szacie, z papierusem i miarką w dłoni, uważnie wpatrującego się w swój cień. Zaś na drugiej stronie elementu widniał inny starzec – bez brody i tęższy od tyczkowego filozofa z pierwszej strony – oraz długowłosa młodzieniec. Obie te postacie rozmyślały, stojąc gdzieś pomiędzy rozbuchanymi niebieskimi falami ze skaczącym delfinem, intensywnie zielonym polem, po którym stąpał dumnie byk, i lazurem nieba rozrywanych promieniami słońca. Kilemann odłożył ten kolorowy kalejdoskop i sięgnął po drugi kawałek układanki. Obrazki były nie tylko bardziej skomplikowane. Wydawało się, że opowiadają jakieś konkretne historie. Mężczyzna w złotej szacie jedną ręką sypał ziarna piasku, drugą zapisywał coś palcem na ciele. W tle, za jego plecami, przechadzało się stado bydła, nad którym płynął w powietrzu rydwan z bogiem w słonecznej ko-

ronie. Z kolei czerwono-niebieska strona tego kawałka układanki przedstawiała starca trzymającego morską muszlę. Obok stała nienaturalnie duża mrówka, do której odnóża przywiązano nić, przeciągniętą przez wnętrza muszli i kończącą się w dłoni mężczyzny. Kraniec muszli, z którego wychodziła nitka, i owada pomalowano na czerwono. Kolorowy ślad ciągnął się też za zwierzątkiem, jakby przeszło przez konchę śladem symbolizowanego przez czerwień smakolyku. Starzec był wyraźnie zadowolony, niczym po jakiejś wygranej rywalizacji. Jakby sprytnie przewłókł nić przez muszlę – wpuścił do jej wnętrza mrówkę z przywiązaniem do odnóża cienkim włosiem z jednej strony, a potem skłonił do wyjścia na zewnątrz z drugiej, kusząc jakimś słodkim przysmakiem. Droga była kręta i skomplikowana, ale obietnica wielkiej i słodkiej nagrody stanowiła pokusę nie do odparcia. W trzecim z kolei elemencie wszystko wydawało się królewskie. W części czarno-złotej stary mężczyzna wrzucał bogato zdobiony, istic królewski złoty wieniec prosto do wody. Po stronie niebiesko-czerwonej inny starzec przypatrywał się, jak kobieta w przepysznym stroju, godnym królowej, wyciąga rękę do imponującego białego byka. W jej wyrazie twarzy było coś niepokojącego. Na czwartym elemencie podekscytowany mężczyzna, znany już z poprzednich kawałków układanki, wyskakiwał z kąpieli. Jego złota skóra kontrastowała z czernią wanny, zdobioną delikatnymi jasnymi ornamentami. Teraz Kilemann nabrał już pewności: to Archimedes z Syrakuz. Lecz kim w takim razie był mędrzec na rewersie układanki? Ów starzec, jakby zawieszony nad sufitem łazienki, lał coś gęstego, smolistego i piekielnie gorącego na przerażonego mężczyznę o czerwonej skórze, starającego się wydobyć z wody. Kto to może być?

Kilemann sięgnął po kolejny, piąty kawałek układanki. Wygięty w dynamicznej pozie Archimedes wskazywał na potężny czarny kształt katapulty. Nad nią unosiły się wielkie gazy, a u jej podnóża leżały trupy w pogiętych pancerzach. Zapewne Rzymianie. Z drugiej zaś strony elementu to nie pocisk leciał w powietrzu, a nagi chłopiec. Jakby spadał ze skarpy, zrzucony z niej. Zaś starzec, który najwyraźniej zrzucił chłopca, trzymał w ręku piłę, jakby odebrał lub ukradł ją zabitemu. „Kto to może być? I jeszcze te byki wcześniej?” Kilemann poskrobał się po głowie. Ciężkie zadanie, zwłaszcza że odkrywał płytki w losowej kolejności i musiał domyślać się, jak łączyć w całość historie, które relacjonowały. Szybko sięgnął po następny kawałek układanki. Był malutki i nader skromny. Po jednej stronie znalazł się tam Archimedes z wielką śrubą, swoim wynalazkiem. Po drugiej stary człowiek trzymał w rękach świder. Twarze po obu stronach promieniały zadowoleniem. Duma odkrywców. Na siódmym fragmencie Archimedes stał na szczycie wielkiej czarnej wieży, obracając imponujących rozmiarów zwierciadło. W tle odpływały spod wieży czarne, żałobne okręty. W żałobie był też tajemniczy mędrzec po drugiej stronie układanki. Otoczony błękitem fal trzymał w dłoniach czerwone, płonące skrzydła.

Na kolejnym kawałku układanki Archimedes stał obok złotego słońca, wokół którego wirowały czarne planety, połączone obręczami zbiegającymi się w rękach filozofa. Całość tworzyła niezwykle i piękny, harmonijny wzór. Na rewersie bohater stał pośrodku tajemniczego ornamentu, który po bliższych oględzinach okazał się labiryntem. Wtedy Kilemann go rozpoznał: te płonące skrzydła, labirynt, byk. Odpowiedź mogła być tylko jedna.

- O, widzę, że zainteresował się pan doktor moją łamigłówką – usłyszał za sobą głos Mayera.
- Piękna rzecz. – Doktor pokiwał głową. – Ktoś musiał bardzo cenić Archimedes a i Dedala.
- O, więc pan rozpoznał, kogo tutaj mamy? Winszuję, trzeba do tego pewnej wiedzy o historii i o mitologii – zaznaczył Mayer.
- Z rozpoznaniem Dedala było trudniej, ale labirynt i te byki mnie naprowadziły.
- No tak. Mało kto pamięta na przykład, że został wypędzony z Aten po zabójstwie młodego konkurencyjnego wynalazcy. O pracy na Krecie dla króla Minosa słyszało już więcej osób. Tak samo o ucieczce z Ikarem. Tragicznej i smutnej. Lecz o straszliwym skrytobójczym zamachu na Minosa, dokonany w łaźni, już się nie pamięta. Nawet z mitów ludzie pamiętają tylko to, co chcą – westchnął Mayer.

W tym momencie z jego gabinetu wyloniła się niepozorna, cicha persona. Mężczyzna na pierwszy rzut oka czterdziestoletni, a wyglądem urzędnika.

– Pójdę już, panie Wilhelmie – oznajmił nieśmiało.

– Niech pan jeszcze zostanie i zajmie się chwilkę naszą lamigłówką, Adalbercie. – Mayer zawiesił głos, jakby zastanawiał się, czy przedstawić sobie pana Adalberta i Kilemanna, ale skryty człowieczek skinął tylko głową i posłusznie zbliżył się do stołu z układanką Archimedesesa.

– Czym mogę służyć? – zwrócił się Mayer do doktora, wprowadzając go do pokoju.

– Przede wszystkim: jak się pan czuje po tym napadzie?

– Wie pan, nie jestem mazgajem, nie użalam się nad sobą. Życie toczy się dalej. Mogłem zginać, ale przeżyłem. Nie przeżył za to kto inny... – Mayer ściszył głos, a po chwili oddechu zapytał: – Więc przyszedł pan tylko zapytać, jak się czuję?

– Zauważył pan, że pamiętamy, co chcemy. Ja właśnie chciałem zapytać, co pamięta pan z wczorajszej nocy? – Kilemann zmienił temat rozmowy na właściwy. – Wezwano mnie dzisiaj, jako specjalistę, do sądu, do ciała tej napastniczki. Dość zagadkowa postać. Pomyślałem sobie, że rozmowa z panem pomogłaby mi zinterpretować kilka rzeczy związanych z jej osobą, które chciałem zawrzeć w raporcie.

– Czyżby nie wierzył pan w umiejętności naszej policji? – zachnął się Mayer.

– Bywam tu od lat, ale wciąż czuję się nowy – przyznał szczerze Kilemann. – Czy pan czuje się podobnie?

– Czasami.

– A widzi pan. Dlatego żywię pewne obawy co do kompetencji policji i chciałbym pomóc jej, najlepiej jak się da.

– Zatem niech pan pyta. – Mayer wskazał Kilemannowi jeden z foteli.

– Nie zauważył pan żadnych podejrzanych typków kręcących się ostatnio obok domu?

– Nie.

– A czy złodziej, który pana zaatakował... Pan wie, że to była kobieta? – Doktor sięgnął za pazuchę po zdjęcie wykonane w kostnicy.

– Już wtedy, podczas napadu, się zorientowałem – odparł architekt. – Zobaczyłem to, gdy zdarłem jej z głowy chustkę. Proszę nie pokazywać mi twarzy trupa. Mogę tylko dodać, że jej nie znałem.

– I nigdy wcześniej nie zetknął się pan z tą kobietą?

– Nie. Absolutnie. W życiu jej nie widziałem.

Następnie Mayer opowiedział Kilemannowi o przebiegu wydarzenia. Jego opowieść w niczym nie różniła się od relacji, jaką słyszał doktor z ust Giesia, a później Bazila juniora. Na koniec architekt poskarżył się, że tak łatwo poradzono sobie z jego sejfem. Kilemann przeszedł do gabinetu i przyjrzał się zniszczonemu meblowi.

– Ależ to żaden sejf! Po prostu zamykana na klucz szufladka w biblioteczce. Włamywaczka otworzyła ją zwykłym nożem. Powinien pan zdecydować się na metalowe pudło z zamkiem szyfrowym.

– Wie pan, nie trzymam tu żadnych wielkich kwot – od tego jest bank. Zresztą jeśli coś niepozornie wygląda, mniej kusí. Dlatego nigdy nie chciałem trzymać w gabinecie jakiejś pancernej skrzyni – tłumaczył architekt.

– Jeśli tak, to czy mogę zerknąć na te papiery? Może one naprowadzą policję na ślad bandy zлочyńców, która zapewne stała za napadem? – zapytał Kilemann. Wiedział, że przekracza swoje kompetencje, ale miał nieodparte wrażenie, że Bazil junior mógł przeoczyć coś ważnego.

Mayer wyraził zgodę i następny kwadrans Kilemann uważnie przeglądał schematy: hole kilku dworców kolejowych, korytarze wentylacyjne stacji i tuneli, dokładny plan tunelu wybudowanego pod rzeką w Berlinie oraz dość szczegółowy rozkład piwnic pewnego nowo wybudowanego banku w stolicy Niemiec. Ostatni rysunek był bardzo interesujący. W odróżnieniu od zapisanego maczkiem rękopisu, chyba autorstwa samego Mayera, o jakichś wynalazkach Archimedesesa.

– Zapewne policja powiedziała już panu, że przydałoby się te rzeczy bardziej zabezpieczyć – zauważył doktor. – Są to wprawdzie niepełne plany, ale dają pojęcie o całości. Zawierają sporo informacji szczegółowych, które w rękach doświadczonej przestępczej szajki mogą być bardzo przydatne.

– Cóż, panie Kilemann, moi zleceniodawcy pozwolili mi zachować te schematy na potrzeby przyszłych moich zamówień i wykładów, więc nie widzę specjalnego zagrożenia... – Mayer wyraźnie bagatelizował sprawę.

– Oficer śledczy powiedział mi, że wszystkie dokumenty odnaleziono. To prawda? – upewnił się Kilemann.

– Zgadza się – przytaknęła architekt. – Także pieniądze.

– A jakiś cenne drobiazgi? Biżuteria?

– Nie gromadzę takowych – zaprzeczył Mayer. – Wszystkie kosztowności mam na sobie. – Gospodarz pokazał obrączkę ślubną, którą nosił mimo separacji, i rodzinny sygnet.

Widząc, że Mayer ze stoickim spokojem podchodzi do sprawy, Kilemann podpytał go dokładnie o wydarzenia w wieczór napadu.

– Słyszałem, że tamtej nocy spędził pan dużo czasu ze znajomymi. Może ktoś podejrzany tam się pojawił albo wcześniej śledził pana i o pana wypytywał? – drążył ostrożnie Kilemann.

– Tego nie wiem. Bawiliśmy się w swoim stałym męskim gronie, w domu Rahma. Klub Dobrego Porządku: Rahm, Uecker i ja. Zna pan naszą działalność. Właśnie, może pan też chciałby do nas przystąpić? Tyle rzeczy dookoła trzeba zmienić. Ktoś taki jak pan, z wiedzą, horyzontami i znajomościami bardzo by się przydał – zapewnił Mayer.

– Och, jeśli chodzi o wiedzę, pozycję, horyzonty i tak zwane znajomości, to chyba pan ma szerokie kompetencje – odplacił grzecznością za grzeczność Kilemann. – Wracając jednak do tematu. Nikogo poza waszą trójką nie było na tym spotkaniu?

– Nie. Nawet służba miała wieczór wolny. A pani Rahm spotkała się z siostrą i koleżankami gdzie indziej – odparł architekt, gładząc dłonią i tak przylizane, szpakowate włosy. – Był tylko jeszcze z nami przez godzinę pan Malm.

– Pan Malm? A kto to? – zainteresował się doktor. – Nie znam.

– Nic dziwnego. Niedawno tu przyjechał. Adalbert Malm. Widział go pan przed chwilą. To skromny marszand i antykwareusz, dzięki któremu zdobyłem tę lamigłówkę Archimedes, *loculus Archimedi*. Kilka lat szukałem czegoś takiego i wreszcie mi się udało. – Mayer znów zaczął opowiadać o układance na dębowym stole.

– Aha – przerwał Kilemann. – Wydaje się bardzo dla pana ważna...

– Archimedes to był wielki mózg. Dla wielu jest postacią na poly mityczną, jak Dedal. A tymczasem to rzeczywiście geniusz. Nie zdajemy sobie nawet sprawy ze wszystkich jego osiągnięć. Słyszał pan kiedy o kombinatoryce? – zapytał architekt i nie czekając na odpowiedź, kontynuował: – To nauka przyszłości, a Archimedes to przewidział. Ta jego układanka nie jest zwykłą zabawką. Niejeden naukowiec rachował, śladem Archimedes, na ile sposobów można ją ułożyć. Sam mam w gabinecie mnóstwo takich obliczeń.

– To ma coś wspólnego z prawdopodobieństwem? Jak przy grze w karty?

– Nie. Popelnia pan podobny błąd jak pewna osoba z kręgu moich znajomych. Uważała, że obliczanie zasad prawdopodobieństwa przy grze w ruletkę i wyliczenie, na ile sposobów można ułożyć *loculus Archimedi*, jest właściwie tym samym.

– Niech zgadnę: pan to ustalił? – pstryknął palcami Kilemann.

– Jeszcze nie... Ale o co pan właściwie pytał? O moje spotkanie ze znajomymi? Właściwie powiedziałem już wszystko. – Mayer nabrał powietrza w płuca. – Żałuję, ale chyba nie potrafię powiedzieć nic, co by pomogło panu i policji. Rozumiem, że są kłopoty z identyfikacją tej złodziejki?

– Tak. Dokumentów nie miała. Policja nie wie, kto zacz. Jak na złodziejkę była zaskakująco zadbana...

– Zadbana? – powtórzył ostrożnie Mayer.

– Tak. Nie wyglądała na osobę z półświatka.

– Nie wie pan, że pewne damy z półświatka potrafią wyglądać niczym królowy. Tyle że to jedynie pozory. – Mayer uśmiechnął się kwaśno.

– Myśli pan, że to jedna z takich właśnie dam? – Kilemann uniósł brew.

– Nie mam pojęcia. Nawet o tym nie myślę. Wydaje mi się, że musiała być członkiem jakiejś złodziejskiej szajki, i tyle – kontynuował niespokojnym tonem Mayer. – Cieszę się tylko, że sprawa nie przedostała się do prasy. Już widzę te prowincjonalne gazety cieszące się z zagadkowej sprawy kryminalnej, szukające sensacji i drukujące na pierwszej stronie wielkie tytuły: „To była kobieta! Architekt odpowiada na pytania policji. Czyżby miał coś do ukrycia?”.

– Niepokoi się pan.

– Oczywiście. Zdaję sobie sprawę, że to nietypowe, by bandyckiego ataku dokonała kobieta. Spodziewam się więc, że jeśli dowiedzą się o tym dziennikarze, będą węszyć i szukać dziury w całym.

– Z mojej strony może pan być pewien pełnej dyskrecji – zapewnił Kilemann. – Naruszyłem zwyczajowe procedury, ale nie z cieższej ciekawości.

– Och, pewien jestem, że takie zachowania są panu obce. Nie jest pan jakimś żydowskim pisnikiem... – wyrwało się Mayerowi – ...albo rozplotkowaną starą panną. Proszę wybaczyć porównania. Nie chciałem, żeby zabrzmiało to niegrzecznie.

– Pójdę już. Myślę, że potrzebuje pan odpoczynku. Nawet jeśli wydaje się panu, że jest w dobrej formie, może przyjść jakaś słabość. Takie nagle, przytłaczające sytuacje, zagrożenie życia, widmo śmierci, wymagają odreagowania.

– Dziękuję za troskę. – Gospodarz uklonił się delikatnie. Nim jednak wyprowadził doktora z gabinetu, ten odwrócił się i zapytał:

– Proszę wybaczyć, ale chciałbym spytać o jeszcze jedno. Jak mi wiadomo, jest pan w małżeńskiej separacji, ale utrzymuje kontakty z dorosłymi dziećmi i wciąż zachowuje serdeczną pamięć o żonie, sądząc po obrączce na pańskim palcu. Wiem zarazem, że nie stroni pan od przyjaźni z kobietami, jest gościem salonu burmistrzowej Beaty...

– Tak? – Mayer zmarszczył czoło, a jego twarz zmieniła się: teraz wyrażała nie życzliwy spokój, lecz mieszaninę zaniepokojenia i zniecierpliwienia.

– Czy ktoś mógłby chcieć skompromitować pana? Na przykład informacją o romansie z dużo młodszą kobietą? – dopytywał Kilemann.

Gospodarz nagle zrobił się siny.

– Wierzę, że pozwala pan sobie na taką impertynencję w dobrej sprawie, więc odpowiem krótko: moje córki nigdy by mi tego nie wybaczyły. Proszę nie brnąć dalej. Sponuje pan, że coś łączyło mnie z tą złodziejką, cyrkową akrobatką z Bóg wie skąd?!

– A skąd pan wie, że była cyrkową akrobatką? – zdziwił się doktor.

– Och, w południe Rahm przysłał mi kurierem informację o pańskiej dzisiejszej wizycie i o podejrzaniach dotyczących włamywaczki. Dlaczego wypytuje mnie pan jak prokurator? – zirytował się Mayer. – O co właściwie panu chodzi?

– Po prostu zacząłem się zastanawiać, czy ta złodziejka, kobieta młoda i atrakcyjna, nie miała zostać panu w jakiś sposób... hm... podsunięta, narażona? Proszę sobie wyobrazić taki przebieg wydarzeń: włamuje się do pana domu, kradnie kilka rzeczy osobistych, a następnie prowokuje skandal, ogłaszając wszem i wobec, że coś was łączy. Jako dowód pokazuje skradzione dokumenty, rzekomo pozostawione

przez pana w jej... – Kilemann już miał powiedzieć „miłosnym gniazdku”, ale zawiesił głos, po czym do-kończył: – ...mieszkańcu.

– To absurd. – Mayer wzruszył ramionami. – Po pierwsze, dlaczego szajka wysłała ją samą na taką ryzykowną misję? Po drugie, dlaczego kradła stare plany?

– Może więc nie ma żadnej szajki i ta kobieta działała w pojedynkę? Zaś plany mogłaby przedstawić jako widomy dowód zażyłości was łączącej. Powiedzmy, że pan je u niej zostawił...

– Nie brzmi to zbyt racjonalnie. – Architekt pokręcił głową.

– Też tak uważam – przyznał Kilemann. – A to skłania mnie do ważnego wniosku. Ta kobieta nie działała sama. Zatrudniona została przez swoich mocodawców nie dla urody, lecz dla umiejętności. Coś ważnego było w tych planach, coś, co ich interesuje. A jeśli tak, to mogą znów pojawić się u pana. Powinien pan zatem uważać. Czy oprócz policjantów i kuriera od Rahma, ktoś zaglądał do pana gabinetu od wczorajszego wieczora?

Mayer poskrobał się po głowie.

– Chyba tylko ja i Adalbert – odparł po chwili.

– A ktoś ze służby? – dopytał doktor.

– Raczej nie. Nie. Po pierwsze, wiedzą, że nie lubię, kiedy mi się przeszkadza. Co najwyżej pukają w drzwiach zapowiadają gości. Po drugie, ostatnie kilkadziesiąt godzin było szczególnie: nie chcieli przeszkadzać w czynnościach śledczych – odparł gospodarz.

– Dziękuję. A pozwoli pan, że zadam jeszcze kilka pytań pana przyjacielowi, a potem wrócę i pokażę panu coś niezwykle ciekawego? – Kilemann złożył palce, jakby jakieś części łamigłówki ułożyły mu się w całość.

Mayer zerknął na zegarek z widocznym zniecierpliwieniem, ale przystał na tę propozycję. Doktor przemaszerował zaś do holu, gdzie Adalbert Malm bawił się niby-antyczną łamigłówką.

– Moje nazwisko Kilemann. Jestem doktorem medycyny, pomagam policji przy śledztwie – przedstawił się.

– Adalbert Malm. Marszand. – Gość Mayera wyciągnął dłoń. Jego ręka była szorstka i spracowana, jakby pokryta bliznami.

– Nie spotkałem pana nigdy w Lyck. Od dawna zna pan Mayera?

– Jakiś miesiąc. Ale głównie z listów.

– Wygląda na to, że łączy was niezwykle hobby. – Kilemann wskazał na układankę.

– Cóż, łączy nas zainteresowanie nauką i sztuką. – Malm wzniósł oczy ku górze. – Lubimy też rzeczy piękne same w sobie.

Na pytania Kilemanna, gdzie udał się po wieczornym spotkaniu z Mayerem, Rahmem i Ueckerem, Malm odparł, że do hotelu.

– Zapewne policja zapytała pana, czy ktoś może to poświadczyć – drążył doktor.

– Owszem. Mieszkam w jednym pokoju z panem Zackiem Wittem.

– To też antykwariusz, jak pan? – zapytał doktor.

– Nie, to przedsiębiorca z Ameryki. Ubija tu różne interesy – wtrącił się Mayer, jakby chciał w końcu pozbyć się Kilemanna.

– Wybieram się z nim do Königsbergu we wspólnych interesach. Chodzi o zakup paru cennych za- bytkowych bursztynowych drobiazgów dla znajomych Zacka w Ameryce – wyjaśnił Malm.

– A to imię Zack? To skrót od Izaak? – dopytał Kilemann.

– No wie pan?! – Skonsternowanemu Malmowi opadł na oczy kosmyk wypomadowanych włosów. – On jest z pochodzenia pół Niemcem, pół Rosjaninem, a nie... – Wydawało się, że antykwariusz szuka małego eleganckiego słowa.

– Zack to skrót od Zachariasz. Amerykanie uwielbiają takie skróty od imion – przerwał mu litościwie Mayer.

– Czyli pan też go poznał? – podchwycił doktor.

– Tak, ale nie wczoraj. Wcześniej, gdy odwiedzałem Adalberta w hotelu – odparł architekt. – Zaprosiłem nawet Wittego na wczorajszy wieczór.

– Ale nie przyszedł?

– Przyszedł...

– A mówił pan, Mayer, że było was tylko czworo.

– Proszę pozwolić mi skończyć. Zack pojawił się tylko na chwilę i po kwadransie musiał wyjść. Biedaczysko najadł się nieświeżej zupy z raków – westchnął Mayer. – Musiał wracać do hotelu.

– Przykra sprawa. Zdarza się – pokiwał głową Kilemann.

– Owszem – przytaknął architekt. – Czy to wszystko z pańskiej strony? Czy jeszcze jakoś możemy pomóc w dochodzeniu? Wspominał pan o jakiejś ciekawostce.

– Istotnie – odparł doktor i minąwszy zaskoczonego gospodarza, ponownie wmaszerował do jego gabinetu. – Chciałem zapytać, co ma pan do powiedzenia na temat tego?

I pochyliwszy się nad dywanem pod ścianą, dwa kroki od drzwi wejściowych, wyciągnął spod niego prawie niewidoczną błyskotkę. Rozwinęła się z malutkiego ogniwa i zabłyszczała w słońcu. To był złoty łańcuszek z malutkim puzderkiem w kształcie serca. Mayer wytrzeszczył oczy. Zagulgotał jak indor, nie umiejąc znaleźć właściwych słów na swoje zdziwienie.

– Co to takiego? – powiedział wreszcie, chwytając znalezisko.

Na otwieranym serduszku wygrawerowane były dwie litery W i M. Jedna na awersie, druga na rewersie. Kilemann ostrożnie otworzył puzderko. Kiedy z pstryknięciem ukazało się jego wnętrze, Mayer aż krzyknął z przejęcia.

– Och – wyszeptał tylko Malm.

Wewnątrz puzderka, na połówkach serca, znajdowały się dwie fotografie: Wilhelma Mayera, najwyraźniej owego M i W z wieczka, oraz... Akrobatki. Uśmiechniętej i kwitnącej.

ROZDZIAŁ 4:

BRZYTWA OCKHAMA

Orłowski cisnął niedopałek papierosa w mokry piach. To już piąty. Stary artylerzysta był zmęczony czekaniem na Kilemanna i nieco już zmarznięty od siąpiącego deszczu. Słońce zaszło. Brakowało tylko, żeby złapał przeziębienie albo co gorszego, mając wciąż niezaleczoną ranę po szabli Bazila. Orłowski zamierzał więc wracać już do domu, gdy z willi Mayera wypadł służący ze zwichrzoną czupryną. Rozglądał się za dorożką, lecz cudem było wypatrzyć jakąkolwiek o tej porze w tym zakątku miasta. Niczym rozbrykany kozioł puścił się więc pędem w stronę centrum Lyck. Była to scenka tak dziwaczna i zabawna, że wynagrodziła Orłowskiemu wszystkie niedogodności. Zastanawiał się, co też takiego wydarzyło się w willi Mayera. Czyżby ktoś zasłał? Chyba nie Kilemann? Nie, to pewnie raczej Mayer musiał gorzej się poczuć. Ciekawy dalszego przebiegu wydarzeń, Orłowski sięgnął do kieszeni po metalową piersiówkę wypełnioną miejscowym bimbrem, w który zaopatrywał się u swego sąsiada Giesia. „Wytrzymałem grad kul pod Sadową i pod Sedanem, to wytrzymam i deszcz w Lyck” – mruknął. Nie zamierzał wracać do domu, a za godzinę fatygować się do Kilemanna, by zapytać, co się działo. „W domu to się umiera” – powtarzał często. Jedyne, co byłoby go w stanie teraz odciągnąć od tajemniczych zdarzeń w domu Mayera, to nagłe pojawienie się nadobnej Brygidy. Od czasu pojedynku wysyłała mu dwuznaczne liściki, z których wynikało, że jego ofiarność się opłaci. Orłowski przełknął ślinę, a potem pociągnął kolejny łyceczek z piersiówki.

Zrobiło się już ciemno choć oko wykol, gdy nadjechał powóz. Tylko dzięki temu, że przed domem architekta wisiała lampa, Orłowski rozpoznał, kto z niego wysiadł razem ze służącym Mayera. To był oficer śledczy Bazil junior, a wraz z nim – Edward aż zaklął pod nosem – Bazil senior. Orłowski odruchowo zrobił krok wstecz, jakby obawiał się, że stary Huzar Śmierci go rozpozna i postanowi dokończyć pojedynek teraz i tutaj, wśród kwitnących drzew. Edward zupełnie nie miał na to ochoty, w tej chwili interesowała go tylko sprawa napadu na Mayera i ustalenia Kilemanna. Minęło jeszcze piętnaście minut, nim doktor wyszedł i ruszył słabo oświetloną ścieżką w kierunku swojej ulicy. Gdy na drodze wypatrzył nieznajomą sylwetkę, ścisnął mocniej laskę. Gdy postać zaczęła się zbliżać, Kilemann uniósł laskę na wypadek, gdyby miał jej użyć jak pałki.

- Spokojnie, to tylko ja. – Orłowski pomachał ręką.
- O mój Boże! – stęknął doktor. – Na śmierć zapomniałem, że tu na mnie czekasz, biedaku.
- Nie martw się, od deszczu jeszcze żaden artylerzysta nie zardzewiał.
- Ale od zimna zdechła cała armia Napoleona. – Kilemann poklepał go po plecach. – Idziemy do mnie. Musisz się rozgrzać.
- Już o siebie zadbałem. – Orłowski wyjął zza pazuchy piersiówkę i pokazał z dumą.
- Ech, ty stary czorcie. Prosisz się o choróbsko.
- Nie zajmuj się już moim zdrowiem, przyjacielu – burknął Edward. – Opowiedz lepiej, co ustaliłeś. I dlaczego musiał przyjechać Bazil, a w zasadzie dwóch Bazilów?
- Dlaczego? Ha! Najprostszą odpowiedź: bo akurat służący zastał ich obu i stary postanowił zabrać się razem z młodym. Odpowiedź bardziej skomplikowana: wygląda na to, że młody Bazil radzi się we wszystkim starego. Nawet w sprawach dochodzenia, choć to on jest oficerem śledczym, a stary tylko emerytowanym huzarem. Co za burdel!
- No wiesz... To, co robisz, chyba też przekracza twoje kompetencje...

– Ale mam rację – przerwał Kilemann. – Intuicja mnie nie zawiodła. Młody Bazil zawaliłby tę sprawę. A tymczasem odkryłem coś nowego, bardzo ciekawego.

– Co takiego?

– To już opowiem ci w domu. Daj mi lepiej łyka tej ambrozji, którą trzymasz w piersiówce.

– A co, Mayer cię nie poczęstował? – zadrwił Orłowski.

– Nie. Widać sądzi, że lekarze sądowi raczą się spirytusem.

– Niestety, moja krynica radości już wyschła. – Orłowski odwrócił otwartą piersiówkę do góry dnem, pokazując, że nie została w niej już ani kropla alkoholu.

– Opój! – warknął Kilemann, a stary artylerzysta zaniósł się śmiechem gromkim jak armatnia salwa.

Byli już pod mieszkaniem doktora. Szybko wspięli się po schodach, zrzucili zmoczone ubrania, służąca doktora naparzyła kawy, a on sam wygrzebał napoczętą butelkę koniaku. Potem opowiedział Orłowskiemu szczegółowo, co zaszło w domu Mayera. Nie mógł się tym nie podzielić! Po pierwsze, sprawa była skomplikowana, a co dwie głowy, to nie jedna. Edward swoimi pytaniami mógł go doprowadzić do jakichś ważnych konkluzji. Po drugie, liczył też na jego zdrowy rozsądek, choć od czasu pojedynku w imię „czci kobiecej” zaczął w ten rozsądek powątpiewać. Po trzecie, zaś Kilemann czuł, że będzie potrzebował pomocy Orłowskiego w terenie. Tymczasem podchmielony Edward w pięć minut ukuł gotową teorię, która jego zdaniem tłumaczyła wszystko.

– To było tak. Młoda dziewczyna została wypatrzona i zabrana z prowincjonalnego cyrku przez kochliwego Mayera, który następnie skrycie ją utrzymywał, powiedzmy, że w Berlinie, Posen albo Königsbergu. A że jest kochliwy, to wszyscy wiemy, bo inaczej nie wpadłby w sidła tej pajęczycy burmistrzowej Beaty. W końcu jednak uczucie Mayera do Akrobatki wygasło i bajka się skończyła. Krewka dziewczyna, pozbawiona utrzymania i pozostawiona sama sobie, postanowiła zemścić się na byłym kochanku. Odnalazła go w Lyck. A potem wykorzystując umiejętności, jakie nabyła w przeszłości w cyrku, wspięła się na gzyms jego domu i stłukłszy szybę w oknie, dostała się do gabinetu Mayera. Tam zaczęła się, aby zadać mu śmiertelny cios. Chcąc upozorować napad rabunkowy, zabrała, co się dało, z jego sejfiku. Miała jednak pecha: Mayer wykazał się refleksem i uniknął zabójczego ciosu, a ona została zginęła podczas ucieczki.

– Zatem nie ma bandy i próby napadu na bank, o którym bredził Bazil junior, zresztą przy wsparciu swego ojca? – Kilemann uśmiechnął się, pociągając łyk parującej kawy.

– Zastosowałem brzytwę Ockhama, doktorze. Wszystko wytłumaczyłem i bez współników Akrobatki – napuszył się Orłowski. – Dziwi mnie tylko, dlaczego Mayer kłamał.

– Och, jeśli tak było, to mógł chcieć uniknąć skandalu. Dzieci by mu tego nie wybaczyły. – Kilemann pstryknął palcami, jakby aprobeował tę wersję wydarzeń.

– No i dlatego będzie miał teraz kłopoty – uznał Orłowski. – Za składanie fałszywych zeznań trochę oberwie i od sądu, i od swoich dawnych znajomych z wielkemiejskiej societj! Nawet w Klubie Dobrego Porządku nie będą go chcieć. To chyba jego koniec.

„I dobrze” – pomyślał doktor. „To i tak zbyt mała kara za to, co planował z Rahmem i Ueckerem. I za to, co spotkało biednego Frankensteina w Lyck”. Właśnie, co też działo się z żydowskim dziennikarzem? Kilemann coraz bardziej martwił się, czy Dawid na pewno dotarł do Breslau. Spakował się w Lyck, wyruszył w drogę i odtąd nie dawał znaku życia. Tymczasem gazety nie tylko przekazywały kolejne alarmujące doniesienia z Konitz, częstokroć bałamutne, ale grały też na najniższych emocjach. Zaczęły publikować w częściach wykaz domniemanych mordów rytualnych popełnionych przez Żydów. Lista była długa. Zaczynało się od roku 1071. We francuskim Blois Żydzi mieli ukrzyżować i wrzucić do rzeki chrześcijańskie dziecko. Winni zostali za karę spaleni. Rok 1114, Norwich, Anglia. Żydzi torturowali i zamordowali dwunastoletniego chłopca, biorąc za wzór śmierć Chrystusa. Kolejne porwania i katusze, częstokroć w czas Wielkanocy, ponoć dokonały się w latach 1160 (Glocester), 1179 (Pontoise), 1181 (Paryż), 1182 (Pontoise i Saragossa). W trzynastym wieku do Anglii, Francji i Hiszpanii jako

miejsc żydowskich mordów rytualnych dołączają Niemcy. W 1267 roku w Pforzheim w Badenii Żydzi mieli udusić siedmioletnią dziewczynkę, wytoczyć z niej krew, a zwłoki wrzucić do rzeki. W 1283 roku w Moguncji wyrodna matka sprzedała żydowskim oprawcom własne dziecko. Dwa lata później Żydzi wysączyli z porwanego dziecka krew, aby użyć jej do przygotowania lekarstw. W kolejnym roku w Oberwesel przez trzy dni katowali chłopca, wrywając mu ciało po kawałku.

Schwytni oprawcy nie zawsze byli karani – niektórzy wykupywali się złotem! Mordercy złapani i osądzeni w 1401 roku w Szwajcarii zeznali, że Żydzi co siedem lat potrzebują chrześcijańskiej krwi, koniecznie z dziecka nie starszego niż trzynastoletnie. Część krwi zużywają od razu, część suszą do późniejszych obrzędów. Inaczej w 1445 roku w Kastylii, gdzie hiszpańscy Żydzi ugotowali i zjedli serce chrześcijańskiego dziecka. Jak więc ich nie przepędzać z kolejnych miast i krajów? Jak nie uznawać ofiar za świętych męczenników, jak małego Szymona z Trydentu, zamordowanego w roku 1475? Na liście zamieszczanej w gazetach pojawiają się kolejne miasta z Niemiec, Włoch i Hiszpanii, a od szesnastego wieku – także z Polski i Litwy. W dziewiętnastym stuleciu w spisie pojawiają się Petersburg, Damaszek, Korfu, Galata, Aleksandria. Legenda o żydowskich mordach rytualnych rozlała się po świecie jak rzeka. A wraz z nią zachęta, by pozbywać się „morderców Jezusa” i „morderców niewinnych dzieci”. Ta fala nie słabła, lecz narastała. Średniowieczny zabobon nie zniknął, lecz rósł, pęczniał i kielkował. Wyłaził na powierzchnię jak piekielny kwiat. Odurzał jak opium.

„Dawid, gdzie jesteś?” – martwił się Kilemann. „Dojdzie do tego, że będę musiał sięgnąć po twoją ostatnią wolę i ujawnić spisek panów z MaUeR-a?” O tym jednak Orłowskiemu nie wspominał. To był jego sekret. Zresztą Edward niewiele by już zrozumiał. W szybkim tempie pociągnął dwa kieliszki koniaku i zasnął w głębokim fotelu. Gospodarzowi pozostało tylko przykryć go kocem i pójść spać.

ROZDZIAŁ 5:

MISTER WITTE

Rankiem gosposia obudziła ich na śniadanie. Kilemann wyszedł z sypialni w nocnej koszuli i długiej szlafmycy. Wyglądał na wypoczętego. Co innego Orłowski. Wstał z fotela powyginany, wymiętolony, postępując przy każdym kroku. A jednak to doktor siedział za stołem z nieszczęśliwą miną, a artylerzysta uśmiechał się od ucha do ucha.

– Tego mi było trzeba. Trochę szaleństwa. To odmładza! – wyprężył się, aż trzasnęły stare kości.

– Uważaj, bo się rozpadniesz z tej młodości – mruknął Kilemann, rozglądając się bezskutecznie za nożykiem do rozsmarowania masła na bułce. W końcu użył jakiegoś kozika.

– Nie cieszysz się, przyjacielu? – zdziwił się Orłowski. – To przecież dzięki twojemu sprawnemu oku sprawa została rozwiązana.

– To byłoby zbyt proste, Edwardzie – odparł doktor. – Zostało jeszcze wiele niewiadomych.

– Niewiadomych? – zdziwił się Orłowski. – Jakich to?

– Ach, mój stary. Chyba nie będziesz trwał przy tej twojej teorii o zemście kochanki?!

– A dlaczego nie?

– Naprawdę sadzisz, że młoda piękna kobieta ryzykowałaby życie, żeby zemścić się na jakimś starym pierniku za to, że przestała być jego utrzymanką? Znalazłaby sobie kogoś nowego! – Kilemann z rozmachem wgrzył się w bułkę.

– A masz lepsze wytłumaczenie, doktorze? – odbił piłeczkę Orłowski.

– Powiem ci dzisiaj po południu – odrzekł Kilemann. – Po tym, jak spotkamy się z niejakim Zackiem Wittem, który zatrzymał się w hotelu Kronprinz.

– A któż to taki? – zapytał Orłowski, lecz Kilemann nie chciał ujawnić nic więcej. Zabrał go za to na wspomniane spotkanie z panem Wittem, umówione dzięki zaanonsowaniu gości przez antykwariusza Malma. To on otworzył drzwi, gdy stanęli w progu hotelowego pokoju nr 19. Wprowadził ich do środka. Pokój, jak to w Lyck bywało, został urządzony nadzwyczaj skromnie. Witte zerkał akurat na zegarek. Widząc gości, schował go do kieszeni, uśmiechnął się i gorąco ich przywitał.

– Jesteście, panowie, bardzo punktualni. Ale tego właśnie spodziewałem się po znamienitym doktorze! – powiedział. – Czym mogę służyć? Czyżby chodziło o biednego Wilhelma Mayera?

– W rzeczy samej – odparł Kilemann. – Czy na początek nie moglibyśmy jednak prosić o kieliszek whisky? Bardzo zaschło nam w ustach.

– Hm... – stropił się Witte. – Mam tylko nalewkę, jeśli to panom nie robi różnicy.

Mówił po niemiecku dość płynnie, ale z akcentem trudnym do rozpoznania.

– Chętnie skosztujemy, dziękujemy – odparł Orłowski.

Malm, nie czekając na Wittego, sam postanowił obsłużyć gości. Ci zaś mieli okazję lepiej przyjrzeć się Amerykaninowi. Jasnowłosey, o gładkiej cerze, starał się zachować wesoły nastrój, choć było widać, że nie jest mu do śmiechu. Błady, wychudzony, z koszulą głęboko rozpiętą pod szyją, sprawiał wrażenie chorego. Albo, co też możliwe, zniszczonego przez jakiś nałóg.

– Jestem lekarzem, panie Witte – zaczął ostrożnie Kilemann – i wydaje mi się, że coś ścięło pana z nóg.

Witte uciszył go gestem dłoni.

– Naprawdę, nie warto o tym mówić. Drobną dolegliwość. Przejdźmy lepiej do rzeczy – zaproponował, unosząc kieliszek postawiony przez Malma.

Goście przyjęli zaproszenie. Wszyscy niemal jednocześnie wzięli łyk nalewki, kiedy usłyszeli toast Kilemanna:

– Za zdrowie cesarzy!

Witte, krztusząc się, niemal wypuścił kieliszek.

Malm zaraz podskoczył do niego.

– Coś się stało? – zapytał, lecz Witte władczy gestem usadził go z powrotem na fotelu.

Kilemann przyglądał się tej scenie z miną sfinksa. Witte odstawił kieliszek, a potem spojrzął na swych gości uważnie.

– To tylko przez ten toast, panowie – powiedział.

Usta Kilemanna wykrzywił lekki grymas.

– Czyżbyśmy pana zaskoczyli lub urazili? – zaniepokoił się. – Słyszałem, że jest pan Amerykaninem o korzeniach niemieckich i rosyjskich, więc pomyślałem, że taki toast za koronowane głowy byłby na miejscu.

– Zgadza się – chrząknął Witte, obracając niedopity kieliszek w dłoniach, jakby pomagało mu to znaleźć najodpowiedniejsze słowa. – Problem w tym, że jestem demokratą. Moi przodkowie uciekli do Ameryki nie bez powodu, a to nieco zmienia mój stosunek na przykład do rosyjskiego cara.

– Przepraszam, pańscy znajomi w Lyck mi o tym nie wspomnieli. Stąd moja gafa. Sądziłem, że ma pan sentyment do ojczystych stron rodziców – odparł doktor.

– Nie wyrzekam się swoich korzeni, ale wolę uchodzić po prostu za Amerykanina. Balast przeżyć moich rodziców tylko przeszkadza w robieniu interesów. Przekonałem się o tym podczas podróży, których odbyłem już dziesiątki.

– Europa? Ameryka? Daleki Wschód? – zapytał nieco rozmarzony Orłowski.

– Głównie Europa – odparł krótko Witte. – No, ale wróćmy do tematu panów wizyty. Przyznam, że w ogóle zaskoczony jestem, że do niej doszło. Pan Malm powiedział mi w tajemnicy, co zaszło, ale nie wiem, jak miałbym pomóc. Policja nie uznała rozmowy ze mną za konieczną, dziwię się więc, że pan... No i Adalbert zapowiadał, że pojawi się u mnie doktor specjalizujący się w medycynie sądowej. A jak widzę, przyszło nawet aż dwóch lekarzy. Czyli chyba naprawdę coś wiem, z czego nie zdawałem sobie sprawy? – Amerykanin uśmiechnął się blade.

– Och, lekarzem sądowym jestem tylko ja – zachnął się Kilemann. – Pan Orłowski jest, można powiedzieć, moją obstawą.

– Obstawą? – zdziwił się Witte.

Także Malm wytrzeszczył oczy.

– Tak – odparł ze spokojem doktor. – Jestem już starszym człowiekiem, na dodatek przyjeźdnym. Tymczasem okazuje się, że Lyck to niebezpieczne miasto. Napad na pana Mayera, dwa trupy, tajemniczy bandycki incydent na żydowskim cmentarzu...

– Incydent na żydowskim cmentarzu? – spytali jednocześnie Witte i Malm, tym razem zaskoczony był także Orłowski. Najwyraźniej wcześniej o tym nie słyszał.

– Tak. Nie mówi się o tym głośno, podobnie jak o napadzie na Mayera, by sprawa nie przedostała się do prasy. To mogłoby bardzo zaszkodzić wizerunkowi miasta – wyjaśnił Kilemann. – Na szczęście prawdziwych dziennikarzy jest tu jak na lekarstwo, nie mają nosa do afer. Znają państwo jakieś miejscowe gazety, jakiegokolwiek?

– Nie... – odparł Witte.

– Tylko „Hamagid” – wszedł mu w słowo Malm.
Spojrzeli po sobie, jakby byli zdziwieni, że nie mają wspólnego stanowiska na ten temat.

– „Hamagid”? – zdziwił się głośno Orłowski. – To żydowskie czasopismo. I już tutaj nie wychodzi.

– No to mam jakieś przestarzałe informacje – odparł uśmiechnięty Malm i z siorbnięciem upił kolejny łyk nalewki.

– Ale wróćmy do rzeczy – zmienił temat Witte. – W czym mogę pomóc?

– Racja, zabieramy panu czas, a w interesach czas to pieniąż – zgodził się Kilemann, a Witte poparł to kolejnym lekkim uśmiechem. – Czy przypomina pan sobie jakieś niepokojące wydarzenie z tego skrawka wieczoru, który spędził pan z Mayerem i innymi na przyjęciu?

– Poza tym, że wcześniej coś zaszкодowało mojemu żołądkowi, to nie – odparł z rozbrajającą szczerością Witte. – To właśnie ten problem zdrowotny nadal nie znika. Pewnie te raki ciągle wiercą mi dziurę w brzuchu.

– A rozmawiał pan z kimś o tym spotkaniu i jego uczestnikach?

– Nie.

– To może telegrafował pan do kogoś z taką informacją?

– Też nie.

– A czy widział pan gdzieś wcześniej tę kobietę? – Kilemann sięgnął za pazuchę po fotografię i podał ją Amerykaninowi. Ten jakby zdziwił się i zawahał.

– Nnnie... – odparł wreszcie, oddając arkusz.

Wtedy doktor puknął się dłonią w czoło.

– Głupiec ze mnie! Dałem panu niewłaściwe zdjęcie – powiedział i zamienił wręczony wcześniej arkusz na inny, tym razem już z Akrobatką.

Jej także Witte nie rozpoznał. Skrzywił się tylko, patrząc na martwą twarz, z zamkniętymi oczami.

– Widzę, że wykonuje pan mnóstwo roboty za policję, panie doktorze – stwierdził cicho.

– Staram się tylko pomóc – usprawiedliwił się Kilemann, chowając zdjęcie.

– Oby się panu udało – szepnął Amerykanin, jakby wciąż pod wrażeniem zdjęć z kostnicy.

– A jeszcze takie pytanie: czy idąc na spotkanie z Mayerem i kolegami lub z niego wychodząc, nie zauważył pan pod domem żadnych dam podejrzanej konduity? – dociekał doktor.

– Cóż, nie wiem dużo o kobietach podejrzanej konduity. – Witte wzruszył ramionami, sięgając do kieszeni po zegarek, jakby chciał dyskretnie sprawdzić godzinę. – Unikam ich.

– Zerka pan na zegarek, więc pewnie czeka pana następne spotkanie... – zauważył Kilemann.

– Nic podobnego, po prostu... – Witte schował zegarek z dziwnym grymasem. – Jakoś odruchowo to zrobiłem. Jeśli wypadło niegrzecznie...

– Proszę się nie przejmować. To my nadużywamy pana gościnności – zapewnił doktor. – Jeszcze tylko jedno wspólne pytanie do obu panów. Właściwie niedotyczące dochodzenia.

– Tak? – zainteresowali się Witte i Malm.

– Co właściwie łączy panów z tutejszym Klubem Dobrego Porządku, poza znajomością z panem Mayerem?

– Klub Dobrego Porządku? – powtórzył Malm.

– A co to takiego? – spytał Witte, wpatrując się w gości głęboko osadzonymi, ciemnymi oczami. – Po prostu dostaliśmy zaproszenie od pana Mayera na spotkanie z jego znajomymi, gdy pojawił się w hotelu, by porozmawiać z Adalbertem o kupionym przez niego cacku. Nie wiedzieliśmy, że tworzą jakiś klub.

– Czyli, jeśli dobrze rozumiem, pan Malm był od jakiegoś czasu w kontakcie z panem Mayerem w sprawie sprzedaży owego cacka, owej łamigłówki ze starożytnymi postaciami. Przywiózł ją tutaj ra-

zem z panem, panie Witte, ponieważ wspólnie podróżujecie dalej w interesach do Königsbergu.

– Tak było.

– A nie żał było panu czasu, żeby przyjeżdżać do takiej miejsciny? – zdziwił się Kilemann. – Nie lepiej było jechać od razu do Königsbergu i tam zaczekać na pana Malma?

Witte zastygł z lekkim uśmiechem na ustach, aż w końcu stwierdził:

– Właściwie nikogo nie znam w Königsbergu, cóż więc miałbym tam począć? A tutaj przynajmniej miałem nadzieję na zupę z raków.

Wszyscy gruchnęli śmiechem. Tak zakończyło się spotkanie.

– Która to godzina? – zapytał doktor, a gdy Witte otworzył zegarek, zerknął mu przez ramię. – Już czternasta trzydzieści! Czas na nas, Edwardzie.

– Dokąd panowie się wybiorą z Prus Wschodnich? – zapytał na odchodnym Orłowski.

– Może pan Malm pokaże gościowi z Ameryki Berlin? – dodał Kilemann.

– Może, ale już tam byłem – odparł Witte i tak się rozstali.

ROZDZIAŁ 6:

BRAKUJĄCY ELEMENT

Opuściwszy hotel, zamiast złapać bryczkę, Kilemann szybko przeszedł na drugą stronę ulicy. Zdziwiony Orłowski ruszył za nim. Zniknęli za rogiem, a potem od podwórza dostali się do kamienicy stojącej naprzeciw hotelu Kronprinz. Nie bez zadyszki wspięli się schodami na trzecie piętro. Tam doktor stanął w oknie klatki schodowej i ku zaskoczeniu Orłowskiego wyciągnął teatralną lornetkę. Skierował ją na okna pokoju nr 19 i uważnie obserwował przez ponad kwadrans. Potem pokiwał głową i wciąż nadzwyczajnie skupiony zarządził, że schodzą na dół. Cierpliwość Orłowskiego miała swoje granice. Wytrzymał ten kwadrans, ale w bryczce nie mógł już doczekać się wyjaśnień od przyjaciela.

– Zdała się na coś ta wizyta? – naciskał. – Po co podglądaliśmy tego Wittego?

– Aby pozbyć się podejrzeń, drogi Edwardzie – odezwał się wreszcie Kilemann. – Zbliżam się do rozwiązania tej zagadki, ale wciąż jeszcze nie połączyłem w całość wszystkich elementów.

– Skrytykowałeś moją wczorajszą teorię, nie przedstawiłeś żadnej własnej. A co powiesz na taką, że rację miał młody Bazil, iż działa tu jakaś szajka, z tą jednak moją poprawką, że Akrobatka miała podwójne zadanie? Nie tylko weszła do mieszkania Mayera, ale także wcześniej na zlecenie swych hersztów go omotała! Co ci w tym nie pasuje? – zapytał Orłowski niemal szorstko. Tajemniczość i pewna apodyktyczność Kilemanna dawała mu już się we znaki.

– Wszystko. Po pierwsze, jest to teoria oparta na bezsensownych założeniach młodego Bazila. Już to ją kompromituje. Po drugie, nasza Akrobatka nie była kochanką starszego pana, oblaskawianą kosztownościami i żyjącą we względnym luksusie. Na jej dłoniach nie widziałem żadnych śladów po pierścionkach czy bransoletkach. A po trzecie, wyobraź sobie, że w kołnierzu szmat, w które była ubrana, odkryłem ampulkę z trucizną!

– Niemożliwe! – Orłowski aż podskoczył. – I ani Rahm, ani policja wcześniej tego nie znaleźli?

Doktor zerknął na Orłowskiego niemal z politowaniem.

– Może dziewczyna chciała wziąć truciznę, aby zabić siebie po dokonaniu mordu na Mayerze? – głośno zastanawiał się Orłowski.

– I dlatego zaszyła ją w kołnierz łachmanów? – uśmiechnął się Kilemann.

Jego przyjaciel milczał.

– Jest jeszcze jedna rzecz – odezwał się ponownie doktor. – Mayer stanowczo zaprzecza kontaktom z tą kobietą. Twierdzi też, że naszyjnik ktoś mu podrzucił. Jeśli tak, to musiało się to stać między opuszczeniem gabinetu przez fachowców policyjnych – bowiem nie wierzę, mimo niechęci do nich, aby przeoczyli coś takiego – a naszą wizytą.

– O ile pamiętam – zasępił się Orłowski – to według Mayera w tym czasie odwiedził go w gabinecie tylko Adalbert Malm.

– Tym kłamczuchem zajmiemy się później. Zresztą marny z niego łgarz. Czy to nie ciekawe, że jako przykład gazety ukazującej się w Lyck podał „Hamagid”, które po pierwsze jest gazetą żydowską, a po drugie lata temu już zmieniło miejsce publikacji?

– Słucham? – zdziwił się Orłowski.

– Nieważne, Edwardzie. Chodzi o to, że się mylisz. Według słów Mayera osób, które odwiedziły jego gabinet, mogło być więcej.

- Na przykład jacyś służący? Ten z kosią brodą nie wyglądał na zbyt lebskiego.
- Jak mówił Mayer, nie wchodzi poza próg. To takie jego dziwactwo. A przecież nie cisnęliby stamtąd łańcuszka pod dywan. Chyba że mają zapasowy klucz do gabinetu i tam myszkowali, jednakże Mayer zapewnia o ich uczciwości.
- Poddaję się – westchnął Orłowski. – Zostaje tylko jakiś przekupiony żandarm, który pojawił się tu z młodym Bazilem.
- Otóż nie! Przecież Mayer powiedział, że odwiedził go jeszcze jeden człowiek. Kurier od Rahma.
- Czyli Gieś? Mój sąsiad? – Orłowski prawie zaniemówił, a potem huknął: – Zwariowałeś, Kilemann?
- A kto powiedział, że to był on? Zresztą zapytamy go sami. Odwiozę cię do domu. Ani twoja rana ani kac nie wymagają opieki lekarskiej.
- Gieś szczęśliwie był w domu, jednak żona i hałastrą dzieci gnieźdzących się w małym mieszkaniu sprawiły, że porozmawiać mogli jedynie w prog. Zapytany, czy był u Mayera z informacją od Rahma, zaprzeczył.
- Jestem woźnym sądowym, kurierem tylko bywam – odparł, niemal obrażony.
- Więc kogo posłano do Mayera? – zniecierpliwził się Orłowski.
- Pewnie tego nowego.
- To znaczy? – podchwycił Kilemann.
- Okazało się, że tego dnia pojawił się nowy pracownik. Praktykant o nazwisku Kluge. Młody, bardzo cheralwo wyglądający, dosyć niski, z gęstym zarostem na twarzy. Trochę niechlujny, ale bardzo grzeczny i posłuszny. Chciał zostać pomocnikiem woźnego.
- Nikogo takiego nie potrzebujemy, ale kuriera – owszem. Zgodził się, za psie pieniądze. Do wyboru był albo on, albo emerytowany kolejarz Roch. Nic dziwnego, że wybrano Klugego – wyjaśnił Gieś.
- I właśnie dzisiaj ten Kluge zaczął pracę? – upewnił się Kilemann.
- Wcześniej go nie widziałem – potwierdził woźny.
- I to jest nasze zadanie na jutro. – Zadowolony doktor poklepał Orłowskiego po plecach.

ROZDZIAŁ 7:

ŚLADY

Kiedy Kilemann odwiedził Orłowskiego w południe, był błądy i zmęczony. Poprosił przyjaciela o filiżankę gorącej wody z cytryną, a potem zasiadł w fotelu. Nie dał się długo prosić o wyjaśnienia.

– Nie jest dobrze, Edwardzie. Ten Kluge nie pojawił się dzisiaj w pracy. Zniknął. Chyba zwiął.

– Pewnie masz rację, że to podejrzany typ mogący należeć do bandyckiej szajki. Ale właściwie dlaczego szukał zatrudnienia w sądzie? Przecież nie wiedział, że Rahm pośle go z karteczką do Mayera. – Orłowski rozlał napój do fajansowych filiżanek.

– To nieważne. Zbieg okoliczności. Ukradłby jakikolwiek formularz i pojawił się u Mayera pod zmyślonym pretekstem jako pracownik sądu, byle tylko podrzucić mu naszyjnik. Rahm jedynie niepomiernie ułatwił mu zadanie.

– Wierzysz w takie zbiegi okoliczności?

– W takie, owszem. Zwłaszcza że Mayer zapamiętał kuriera dokładnie tak, jak opisał go nasz Gieś – odparł doktor. – Niestety młody Bazil ciągnie sprawę zgodnie ze swoją teorią. Na dodatek zlekceważył moje uwagi i przestał szukać osób z branży cyrkowej, które ewentualnie znalazłyby naszą Akrobatkę. A przyznasz, że piękna kobieta tak dobrze operująca nożami to rzadkość, prawda? Ktoś mógłby zapamiętać jej występy i tak, po nitce do kłębka, mogliśmybyśmy dotrzeć do celu. Niestety pan oficer uznał, że to bezcelowe, bo rozwiązanie sprawy już ma! Uznał, że Akrobatka to szantażystka i złodziejka. Może nawet była kochanka Mayera, dlatego miała ze sobą naszyjnik, który przypadkiem zgubiła. Lecz dla niego nawet to już nieważne. Przystępczyni zginęła, sprawa zamknięta. Wyobrażasz sobie podobny absurd?

– Pewnie junior konsultował się z tym starym durniem, swoim ojcem – sarknął Orłowski. – A co na to Mayer?

– Jemu na rękę jest każde rozwiązanie, byle sprawa nie nabrała rozgłosu.

– A nie boi się, że szajka znów uderzy?

– Mam nadzieję, że nie jest aż tak głupi – westchnął Kilemann.

„Jednak czy powinienem się nim przejmować? On i cały ten klub...” – pomyślał.

– A może klub mu pomoże? Wystawi jakąś straż? – rzucił Orłowski.

Doktor spojrział na niego bystro.

– I właśnie dlatego tak ciebie cenię, Edwardzie! Teraz dom Mayera obstawi pewnie stary Bazil i kilku weteranów sympatyzujących z klubem. Oczywiście, że tak! – Doktor pstryknął palcami, a potem przechylił do dna filiżankę z gorącym napojem. Po ostatniej kropli aż cmoknął z ukontentowaniem. „Nie ma to jak woda z cytryną na pierwsze objawy zaziębienia”.

– Tylko jeszcze jedna rzecz mnie martwi, Edwardzie – stwierdził.

– Może za dużo problemów bierzesz sobie na głowę? Nie jesteśmy już młodzieniaszkami – odparł z troską Orłowski, patrząc na zmęczoną twarz przyjaciela. – Gnębi cię tyle spraw...

– To dzięki nim jeszcze dycham – zaśmiał się doktor.

– Aha! To co jeszcze cię gnębi?

– Młody, acz bardzo cherlawo wyglądający, dosyć niski człowiek o gęstym zaroście i kieszeni pełnej chemikaliów.

– Kluge? Ten, co zniknął?

– Tak.

– A skąd pomyślnie, że miał kieszenie pełne chemikaliów? Mayer mu zajrzał, gdy u niego był?

– Nie, Edwardzie. To ja wziąłem pod lupę naszyjnik, dzięki rzadkiej uprzejmości młodego Bazila. Na ogniwach i wewnątrz serduszka znalazłem podejrzane kryształki, ślady rzadkich związków azotu oraz kilku innych substancji.

– Uważasz zatem... – zaczął Orłowski.

– Tak – przerwał mu doktor. – Drobiazg podrzucił Mayerowi człowiek krzątający się w jakimś chemicznym laboratorium, a na naszym drobiazgu – wyjętym zapewne z kieszeni – są tego ślady. Ba, Kluge pozostawił tam także odcisk palca. Jeśli znajdziemy podejrzanego, będziemy mogli to sprawdzić. Nie wiem, czy wiesz, ale niejaki Francis Galton udowodnił, że te odciski są indywidualne, niezmiennie i niezniszczalne. Nawet bliźniaki nie mają jednakowych.

– Tego w szkole artylerii nie uczą – przyznał Orłowski.

– No to masz jakiś pożytek z naszej znajomości.

– Lecz jak znaleźć tego Klugego? – zaszepił się stary żołnierz. – Pewnie zapadł się pod ziemię. Do samego piekła, razem ze swoimi chemikaliami.

– Jest jeszcze coś. Być może jest to kluczowe dla całej sprawy – dodał na zakończenie Kilemann. – Badając naszyjnik, przyjrzałem się owym zdjęciom wewnątrz. Fotografia dziewczyny została precyzyjnie dopasowana, zapewne przez fachowca. Podobizna Mayera nie sprawia już takiego wrażenia. To chałupnicza robota z nożyczkami i klejem, wykonana naprędce.

– I co z tego wynika?

– Ktoś to spreparował i bardzo chciał, żebyśmy znaleźli. Sprawa Mayera skupia się przez to na domniemanym niestosownym romansie i rzekomej zemście, a nie na tym, co chciano inżynierowi ukraść! A Akrobatka nie działała sama, lecz w porozumieniu z chemikiem, fałszywym kurierem. Plany i wiedza o wspólnym spisku były dla niej tak cenne, że gotowa była popełnić samobójstwo, byle nic nie ujawnić policji! – grzmiał doktor, znów podekscytowany.

– To pachnie jakimiś anarchistami – podsumował Orłowski.

– Gorzej nawet. I oni wciąż działają. Tymczasem, pozwolę sobie przypomnieć, śledczy Bazil uważa sprawę za zamkniętą.

– Dziwi mnie tylko, dlaczego w takim spisku biorą udział cyrkowa akrobatka i cherlak – rzucił Orłowski. – Nie mieli lepszych kadr? – zażartował.

– Spiskowcy działają podług swoich możliwości – odparł Kilemann. – To wąskie grono, ale zdolne do wielkich poświęceń. Widziałem to kiedyś, w Londynie...

– W Londynie? – podchwycił Orłowski.

– Nieważne. – Doktor machnął ręką. Nie chciał do tego wracać. – Istotne, że członkiem tej szajki jest jakiś chemik.

– A czemuż to tak istotne?

Kilemann nie odpowiedział.

– Mam się sam domyślić? – dopytywał Edward. – Widzę, że chyba jesteś już bardzo zmęczony, przyjacielu. Potrzebujesz snu.

– Tak, prześpijmy się z tym problemem – odparł doktor. Poczul ogromne zmęczenie. Walczył jeszcze chwilę ze znużeniem, a potem głowa zawisła mu ciężko. W kilka sekund zasnął zmęczony w fotelu, jak dziecko. We śnie mignęła mu twarz Polaka Korda. Tłumaczył mu ze skupionym, natrętnym, hipnotycznym wzrokiem: „Skoro to radykałowie – jak ci, których zadenuncjowałeś w Londynie – to może i ty nie powinienes spać spokojnie? To mściwe bestie. Może nawet któryś z nich jest Irlandczykiem?”.

ROZDZIAŁ 8:

NA TROPIE

W kamienicy naprzeciw hotelu Kronprinz Orłowski wszedł do wynajętego przez Kilemanna mieszkania, z którego miał prowadzić obserwację hotelowego pokoju numer 19. Zapowiadało się, że będzie to nudne zajęcie, ale ktoś musiał się tego podjąć. Stary artylerzysta nie potrafił odmówić przyjacielowi. Podczas tej nużącej obserwacji Edward najbardziej zdziwił się, gdy z okna wypatrzył spacerującego wzdłuż ulicy Giesia. Czyżby doktor i jego poprosił o pomoc? Może to był tylko przypadek – w końcu pół godziny później Edward dostrzegł w pobliżu nawet swoją Brygidę. Elegancka jak zawsze, spacerowała od strony dworca w kierunku parku królowej Luizy, odprowadzana wzrokiem przez kilku oficerów. Ciekawe, co by rzekła, gdyby dowiedziała się, w jaką kabałę wplątał się jej rycerz Orłowski. Tylko żandarmów Edward pod Kronprinzem nie widział. Kilemann postanowił nie informować o niczym policji.

– Przekonałem się, że z takimi ludźmi jak młody Bazil trudno dotrzeć do prawdy! Wolę ustalić niezaprzeczalne fakty i wtedy przedstawić je organom ścigania.

Orłowski nie miał pojęcia, co w tym czasie porabiał doktor, ale po dwóch godzinach obserwacji hotelowego pokoju nr 19 zaczął w myślach życzyć przyjacielowi, by nudził się nie mniej od niego. Zwyczajnie zachowanie Wittego było zniechęcające. Amerykanin nie robił nic interesującego czy podejrzanego. Siedział, czytał, kładł się, czesał brodę. Orłowski zaczął zastanawiać się, czy ta bierność nie jest efektem choroby. Lecz przecież to nie był powód obserwacji. Gdy Witte zniknął mu z oczu na dłużej, Edward na wszelki wypadek zerkał też na jedyne hotelowe wyjście. A nuż gdzieś się wybrał? Za każdym razem jednak Amerykanin znów pojawiał się w hotelowym oknie, zapewne po skorzystaniu z łazienki, która znajdowała się poza polem widzenia (czy raczej podglądania) Orłowskiego.

Kilemann pojawił się dopiero późnym popołudniem. Miał co opowiadać. Okazało się, że w międzyczasie obserwował dyskretnie Malma. Nie robił nic podejrzanego – razem z Mayerem i jego sympatią burmistrzową Beatą pojechali do odziedziczonego przez nią domku nad jeziorem. Architektowi, może ze względu na towarzystwo kochanki, dopisywał humor. Głośno żartował. Pruski mur na elewacji domu zaczął porównywać do łamigłówki Archimedesusa, której poświęcił tyle czasu.

– Że też nigdy nie wpadłem na to, by na podstawie elementów układanki zaprojektować jakiś gmach! Choćby siedzibę Spar- und Bauverein w Posen! Kto powiedział, że pruski mur musi być idealnie symetryczny? Co za głupiec ze mnie...

Potem cała trójka zniknęła w domku. Kiedy Kilemann zamierzał już wracać, zobaczył, że pod Wilę z Pruskim Murem podjeżdża dorożka z Gertrudą Uecker. Królowa drobiu nie zauważyła go, głęboko zamyślona. Gdyby był telepatą, dowiedziałby się, że głowę miała właśnie zajęta dywagacjami, czy tarot marsylski zawdzięcza swoją nazwę francuskiemu portowemu miastu czy renesansowemu włoskiemu filozofowi Marsyliowi Ficino. Niestety jej męża (a może i wszystkich znajomych) ta szokująca hipoteza interesowała mniej niż liczenie niosek i jaj.

Kilemann skrzył inną stronę, unikając spotkania z Gertrudą. Wtedy zobaczył dwie kobiety idące ścieżką i zażarcie się kłócące. Wielkie kapelusze z woalkami przysłaniały ich twarze, aczkolwiek nie miał wątpliwości, że to Dorota Rahm i jej siostra Brygida. Tylko one potrafiły narobić takiego hałasu na zwykłym spacerze.

– Gdzie ty się podziewałaś? Mówiłaś, że szłaś z dworca. O tej porze? Masz jakiegoś absztyfikanta pod Lycz? A może spotykałaś się w Chelchen z tym swoim rycerznią od siedmiu boleści? – zrzędziła Dorota.

– To, że szłam z dworca, nie znaczy, że gdzieś podróżowałam. Na przykład mogłam sprawdzić, czy w końcu otworzą fotoplastykon, nie wydaje ci się? Albo mogłam pójść do apteki, albo odwiedzić swojego lekarza...

– A co, chora jesteś? Mój małżonek mówi, żeby ostrożnie wybierać lekarzy i farmaceutów. Na pewno nie Żydów, nie warto...

– Bo?

– Bo są przykłady, że celowo szkodzili swoim pacjentom chrześcijanom... O, to jest prawdziwy doktor! – Dorota Rahm zauważyła idącego z naprzeciwka Kilemanna i wskazała na niego parasolką. Lekarz uklonił się i przywitał.

– Moja siostra chce mnie do pana wysłać – poskarżyła się Brygida, trzepocząc rękami.

– Doprawdy? Ale ja przecież jestem specjalistą od medycyny sądowej...

– Widać Dorota bardzo mnie nie lubi. – Kochanka Orłowskiego zaniosła się takim śmiechem, że o mało nie spadł jej z głowy szeroki kapelusz z piórami sterzczącymi jak języki ognia.

– Lubię cię tak bardzo, że nie miałabym nic przeciwko temu, żebyś chodziła do mojego męża – prostowała Dorota. – Niestety biedaczek od paru dni ma istne zatrzęsienie obowiązków. Podejrzewam, że w sądzie bada jakiś skomplikowany przypadek.

– Kogoś oskarżonego przed sądem? – Kilemann uśmiechnął się naiwnego.

– Obawiam się raczej, że kogoś, kto... zszedł z tego świata.

– Nie zdradził ci szczegółów? – zdziwiła się Brygida. – Uwważaj, moi małżonkowie także nie chcieli mi nic mówić.

– Dlatego są już twoimi byłymi mężami? – prychnęła Dorota. – Niech cię to nie martwi, siostrzyczko. Leopold mi nie mówi o swoich zajęciach w sądzie, a i ja od niego nie wymagam podobnych wyznań. Podejrzewam zresztą, że mogłyby być makabryczne, nie na moją w głowę.

– No i w grę wchodzi zapewne tajemnica służbowa. Dochodzenia, śledztwa to poważne sprawy – dodał Kilemann.

– Rozumiem. – Brygida pokiwała głową. – Pytanie, na ile jest to zachowywanie dyskrecji, a na ile zwykle ignorowanie nas, kobiet. Pytanie, czy Leopold i inni są równie milczący w towarzystwie swoich kolegów? A może jednak dzielą się z nimi jakimiś informacjami, wynoszą je z pracy? Jak pan sądzi, panie Kilemann? – rzuciła Brygida, ale najwyraźniej potraktowała to jako pytanie retoryczne. – A przecież my też możemy mieć jakieś uwagi i obserwacje, jakąś wiedzę.

– Zapewne – przyznał doktor, zastanawiając się, jak wybrnąć z niezręcznej sytuacji. Nie miał czasu na dyskusje z damami, spieszył się.

– Bardzo lakoniczna odpowiedź – mruknęła Brygida. – No proszę wyjaśnić coś więcej. Nie skorzystałby pan z pomocy kobiet, gdyby znalazł się pan w kropce?

– Brygido, nie dręcz pana Kilemanna, na pewno się spieszy – obsztorcowała ją siostra i chwyciła za rękę jak nieposłuszne dziecko. – Zresztą my też musimy lecieć, Beata już na pewno czeka.

– A ja jednak chciałabym wiedzieć. – Brygida wyrwała się siostrze. – Nie skorzystałby pan z naszej pomocy, nawet gdyby inne środki zawiodły?

Wtedy Kilemanna olśniło.

ROZDZIAŁ 9:

MASKARADA

– Sięgnąłem do kieszeni i wyciągnąłem zdjęcia Akrobatki. Zapytałem, czy widziały w Lyck tę kobietę. Na ulicy, w kawiarni, na balu, w kwiaciarni, gdziekolwiek. Nie wyjawilem oczywiście, że to zdjęcie zwłok. Może obie panie się domyśliły przez te zamknięte oczy, bo zbladły – opowiadał doktor Orłowskiemu.

– I co? I co? – niecierpliwił się Edward.

– Powiedziały mi, że ją znają! To zakonnica, siostra Herta. Poznały ją przez burmistrzową Beatę. Pojawiała się parę tygodni temu w jej salonie. Wyznała, że wygrała na loterii wielką sumę pieniędzy i jeździ po Prusach Wschodnich, starając się znaleźć odpowiedni cel charytatywny. Wychowana w skromności, unikała tłumów, nie umiała znaleźć się wśród ludzi, prosiła więc burmistrzową o pomoc.

– A to ci aktorka! – Orłowski aż klasnął w dłonie. – Ale czy możemy mieć pewność, że to ona? Brygida i jej siostra się nie pomyliły?

– Spotykają się w soboty u pani Beaty w domku nad jeziorem. Ostatnim razem siostra Herta nie dotarła na spotkanie, ani się nie wytłumaczyła z nieobecności. Chyba wiemy dlaczego... Prawda, Edwardzie?

– No tak – skinął głową. – A nie zdziwiło ich, że taka piękna dziewczyna jest zakonnica?

– Edwardzie, chcesz powiedzieć, że nie spotkałeś nigdy zakonnicy, która mogłaby zawrócić niejednemu w głowie? – zakpił Kilemann. – Poza tym nosiła na głowie welon, a na nosie miała okulary. No i była bardzo tęga, otyła w pasie.

– Jak to? Może to więc jednak nie ona?

– A cóż to za problem, włożyć pod habit poduszkę albo „sztuczny żywot” używany przez kobiety udające, że są w ciąży?

– Czyli jesteś pewny, że siostra Herta i nasza Akrobatka to ta sama osoba? – naciskał Orłowski.

– Owszem – przytaknął Kilemann i pstryknął palcami. – Zwłaszcza że potwierdzili to burmistrzowa i Mayer.

– Jak to? Dołączyli do waszej rozmowy?

– Odwrotnie. Brygida i Dorota nie dały mi odejść, tylko zaprowadziły do willi pani Beaty. Zdaje się, że były tam umówione. Jak już wcześniej ci mówiłem, był tam także Mayer. Wszyscy pochylili się nad tym zdjęciem. Beata rozpoznała siostrę Hertę, Mayer potwierdził, że to Akrobatka. Czego więcej chcieć?

– Czyli zagadka rozwiązana. – Edward pokiwał głową. – A właściwie pierwsza z szeregu zagadek. Właściwie to gmatwa ona całą sprawę jeszcze bardziej. Dlaczego Herta szukała kontaktu z burmistrzową?

– Przecież to oczywiste, Edwardzie. Po to, żeby zdobyć jej zaufanie i wywiedzieć się więcej o jej kochanku Mayerze. Przecież całe miasto wie o ich romansie. Szkoda tylko, że gdy zabrano mnie do willi pani Beaty i pokazywałem tam zdjęcie Akrobatki, w środku był także ten nieszczęsny Malm! Pewnie znów robił za wielkiego marszanda. O nic nie pytał, tylko słuchał.

– Kto jeszcze może coś wiedzieć o tej zakonnicy? Na przykład gdzie mieszkała? – zastanawiał się stary artylerzysta.

– Zdaje się, że na parafii tutejszego katolickiego kościółka. Pewnie coś nakłamała proboszczowi. Muszę z nim porozmawiać, ale na razie zabrakło na to czasu. – Kilemann wyjrzał przez okno. – Spójrz. My tu rozmawiamy, a tymczasem pan Witte zaczyna się w końcu przebierać. Chyba wreszcie szykuje się do wyjścia!

– Czyli tak jak zapowiadałeś. Tylko dokąd i dlaczego tak późno? – Orłowski przetarł oczy, jakby był już śpiący.

– Zaraz się dowiemy. Zważ, że Malm jeszcze nie wrócił do hotelu! Ciekawe, gdzie się podziewa – zapytał Kilemann, narzucając płaszcz. – Szybko, musimy być na zewnątrz pierwsi!

Orłowski i Kilemann wybiegli przed kamienicę. Okazało się, że za rogiem czekał na doktora ukryty powóz. Na koźle woźnicy siedział Gieś. „Czyli nie kręcił się tu przypadkiem!” – pomyślał Orłowski. „Intuicja dobrze mi podpowiadała. Doktor przekonał go, by nam pomógł”. Edward sprawnie zajął miejsce Giesia, zgodnie z poleceniem Kilemanna. Na koniec doktor nacisnął mu na głowę swój wysoki kapelusz. Czekali. Po chwili także Witte znalazł się przed hotelem. Rozejrzał się i wezwał stojącą w pobliżu bryczkę z zamaskowanym Edwardem. Nerwowym głosem podał adres. Kiedy Orłowski prowadził powóz, do którego wsiadł Amerykanin, nagle usłyszał zza pleców jadowity głos.

– Niech pan się nie martwi, że nie zna pan drogi, Kilemann. Wskażę ją. Proszę jednak nie próbować uciekać. Mam pana na muszce rewolweru i nie zawaham się podziurawić pana jak sito – mówił Witte, siedząc w kabinie za plecami Orłowskiego. – Był pan tak sprytny i szybki, że aż łatwy do zdekonspirowania. Kto inny zapewniłby mi bryczkę o tej porze, jeśli nie osoba, która obserwuje mnie cały dzień? – dodał.

Orłowski w duchu przeklął, że dał się namówić doktorowi na tę maskaradę. Ukryty pod kapeluszem, okutany jak furman, zdezorientowany, odpowiadający półgębkiem i wciąż znajdujący się na celowniku, dotarł po pół godzinie na wskazane przez Amerykanina miejsce. Była to sypiąca się mazurska chata, z wysokim płotem i niewielkim, zaniedbanym ogrodem. W sąsiedztwie było kilka lepiej utrzymanych domów – najbliżej, bo jakieś sto metrów dalej, znajdowała się Willa z Pruskim Murem. Witte kazał zatrzymać się pod ogrodzeniem. Orłowski zeskoczył z koźła. Witte wprowadził go, mierząc doń z rewolweru, na teren posesji. Drzwi chaty otworzył mężczyzna wyglądający tak, jak opisywano tajemniczego chemika. W rękę trzymał lampę.

– Spójrz, jakiego złapałem ptaszka! – zakrzyknął Witte, zrywając woźnicy z głowy kapelusz i szal.

Chemik spojrzał najpierw na Orłowskiego, potem na Amerykanina, skonsternowany.

– Przecież to nie ten wścibski doktor – wydukał.

– Orłowski! – wrzasnął Witte, wreszcie rozpoznawszy starego artylerzystę i pojąwszy swoją pomyłkę.

Gdy machinalnie opuścił rewolwer, Edward rzucił się na niego, próbując wykręcić uzbrojoną rękę. W tym samym czasie jak spod ziemi wyrósł Kilemann, uzbrojony w groźnie wyglądający pistolet Mauser C96. Pokonał całą drogę na bagażniku za tylną ścianą powozu.

– Ani kroku! – krzyknął w stronę łotrów.

Orłowski tymczasem wyrwał broń Amerykaninowi.

– No i zaprowadził nas pan do celu, Witte – rzekł drwiąco doktor. Złote zęby błysnęły mu jak kły draieżnika. – Wystarczyło tylko poczekać.

– Udało się panu mnie przechytrzyć, jednak niewiele to zmienia – odparł Witte. – Nasz plan nadal jest wprowadzany w życie.

– No, niechże pan go ujawni – rzucił Kilemann.

– Czyli aż tak sprytny pan nie jest, by czytać w moich myślach? – Amerykanin skrzywił się szyderczo.

– Umie trochę czytać z ust, ale nie z myśli.

– No to powiem panu, co będzie. A chwilę później oddacie nam broń. W przeciwnym razie zginie całe towarzystwo w willi pani burmistrzowej. – Oczy Wittego ciskały błyskawice. Albo był tak dobry w blefowaniu, albo mówił prawdę.

– Brygida? – szepnął Orłowski i spojrzał dyskretnie na Kilemanna.

– Chyba mnie pan nie przekonał – stwierdził doktor. – Niby kto i jak...

W tym momencie rozległ się pojedynczy, głuchy strzał. Dochodził od strony Willi z Pruskim Murem.

– O, to chyba panów przekona? Nie traćmy czasu – westchnął Witte. – Malm zgromadził tam miejscową śmietankę towarzyską. Cztery panie i dwóch mężczyzn...

„Beata z Mayerem, Rahm z żoną, Uecker z żoną i Brygida” – porachował w myślach Orłowski. „Nie, coś się nie zgadza”.

– Czeka, aż pan Mayer przyjedzie z pewnymi papierzyskami, których nie udało się nam mu wykraść. Teraz dostarczy je sam. Inaczej jego znajomi zginą – oznajmił Witte.

„Teraz się zgadza. Beata, Rahm z żoną, Uecker z żoną i Brygida”. Orłowski zacisnął zęby.

– A co to ma z nami wspólnego? – Kilemann wyglądał na niewzruszonego.

– Ano pan Malm czeka na sygnał od nas, że zajęliśmy się ogonem, który do nas się przyczepił. Inaczej wysadzi dom w powietrze.

– Śmiał wąpiić. – Doktor nie dawał za wygraną.

– To niech pan ryzykuje, proszę bardzo – zaśmiał się Witte. – My z natury naszej działalności gotowi jesteśmy na śmierć. A pan i pańscy znajomi? Działacie dla własnej chwały czy dla wyższego dobra?

– To nie są moi znajomi.

– Kilemann... – szepnął Orłowski, a ręka z odebrany Wittemu rewolwerem wyraźnie mu drżała.

– Widzę, że mają panowie jednak uzasadnione wątpliwości – uznał wciąż uśmiechnięty Witte.

– Jakim to niby sygnałem porozumiewa się pan z Malmem w willi, której nawet w mroku nie wiadać? – zapytał Kilemann.

– Oczywiście chodzi o sygnały świetlne. Mamy je doskonale opracowane – zapewnił Amerykanin.

– Myślę, że pan kłamie, jak we wszystkim – stwierdził doktor. – Ale...

Przerwał im wybuch. Jak grzmot z nieba, a może raczej z piekła rodem. Uderzył ich powiew śmierci od rozpadającej się Willi z Pruskim Murem. Zachwiali się. Dwie sekundy później Witte rzucił się na Kilemanna, a chemik skoczył jak kot na Orłowskiego. Huknęły dwa strzały. Chemik złapał się za szyję, z której wytrysnęła strumień krwi. Jego herszt powalił jednak Kilemanna i wykorzystał okazję, by czmychnąć w krzaki, w noc. Doktor spojrzał w mrok, a potem w lunę unoszącą się nad ruinami Willi z Pruskim Murem. Ruszył w tę drugą stronę. Biegiem za nim podążył też Orłowski. Cicho powtarzał imię Brygidy.

Chemik skonał.

ROZDZIAŁ 10:

WYBUCH

Beata, Rahm z Dorotą, Uecker z Gertrudą oraz Brygida zostali sterroryzowani przez Malma rewolwem i zamknięci w pokoju na piętrze Willi z Pruskim Murem, w karcianym muzeum zamienionym na przejściowe więzienie. Wyjścia strzegła skrzynka z tajemniczą zawartością. Malm ostrzegł, że materiał wybuchowy, którego zapalnik uruchomi otworzenie drzwi. Wtedy dojdzie do eksplozji, która zdmuchnie całe piętro.

– Gdyby to był dynamit, pokazałbym go wam, żeby postraszyć. Ale to coś dużo gorszego. To sześć kilogramów kryształków pentrytu. Nigdy o nim nie słyszeliście, prawda? To taki nowy wynalazek. Nasz kolega chemik by wam wyjaśnił, ale chwilowo go z nami nie ma. Upraszczaając: to mieszanka dynamitu i trotylu. Ach, o trotylu również nie słyszeliście? Czym wy się, ludzie, zajmujecie, że nie macie tak podstawowej wiedzy? – szwargotał, a potem uśmiechnął się szyderczo.

– Leopoldzie, zrób coś – naciskała żona Rahma.

– Niby co? – odparł ten.

– To nie takie proste jak obicie mordy jakiemuś Żydowi – mruknął Uecker.

– Czyżbyś miał do mnie jakieś pretensje, Albercie? – obruszył się Rahm.

– Po prostu nie chcę się zamienić w pieczoną gęś – warknął król drobiu. – Szykowałeś nas na wielkie plany, na zmianę świata, a nagle wpadliśmy w szpony ludzi, którzy naprawdę chcą i mają determinację, by zmienić świat, a nie cofają się przed niczym. Ba, może ten Malm to też Żyd? I co ty na to?

– O czym wy w ogóle mówicie? – odezwała się Gertruda. Była zdziwiona, tak jak pozostałe damy.

– Chcecie powiedzieć, moi panowie, że to przez was znaleźliśmy się w tym godnym pożałowania położeniu? – zapytała zmieszana Dorota Rahm.

– Nie bądź głupia – odparł jej mąż. – Działalność Klubu nie ma z tym nic wspólnego. Wszystkiemu winna jest milcząca teraz pani Beata, która zaprosiła nas tutaj na spotkanie z tym podejrzanym typkiem. Miał mieć ze sobą kufer z cennymi antykami na sprzedaż, a miał skrzynię z jakimś wybuchowym cholerstwem. Ot i wszystko. Dlaczego pani nic nie mówi, Beato?

Burmistrzowa tylko wzruszyła ramionami.

– Jestem zdruzgotana. Brakuje wam zimnej krwi i trzeźwego oglądu sytuacji. Nie widzicie, że praktycznie nie mieliśmy wpływu na to, co zaszło. Ktoś z zewnątrz zadał sobie trud, by do nas dotrzeć, poznać nas i wciągnąć w pułapkę. A wszystko z chęci uzyskania jakichś dokumentów od Wilhelma...

– Aha, czyli pani zdaniem to Mayer jest wszystkiemu winny? – zirytował się Rahm.

– Nie. Winna prawdopodobnie jest polityka. Ci ludzie mają jakiś mroczny plan i nic ich nie powstrzyma. No, chyba że Wilhelm da im te dokumenty.

– Tylko czy oni dotrzymają słowa i nas wypuszczą żywych? – spytała głucho Gertruda. Po czym bez pardonu stłukła szybę w jednej z szaf i wyjęła zabytkową talię kart.

Pani Beata nie protestowała. Sama też chętnie poznałaby przyszłość.

Wilhelm Mayer także nie miał pewności, czy może zaufać Malmowi i jego kompanom. Czy można negocjować z terrorystami? Wyobraził sobie, że przywozi plany i wręcza je tym radykałom. Jeśli te plany mają im do czegoś posłużyć, to chyba powinni zachować to w tajemnicy? A dyskrecję zapewni tylko brak świadków. „Zabijają ich i mnie. Gdy tylko dostarczę im plany. Upozorują zbiorowe zatrucie albo pożar, albo... albo po prostu zastrzelą nas i zamurują trupy w piwnicy. To przecież takie łatwe”. Mayer zagryzł wargi. Dlatego wziął z domu żądane plany, ale zajął też na policję. Basil junior był zajęty. Mayer nie miał jednak czasu, by czekać – terroryści dali mu trzy kwadransy. Zdyszany wpadł do gabinetu, w którym zastał młodego Basila w towarzystwie ojca. Palili cygaretki, rozmawiając o dupie Maryni. W pięć minut przedstawił im sytuację, a potem biegiem rzucił się w drogę do Willi z Pruskim Murem, by zdążyć, nim Malm zacznie zabijać zakładników. Zamachowiec obiecał, że zacznie od Beaty. Gdy Mayer stanął z rulonem dokumentów w drzwiach willi, za jego plecami czaiło się w ciemnościach dwóch Bazilów i naprędcę ściągnięty po drodze posterunkowy.

– Zapraszam do środka – powiedział Malm do architekta, wywijając rewolwerem. – Nie będziemy rozmawiać w progu.

– Najpierw ich wypuść – zażądał Mayer.

– Nie. Najpierw ja i moi towarzysze przyjrzymy się planom. Nie chcemy dać się oszukać – odparł Malm.

– To jest tu ktoś jeszcze oprócz ciebie? – spytał Mayer.

– Za chwilę będzie. Nie bądź pan taki ciekawy – odparł Malm zirytowanym tonem i wymierzył broń w architekta. – No dalej, wchodź!

W zaroślach młody i stary Bazil wymienili spojrzenia.

– Teraz albo nigdy – szepnął weteran Huzarów Śmierci do syna. – Teraz mamy przewagę!

– To ryzykowne – odparł młody Bazil. Wyobrażał sobie, że porywacz może być obwiązany laskami dynamitu.

– No już! – popędził go stary. – Albo wydasz rozkaz swojemu człowiekowi, albo idę sam.

– Chcesz ryzykować życie dla kobiety, którą publicznie obraziłeś? – syknął syn.

– Dla Brygidy? Cóż, zemsta jest słodka i ma różne oblicza... – powiedział Bazil i nie czekając już dłużej, wyskoczył z zarośli. Bez słowa ostrzeżenia strzelił do Malma.

Chybił.

– Poddaj się, jesteś otoczony! – krzyknął młody Bazil, a żandarm u jego boku miał świadczyć, że nie żartuje.

Malm zasłonił się Mayerem jak tarczą.

– Sami tego chcieliście – mruknął, a potem pchnął architekta w stronę przeciwników i zatrzasnął drzwi, nim dosięgły go kolejne kule. W powietrze pofrunęły rulony z planami Mayera.

– Dalej! – zawołał stary Bazil. – Nie ma chwili do stracenia!

Stary najpierw z rozpędu napał na drzwi, potem spróbował tego samego z pomocą Mayera, ale najwyraźniej drzwi zostały czymś zabarykadowane.

– Tędy, tędy! – zawołał młody Bazil, wspinając się na parapet i kopniakiem wybijając szybę w oknie domu. – Wypuść ich, lotrze! – krzyknął, gramoląc się do środka.

– Może jednak pójde po posiłki albo pobieram te dokumenty? – rzucił przerażony żandarm, pozostający w tyle za Bazilami.

Nie da się opisać grozy, jaką poczuli zakładnicy na piętrze budynku, słysząc strzały i krzyki. Tylko Gertruda nerwowo wykladała ostatnie karty.

– To już bez znaczenia. – Dorota próbowała rozrzuć karty królowej drobiu, ale ta z gniewem odtrąciła jej rękę.

– Sprawdzam, kto z nas przeżyje – wysapała.

– Spokojnie, zaraz się dowiemy. – Uecker rozbił szafę z eksponatami w kącie pokoju przeciwnym do wejścia i zaczął wciskać się do środka.

– Myślałem, że króla drobiu stać na lepszą trumnę – sarknął Rahm, cały blady.

– Wymiotować mi się chce, jak na was patrzę – rzuciła Beata i z całej siły naparła na drzwi. – *Rien ne vas plus* – wyszeptła przed drugim uderzeniem.

Rahm próbował ją złapać i powstrzymać, ale nie zdążył. Dorota tylko się przeżegnała. Gertruda dalej skupiona była na kartach, jakby nie chciała odczytać przyszłości, lecz nią pokierować. Uecker, skulony w trzech ściany szafy, zakrył głowę rękami.

Wtedy nastąpiła eksplozja.

Potem były dym i cisza. Wyłonili się z nich Kilemann i Orłowski. Gorączkowo preciskali się między parującymi ruinami. Wykrzykiwali imiona i nazwiska. Odpowiadały im wrzaski i jęki.

SPRAWIEDLIWOŚĆ

– I czyż nie ma w świecie sprawiedliwości? – spytał młody Bazil.

Pomimo obandażowanej głowy i rąk głos miał zadowolony. W wybuchu nie zginął żaden z zakładników. Byli ranni, zszokowani, ogłuszeni, ale żyli. Śmierć poniósł tylko Malm, przywalony drewnianym sufitem. Dorocie leciała krew z ucha. Uecker i Beata wyglądali na zszokowanych, nie potrafili wydusić z siebie ani słowa. Gertruda tępo patrzyła na fruujące w powietrzu kawałki kart. Mayer był najciężej potłuczony, ale żyw. Brygidę, swoją lekko posiniaczoną boginię, wyniósł na rękach Orłowski. A zaraz po tym wyprowadził ze zgłiszcz rannego starego Bazila. To mogło oznaczać – zamiast kolejnego pojedynku – początek pięknej przyjaźni.

Były jednak też rzeczy niepokojące, o których oficer śledczy wolał nie mówić. Jego żandarma znaleziono nieprzytomnego, bez munduru i bez pamięci, co się stało. Zniknęły też plany, które zbierał. Dla Kilemanna było oczywiste, kto ogłuszył policjanta i zabrał projekty Mayera. To musiał być Witte, który po ucieczce spod chaty dostał się w pobliże wysadzonej willi i skorzystał z okazji, by jednak zdobyć poszukiwane schematy. To jednak na moment nieoczekiwanie zeszło na dalszy plan. Podczas przeszukiwania ruin Willi z Pruskim Murem znaleziono jeszcze jedno ciało. Zamurowane w ścianie piwnicy, która nie wytrzymała eksplozji. Kilemann znał te osobę. Wszyscy myśleli, że wyjechała z Lyck i rozpoczęła nowe życie gdzie indziej. A tymczasem została zabita. Doktor liczył, że także tą sprawą będzie mógł się zająć. Był w błędzie. Dwa dni później pojawił się u niego w mieszkaniu wysoki urzędnik z prokuratury w Königsbergu. Towarzyszył mu rozsierzony syn Ueckera, początkujący prawnik.

– Ależ pan narobił tu bałaganu – oznajmił bezceremonialnie doktorowi.

– Ja?

– Tak, pan. – Urzędnik oskarżycielsko wyciągnął palec. – Z raportu pana Bazila wynika, że doszło do przekroczenia kompetencji: przeszkadzał pan w śledztwie, wręcz prowadził własne dochodzenie. Co pan sobie wyobrażał? Że kim pan jest? Naczytał się pan tych bzdurnych angielskich opowiadań i postanowił zostać detektywem?

Ta tyraada trwała jeszcze kwadrans, po którym Kilemann tylko uśmiechnął się chłodno.

– Wie pan co, w tej sprawie będę rozmawiał tylko w ministerstwie – odparł i zupełnie ignorując urzędasa, podszedł do swego biurka, by przejrzeć korespondencje.

– W ministerstwie! – Gość zdębiał. – Za kogo pan się uważa?

Doktor bezceremonialnie przekładał listy. Potem, jak gdyby nigdy nic, sięgnął po nóż, by otworzyć jeden z nich, od Korda.

– Pan mnie ignoruje? – wyszczał człowiek z prokuratury w Königsbergu. – Zapłaci mi pan za to! – zagroził i spojrzał znacząco na młodego Ueckera. Ten jednak nie powiedział nic, tylko bacznie przyglądał się metalowemu kozikowi Kilemanna, jakby gdzieś już go widział. Nagle spojrzenia jego i doktora spotkały się. Kilemann też był zaskoczony, jednak w ułamku sekundy wszystko stało się dla obu mężczyzn jasne. To było jak olśnienie, po którym młody prawnik nagle stracił rezon.

– Skoro tak, to nic tu po mnie. Bardziej przydam się ojcu, ktoś musi zadbać o nasze interesy, a on ma ciągle migreny i zawroty głowy.

– Jak to? Przecież mówil pan, że nie może tego tak zostawić? – zdziwił się jego towarzysz z Königsbergu.

Gdy Uecker wyszedł z pokoju bez słowa pożegnania, on wciąż nie dawał za wygraną.

– Nie wiem, skąd bierze pan taką pewność siebie, ale poruszę niebo i ziemię. Jak to mówią, są jeszcze sądy w Berlinie! – rzucił zawziętym głosem.

Nie wiedział jednej rzeczy. Nie zdawał sobie sprawy, że całą swoją karierę Kilemann oparł nie tylko na swej wiedzy, docieklivości i innych talentach. W życiu towarzyszyła mu też przekazana *Głosowi Księga Śmierci* jego ojca. A w niej znajdowały się dowody na zbrodnie popełniane w zacnych berlińskich rodzinach. Zbrodnie, na które kilkadziesiąt lat temu władze przymykały oko, ale które wciąż mogły zainteresować prasę i wywołać skandal. Nikt w Lyck, nikt w całych Prusach Wschodnich nie miał tak mocnych pleców jak Kilemann. Nikogo nie wspierał tak silny Głos. Wiem, że szantaż to coś podłego – mówił sobie doktor od lat – lecz jeśli wykorzystuję go w dobrej sprawie, to chyba jest do przyjęcia?”

Całe popołudnie Kilemann spędził na pisaniu listu do swojego korespondencyjnego przyjaciela Kamila Korda. Przede wszystkim chciał mu podziękować. „Dostałem długo oczekiwany list od pana Frankenstein. A w nim informację, że dzięki pańskiemu wsparciu może liczyć na pracę w Nowym Jorku. Czeką go więc nie Breslau, a Ameryka, dlatego tak długo się do mnie nie odzywał, załatwiając rozmaite formalności. Bardzo panu dziękuję za pomoc. Nie jest to mój protegowany, lecz człowiek, który okazał mi wielkie zaufanie. Walczył z nikczemnym stowarzyszeniem, które omal nie pozbawiło go życia. Dzięki dziwnym wyrokom niebios – jeśli wierzyć, że istnieją, co w moim wieku zdarza się już coraz częściej – kręgosłup tego klubu został złamany, i to w przedziwnych okolicznościach. Jego uczestnicy, dotąd zadający ból innym, nagle sami stali się ofiarami. Postawieni oko w oko z terrorystami, ludźmi gotowymi dla idei zabijać i ginąć, nagle stracili dawny zapał. Skłócili się, każdy poszedł we własną stronę. Sprawilioby mi większą satysfakcję, gdyby prawo ukarało ich za to, co zrobili wcześniej, ale dobre i to. Trudno być maksymalistą w tych czasach. Na dodatek jeden z nich – znany architekt – najwyraźniej nawiązał romans z młodą wdową po burmistrzu, niejaką panią Beatą. Zwłoki jego małżonki, co do której panowało przeświadczenie, że przebywa za granicą, znaleziono zamurowane w willi zniszczonej przez wybuch, a należącej do wesołej wdówki. Jak to inaczej wytłumaczyć niż wspólną zbrodniczą inicjatywą kochanków? Zadziwiająco są wyroki niebios, jak już pisałem. I tym razem wyjątkowo zawierzę miejscowej policji. Czeką mnie bowiem podróz dużo istotniejsza, by rozwiązać sprawę jeszcze ważniejszą, która może ocalić tysiące ludzkich istnień.

Mam nadzieję, że i panu niebosia będą sprzyjać. Może w końcu dopadnie pan Kubę Rozpruwacza albo chociaż ustali, czy i gdzie mógł jeszcze uderzyć. Podziwiam pana pomysł, by ustalić tożsamość tej biedaczki zamordowanej w Ameryce. Może i ma pan rację, że to nie mniej ważne niż znalezienie mordercy. Żaden człowiek nie zasługuje, by zejść z tego świata bez śladu. Kto wie, czy w swoich poszukiwaniach nie będzie musiał pan wybrać się nie tylko do Liverpoolu, ale też do Hamburga? Stamtąd już nie tak daleko do mnie, na Mazury. Zapraszam”.

Wybuch w willi, nawet na obrzeżach miasta, nie powinien przejść bez echa. Zwłokami chemika i Malma zajęła się jednak policja, tak jak wcześniej martwym ciałem Akrobatki. Nikt więcej nie zginął. Można było udawać, że to tylko pożar, w wyniku którego wybuchł zbiornik z naftą. Także połamana ruletka nikogo nie interesowała – nie bardziej niż fruujące karty ze zniszczonej kolekcji świętej pamięci burmistrza. Nikomu z uczestników terrorystycznego incydentu w Willi nie zależało na tym, by wieści o nim się rozeszły. Policja wołała zamieść całą sprawę pod dywan. Raporty utajniono i wysłano do Berlina. Dziennikarzy było w Lyck niewielu i żaden z nich niczego nie wywęszył. Nic dziwnego, bo większość z nich emocjonowała się wtedy wydarzeniami w Konitz. Bez względu na wiarę i pochodzenie. Nawet publicysta polskojęzycznej „Gazety Ludowej” w artykule *O żydach* ostrzegał w większym stopniu

przed Żydami niż – jak dotąd – przed germanizacją: „Gdy rozeszła się wieść po całym świecie o haniebnym morderstwie, którego dopuszczono się na chrześcijaninie, 17-letnim gimnazjaliście Winterze w Chojnicach, serce człowieka bolało a tym bardziej, że podejrzenie padło pierwotnie na żydów, tych to właśnie naszych kieszonkowych przyjaciół. Niejeden pomyślał sobie, że przyszła wreszcie kryśka na Matyska, a na żydowskie geszefty koniec; bo przypuszczać było można, że morderstwo tego rodzaju każdemu prawemu chrześcijaninowi powinno być miarodajnym, jak się wobec tego wszystkiego przeciw niektórym żywiolom zachować trzeba. Niestety, ale tak nie jest, bo przekonałem się na własne oczy, że my Mazurzy z wyjątkiem jednostek jesteśmy zaślepieni do najwyższego stopnia, a na dowód tego opiszę to, com osobiście doświadczył.

Będąc w przeszłym tygodniu za różnymi interesami w Elku, a przypadało to właśnie w dzień targowy, to też miałem sposobność różnych braci Mazurów zobaczyć i z nimi o tym i owym pogawędzić. Czasu dużo nie miałem, jednakowoż mogłem obejść rynek dookoła, czyniąc to z samej ciekawości, chcąc się przekonać, czy tam się usłyszy język ojczysty. Niestety słyszeć go można było bardzo mało, tu i ówdzie słyszałem tylko jeszcze starszych poczciwców rozmawiających polskim językiem. Natomiast młodszy to jakby zakłęci szwargotali niemiecką, kalecząc ją w okropny sposób tak dalece, że bodaj Niemiec czystej wody by to zrozumiał. Smutno robiło mi się na sercu, bo gdy bywałem przed jakie 20 laty na targach w Elku, nie usłyszał tam człowiek innej mowy, jak tylko mowę swojską, mowę mazurską.

Chodząc za interesami, zajrzałem do jednego, drugiego i trzeciego chrześcijańskiego składu, które stały jak latarnie próżne. Idąc dalej, widzę w jednym składzie bardzo wiele ludzi, przepchać tam się prawie była niepodobna, był trzask nie do opisanego. Przystanąłem i słucham, aż wreszcie przekonuję się, że interes ten jest żydowski, a ludzie doń się cisnąwszy, byli przeważnie Mazurzy. Jednym słowem wszystkie handle żydowskie napełnione zastałem wyłącznie ludem mazurskim, natomiast w handlach chrześcijańskich panowała cisza grobowa. Patrząc na to, smutek ogarnął mnie ponownie, nie chciałem dowierzać, że ludek nasz jest jeszcze tak ograniczony, tak ciemny i niezdolny cenić, co dobre, a co złe.

Zastanówmy się dobrze, co za korzyści mieliśmy i mamy z żydów, czy w końcu może aby jeden chrześcijanin powiedzieć: mnie żydzi dopomogli, im mogę całe moje mienie zawdzięczać. Na całych Mazurach bodaj taki człowiek się znajdzie, a jednakowoż lud nasz wiedząc o wyzyskiwawczych sposobach żydowskich, ciągnie do żydów jakby ci darmo towary oddawali. Wspomnimy tylko, ilu to już naszych braci, którzy bez żydów żyć nie mogli, myśli przy żydowskiej pomocy o kiju żebraczym [... To mamy nazywać pomocą... Na razie nie odczuwa się tej pomocy, ale jak się później obrachuje, to tę pomoc żydowską wynagradza się trojako i dopóki na wynagrodzenie starczy. Jak tego nie ma, żebyś konał z głodu kochany Bracie, to ci żyd nie pomoże, bo on tylko tam pomaga, gdzie dużo zarabiać może.

Niechaj to posłuży czytelnikom »Gazety Ludowej« za dobry przykład, a tym więcej tym wszystkim, którzy się bez żydów obyć nie mogą, chcąc pozostać na własnym kawałku ziemi ojczystej. Znajdą się potrzeby w zakupieniu towarów, garderoby itd., to kupujemy z chrześcijańskich interesów i popieramy swego, i bądźmy przekonani, że tam zakupimy towary po tej samej cenie, jak w żydowskim interesie. Zresztą u chrześcijanina nie masz tego rafinowanego charakteru i sprytu do oszukania bliźniego i oddaje towary dobre i rzetelne po cenach przystępnych. Żyd czyni inaczej, na jednym towarze niby z wielkim targiem opuści, a na drugim to zedrze dubeltowo, a przy tym wygaduje, zaklina się na wszystko, że nic nie zarobił. Kto temu wierzy, ten niech będzie przekonany, że żyd go oszukał nie lada, a że go oszukano, to już sam sobie jest winien”⁴⁰.

Z tego artykułu z pewnością ucieszył się Rahm, z lubością śledzący polskojęzyczne publikacje. Tymczasem 27 maja w Konitz w końcu odbył się pogrzeb Wintera. Jak przewidywały władze w Berlinie, było niespokojnie. Zwłaszcza że do miasta przybyli tłumnie goście z sąsiednich miejscowości. Do rozruchów antyżydowskich doszło w Stolp⁴¹, Lauenburgu⁴², Bütow⁴³ i Rummelsburgu⁴⁴. Uspokoilo się dopiero latem. Być może stało się tak po starciach w Lauenburgu. Tłum wybijał tam okna w żydowskich domach i sklepach, rozkradał ich mienie. Startł się nawet z żandarmerią. Dostało się także przedstawicielom władz lokalnych i instytucji państwowych. Mogło być jeszcze gorzej, gdyby nie interweniowało

wojsko. W lipcu, w Stolp, odbył się proces najbardziej aktywnych uczestników rozruchów. Większość z nich stanowili gimnazjaliści, czeladnicy i robotnicy. Skazano dwadzieścia pięć osób, zasądzając kary od tygodnia do trzech lat pozbawienia wolności⁴⁵.

Sprawy morderstwa Wintera nigdy nie rozstrzygnięto – być może nie chcąc prowokować kolejnych zamieszek. Niezależnie bowiem od zebranych poszlak każdy wyrok, poza skazaniem żydowskich sąsiadów, stanowiłby pretekst do następnych antysemickich i antypaństwowych protestów. Panowała opinia, że Żydom wszystko uchodzi na sucho, choć za obelgi i kalumnie, jakimi ich obrzucano, właściwie nikt nie został ukarany. Ropień nienawiści rósł. Trzeba było być ślepym, żeby nie zauważyć, że kiedyś znów pęknie.

Nawet jeśli władze w Lyck udawały przed mieszkańcami, że w Willi z Pruskim Murem doszło do pożaru, pozostawała do wyjaśnienia sprawa niemal zmumifikowanej pani Mayer, znalezionej za ścianą piwnicy. Z oczywistych powodów podejrzani byli kochankowie, którym zmarła stała na drodze do szczęścia. Ba, ktoś docieklivy mógłby wpaść na pomysł, by ekshumować zmarłego męża pani burmistrzowej i sprawdzić, czy nie doszło do zatrucia arsenikiem. Wilhelm i Beata najwyraźniej nie byli niewinni jak Romeo i Julia. Tyle że architektem zajęli się tajniacy z Ministerstwa Spraw Wewnętrznych, bardziej zainteresowani tym, co było w jego planach, niż losem jego żony. Bredził, że chciał być nowym Archimedesem, a przypadł mu w udziale los Dedala. Przełał ludzką krew, został przeklęty i żadne wynalazki nie mogły tego zmienić. Zagubił się w labiryncie uczuć i ambicji, bliskim zgotował tragiczny los przez swój zbyt śmiały lot przez życie. Funkcjonariusze policji nie byli jednak zbyt skłonni analizować jego metafory. Gdyby było trzeba, połamaliby mu palce i wybili zęby. Więc szybko zaczął mówić do rzeczy. A kiedy zainteresowali się jego badaniami nad „promieniami śmierci” Archimedes, poczuł nagle, że może nie wszystko jeszcze stracone. Skoro terroryści wierzyli w tę cudowną broń, to i cesarstwo musiało ją sprawdzić. A dzięki temu Mayer, człowiek zbędny, wyrzutek, więzień stawał się na powrót umysłem cennym dla cesarstwa.

Jedynie dla pani Beaty nie było ratunku. Nie w Niemczech. Najchętniej uciekłyby do Monte Carlo, ale jak? Uciekła więc w niepamięć. Lekarz orzekł, że wskutek wybuchu doznała wstrząsu mózgu. Gdy przyszła do siebie, stwierdziła, że niewiele pamięta. Nawet o sobie samej. A jednak pamiętała, gdzie schowała biżuterię i pieniądze. Pamiętała, jak się jeździ konno, gdy ruszyła z kopyta na południe, do granicy Kongresówki. Minęła po drodze morza gęsi Ueckera. Pod osłoną nocy minęła graniczną rzekę i stary trójstyk z herbami nieistniejących już państw. Była bezpieczna, bez nazwiska, bez przeszłości. „Tak dobrze mi poszło, że mogłabym zostać przemytniczką” – pomyślała. Zostawiła luzem konia. Wrzuciła do rzeki kapelusze i płaszcz. Niech ścigający ją pomyślą, że utonęła. Ruszyła piechotą. Raniem zobaczyła przed sobą cygański tabor. Kilku mężczyzn uczyło tam małego niedźwiedzia grać na bębenku, grupa dzieci przyglądała się temu z uciechą. Kobiety w chustach patrzyły na Beatę jak na intruza. A w dali za taborem widać już było przygraniczne miasteczko, w większości zamieszkałe przez Żydów. To był koszmar Rahma i Klubu Dobrego Porządku. Lecz dla Beaty – szansa na nowe życie. A może nawet szansa na podróż do Monte Carlo.

Do rozmowy Kilemanna w ministerstwie faktycznie doszło. Miała jednak inny przebieg, niż zapowiadali zarówno urzędniczy, jak i Mayer. Doktor trafił do tajnego radcy, który był prawą ręką samego sekretarza spraw wewnętrznych, ministra stanu Prus i wicekanclerza cesarstwa grafa von Posadowsky'ego-Wehnera. Do tajnego radcy, którego poznał dawno temu i na początku kojarzył tylko jego głos. Kilemann nie zamierzał się tłumaczyć. Głos znał go zbyt dobrze. Doktor chciał zapobiec spiskowi, w który nikt nie chciał uwierzyć. Działał, aby niechlujstwo policji znów nie doprowadziło do tragedii.

– Mam tu listę projektów wykradzionych od tego architekta. – Głos zaszeleścił dokumentem, który miał na biurku. – On sam podczas przesłuchania najwięcej mówi o projekcie broni zwierciadlanej, nad którą pracuje od lat. Nad „promieniami śmierci” Archimedes’a.

– To bzdura. – Kilemann pokręcił głową. – Chyba pomieszało mu się w głowie po wybuchu.

– Doprawdy?

– Tak. Nikt nie poświęcałby czasu na takie mrzonki, skoro miał pod ręką znacznie doskonalszą sposobność do zaprowadzenia terroru.

– Mianowicie? – zaciekawił się Głos.

– Nim o tym opowiem, chciałem uczulić władzę na pewien problem.

Wyjął z kieszeni list i kozik od Frankensteina. Potem krótko opowiedział o działalności MaUeR-a w Lyck. Głos słuchał bez większego zaangażowania. Przejrzał list, pobawił się kozikiem, potem zwrócił je Kilemannowi.

– Rozumiem i przyjmuję do wiadomości. Poradziliśmy sobie w Konitz, poradzimy i gdzie indziej. Nie traćmy czasu na takie banały.

– Zależałoby mi, żeby władze tego nie zignorowały. Inaczej...

– Inaczej co? – podchwycił Głos groźnym tonem. – Pamiętaj, na czym opiera się od lat nasza współpraca, Kilemann. Na zaufaniu. Uwierzyliśmy ci, że oddałeś wszystkie materiały swojego ojca, inaczej spotkałaby cię sroga reprimenda, że tak powiem. My wspieramy cię jako człowieka, na którego można liczyć.

„I który nigdy wam się nie sprzeciwi” – dopowiedział doktor, lecz tylko w myślach.

– Skoro to sobie wyjaśniliśmy – kontynuował Głos – wróćmy do rzeczy najistotniejszych: jaki twoim zdaniem jest plan terrorysty?

Kilemann zamyślił się na kilka sekund, po czym spytał:

– Zna pan może opowiadanie *Skradziony bakcyl* angielskiego autora Wellsa?

* * *

Jako człowiek praktyczny Witte pojmował, że po stracie współtowarzyszy jego plan zatrucia wodociągów w całym Berlinie jest niemal niewykonalny. Musiałby mieć wyjątkowo dużo szczęścia, żeby mu się powiodło. Dlatego miał też drugi, nieco mniej spektakularny projekt. Otóż planował zakazić tylko ujęcie wody w okolicach nowego budynku Reichstagu, wybudowanego w miejscu pałacu hrabiego Atanazego Raczyńskiego i oddanego do użytku w roku 1894. Wcześniej jednak musiał się ukryć. Lękał się schwytania tylko dlatego, że uniemożliwiłoby mu realizację jego planu. Nie bał się wcale przesłuchań i więzienia. Zwłaszcza teraz, gdy został sam. Witte nie lękał się śmierci, bo niczego już nie mogła mu odebrać. Całe swoje życie nazywał pasmem klęsk, niespełnionych nadziei i brutalnych rozczarowań. Talent, edukacja, wiara – nic nie zapewniło mu szczęścia i satysfakcji. Żył z piętnem żalu, wstydu i straty. Dom w Wielkopolsce jego rodzice, wyrugowani przez pruskie władze, stracili. Matkę pogrzebał w dzieciństwie, jego ojciec – złamany życiowymi klęskami – zaczął wysługiwać się Niemcom. Świetnie znał się na koniach, został masztalcerzem u bogatego Prusaka, a za zarobione pieniądze zapewnił synowi porządną edukację w Berlinie. Rozmawiał już tylko po niemiecku, ukrywał polskie korzenie. Nawet zmienił nazwisko z Witkowski na Witke (co syn bez trudu przerabiał w swoich dokumentach, służących do celów konspiracyjnych, na Witte). Ojciec nie był świadom, jak bardzo syn tego lokajstwa nie nawidzi.

– Zachary, bardzo jesteś dziś zamyślony – usłyszał głos ojca, gdy odwiedził go po ucieczce z Lyck.

– Taki już jestem – odparł syn.

– Skoro mnie odwiedzasz, to może wykazałbyś jakieś zainteresowanie tym, co u mnie się dzieje?

– Zawsze musisz mieć do mnie pretensje?

- A może się zakochałeś? Uważaj na francuską chorobę. Dzisiaj każdy...
- Daj spokój – warknął zażenowany syn. „Franca” była stałym wątkiem w rozmowach z ojcem.
- A jak sobie radzisz w tym Wiedniu? – Stary po paru sekundach namysłu zmienił temat. Był przekonany, że syn pracuje w austriackim banku.
- Znakomicie – odparł lakonicznie młody.
- Może powiesz mi, w co warto inwestować, żeby mieć zapewnioną godną starość? A może i panu Bauerowi bym coś szepnął, utrzymanie stadniny to niełatwa sprawa...
- Teraz to ty nie wykazujesz zainteresowania tym, co dzieje się u mnie, tylko spragniony jesteś wskazówek, jak pomnożyć pieniądze sobie i swojemu... panu! – prychnął młody Witte.
- Bo skoro nie możemy rozmawiać jak ojciec z synem, to porozmawiajmy jak ludzie interesu. Dałem ci wykształcenie, teraz stołujesz się u mnie na wakacjach...
- Więc mam czymś się zrewanżować?
- Choćby błahostką. Czemu nie? Może wypłynąłbyś ze mną na ryby? Wiesz, że czasem łowią z samym panem Bauerem?
- Nie, dziękuję. Jutro wyjadę. Przy tych koniach dookoła zawsze dopada mnie zły nastrój.
- Ale to nie moja wina, synu?
- Nie, to wina koni.
- W jakim sensie? – zdziwił się stary.
- Zawsze wydawały mi się takie wolne. Teraz widzę, jak bardzo są ujarzmione.
- Witte podszedł do okna wychodzącego na stadninę. Pożegnał się i wyszedł.
- A gdzie miałyby lepiej? – Ojciec powiódł za synem pustym wzrokiem.

Witte przejrzał gazety. Działo się dużo. Zamordowanie króla włoskiego. Król Włoch Humbert I zginął z rąk włoskiego anarchisty. Został zastrzelony podczas konkursu gimnastycznego w Monzy. Zamachowiec zeznał, że była to zemsta za ostrzelanie z armat robotników strajkujących w 1898 roku w Mediolanie. Rewolucja w Chinach. Niemcy drżeli o los swoich misjonarzy i dyplomatów. Chińscy rebelianci chcieli pozbyć się obcych wpływów. Jednak w drodze były już kontyngenty wojskowe wysłane przez mocarstwa. Niemcy, Wielka Brytania, Francja, Rosja, ale też Japonia, USA, Włochy i Austro-Węgry – wszyscy chcieli podzielić się chińskim tortem. Gdyby upadł Pekin, los powstania bokserów byłby przesądzony. Wojna afrykańska. Po początkowych niepowodzeniach Brytyjczycy przełamywali opór zawziętych Burów. Zajmowali kolejne ich bastiony, aczkolwiek nie potrafili zadać ostatecznego ciosu. Burskie oddziały wielokrotnie wymykały się brytyjskim wojskom zmuszonym walczyć w nieznanym i nieprzyjaznym południowoafrykańskim terenie. Lecz stosowana przez Brytyjczyków polityka spalonej ziemi oraz koncentrowanie burskich kobiet i dzieci w obozach, w fatalnych warunkach, musiły w końcu przynieść efekt. W prasie można też było wyczytać informacje o okrucieństwach belgijskich w Kongo, gdzie w pogoni za zyskami niewolono ludność, opornych brano w kajdany, palono wioski, dla postrachu obcinano czarnym robotnikom ręce. Przy tym wszystkim Niemcy – uczestniczący w kolonialnym wyścigu od niedawna – mogli poczuć się jak kulturalny i cywilizowany naród. Bo przecież wyzysk, antyżydowskie incydenty czy agresywna germanizacja Polaków to betka w porównaniu z koszami obciętych rąk czy zamykaniem głodujących kobiet i dzieci za drutami kolczastymi. Kajzer musiał tylko uważać na anarchistów, by nie wyekspediowali go z tego świata do nieba, jak Humberta I.

Witte poszedł do pracy. Wrócił do nazwiska Witke i posługiwał się legalnymi dokumentami, nikt nie mógł się do niczego przyczepić. Wykształcony, elokwentny, bez trudu dostał posadę w berlińskich wodziągach. Poświęcił kilka tygodni na znalezienie miejsca, do którego mógłby bez trudu dotrzeć z za-

bójczym środkiem i gdzie byłby w stanie niepostrzeżenie go użyć. Wydawało mu się, że wszystko jest na dobrej drodze. I właśnie wtedy spotkał, na moście nad Sprewą, Kilemanna.

– Tylko spokojnie, Witke – odezwał się doktor. – Obie strony mostu są obstawione. Żadne nerwowe ruchy panu nie pomogą.

– Jakim cudem pan mnie odnalazł? I skąd pan zna...

– To bardzo proste – odparł Kilemann. – Gdy zabrał pan strój żandarma w Lyck, zostawił pan po sobie w krzakach porzuconą marynarkę. A w niej kartę paszportową. Zdziwiło mnie, bo nie wyglądała na fałszywą. To by znaczyło, że naprawdę nazywa się pan Witte. Lecz to klóciło się z całą moją wiedzą i praktyką dotyczącą działalności bardziej wyrafinowanych przestępców, takich jak pan. Wtedy przyrzekałem się dokumentowi jeszcze dokładniej i wykryłem, jak sprawnie przerobił pan literkę k na t.

– Widać nie dosyć sprawnie, skoro pan to wykrył – mruknął Witte.

– Miałem też uzasadnione podejrzenia, co do pańskiego celu. Coś w Berlinie. Przecież nie mógł pan wierzyć w te bajania o promieniach śmierci. Terrorysty nie szukają broni jeszcze nieskonstruowanych, lecz już dostępnych i sprawnych. Podejrzewałem, że zatrudni się pan w Berlinie, blisko celu. Dlatego doradziłem władzom, by śledziły, gdzie w najbliższym czasie obejmie posadę ktoś o nazwisku Zacharias Witke. Wyśmiali mnie, że to zadanie niewykonalne. Potrzebowałem bardziej skonkretyzować obiekt ataku. Zastanawiałem się, co też może pan wziąć za cel. Wydawało się oczywiste, że musi to być obiekt, którego plany pan zdobył. Rzucił mi się w oczy berliński tunel pod Sprewą, łączący Stralau i Treptow. Otwarty we wrześniu zeszłego roku, po kilku latach robót. Uważany za symbol postępu oraz siły wielkich przedsięwzięć i banków, które go sfinansowały. Pół kilometra, odcinek, na którym wypełniona ludźmi podziemna kolejka zdana jest na łaskę i niełaskę terrorysty.

– Tak, tunele to świetna pułapka na tłumy ludzi – przyznał Witte. – Lecz zaatakować go mogliśmy nawet bez planów Mayera.

– Co innego systemy wodociągowe Berlina.

– Owszem.

– No i proszę. Po nitce do kłębka doszliśmy do pana i znów się spotykamy... Czy pan dysponuje? Pałeczki dżumy przywiezione z Chin?

– O, tak. To byłby piękny symbol. Podczas gdy wojska zachodnich mocarstw tłumią chińskie powstanie bokserów, bakteria z Chin niszczy imperialną, kapitalistyczną Europę. Lecz pewnie pan wie, doktorze, że ostatnie prace Yersina i innych naukowców dały szansę na powstrzymanie tej plagi.

– Czyli nie zgadłem?

– Nie.

– Co więc pan ma? Może *Bacillus botulinus*? Jad kielbasiany?

– Jest pan na czasie, mógłby pan sam zostać terrorystą. Ale nie. Mam to, z czym Berlin zawsze miał problemy: bakterie przecinkowca cholery.

– Ale na to przecież opracowano szczepionkę. W Indiach, ten rosyjski uczonec... Haffkine.

– Chawkin – poprawił Witte. – Śledzi pan najnowsze odkrycia. Jestem pod wrażeniem.

– Interesują mnie plagi.

– No więc niech zainteresuje pana fakt, że mamy coś nowego. Nieznany w Europie azjatycki szczep cholery. Wystarczy, że wprowadzę pałeczki do sieci wodociągowej i za kilka dni Berlin będzie rzygał i srał, aż w końcu zdechnie. – W oczach Wittego błysnęło szaleństwo.

– I po co to wszystko?

– Świat czeka na zmiany.

– Jakim kosztem?

– Albo ich dokonamy teraz, albo w przyszłości zapłacą za nie miliony, a nie tysiące ludzi. Zobacz pan.

– Ja? Chyba pan. Pan jest dużo młodszy.

– Racja.

Witte raptownie wyciągnął coś z kieszeni i napał na Kilemanna. Doktor nie zdążył zareagować. Poczł tylko, że zimne ostrze zagłębia się w fałdzie skóry na jego szyi.

– Nie robi pan tego – wykrztusił doktor. – Kłamie pan, twierdząc, że jest bezwzględny i całkowicie oddany sprawie. Przecież ta ampulka z trucizną, którą polecił pan zaszyć w kołnierzu dziewczyny, wcale by jej nie zabiła. Nie chciał pan tego. Zamierzał pan ją ocalić, nawet gdyby wpadła!

– Pan to nie ona – wyszeptał Witte.

– Ale życie to życie – odparł doktor.

– No więc pan zobaczy przyszłość, nie ja. – Po tych słowach Witte odepchnął Kilemanna i wskoczył na balustradę mostu.

– Jeśli pan ją kochał... – Doktor chwycił się za gardło, jakby sprawdzał, czy nie splywa krwią.

– Kochałem Marię. I spieszo mi do niej – szepnął Witte i skoczył głową w dół w nurt Sprewy.

ROZDZIAŁ 12:

OGIEŃ

Kilemann rozpalil ognisko. Dorzucal do niego drev, az buchnelo wielkimi plomieniami. Wtedy cisnal w nie kozik i oswiadczenie Frankensteina – dowody przestepstwa, ktorego nie wyjasnil. Po nim wrzucil swoj zeszyt z kartkami z *Ksiegi Smierci*.

– Co to takiego? – spytal Orlowski.

– Nie moge ci powiedziec, przyjacielu. Znienawidzilbys mnie. Wiele szanujacych mnie osob mogloby zaczac mną gardzic – odparl Kilemann. Przed oczami stanela mu twarz Korda, jego korespondencyjnego przyjacielu.

– Nie wierze.

– Tym lepiej dla mnie. – Doktor usmiechnal sie blad.

– To moze chociaz wyjasnisz mi, o co chodzilo w spisku Wittego?

– Rzecz cala zaczela sie poza Niemcami. W Londynie poznalo sie czworo spiskowcow i utworzylo grupe, ktora postanowila wstrzasnac cesarstwem. Mozgiem byl Zachary Witke, z pochodzenia Polak. Jego wspolnikami – Malm i chemik znany nam jako Kluge, pewnie nigdy nie poznamy jego prawdziwego nazwiska. Potem doszla do tego grona Akrobatka – nieznana dziewczyna, zwerbowana przez Zacharego, dzialajacego juz pod falszywym nazwiskiem Witte. Z zeznan jej przyjaciolatek od ruletki wiem, ze mowila swietnie po niemiecku. Ale wiem, ze znala tez jazyk polski – do czego za chwile dojdziemy. Jaki wspolny cel polaczyl ich wszystkich? Nienawisc do imperiow. A ze pochodzili z Niemiec, a koszula blizsza cialu, to cesarstwa wiec nienawidzili. Dla Wittego i Akrobatki, o ile byla Polka, to okupant ich ojczystej ziemi. Nieliczacy sie z ludzmi potwor, ktory kiedykolwiek doprowadzi do swiatowej wojny i smierci milionow. Dla Malma i chemika cesarstwo to skostnialy system spoleczny, tlumiacy wolnosc i promujacy bogatych oraz dobrze urodzonych. Mieli wspolny cel, ale laczylo ich tez osoba Wittego. Z chemikiem dzielil naukowe zainteresowania, z Malmem poglady na swiat i wiarę w szokowa terapię dla Niemiec. Z Akrobatką zaś marzenie o wolności i, co by nie mówić, miłość. Pamiętasz, jak zerknąłem do środka zegarka, w który Witte tak zaglądał w hotelowym pokoju? Wygrawerowano tam napis po polsku: „Z miłości”. Dam głowę, że był to prezent od nieszczęsnej Akrobatki. Ale do tego też jeszcze dojdziemy.

A teraz, jeśli chodzi o to, jak przejrzałem całą siatkę i jej plan... Już badając ubranie Akrobatki, odkryłem zaszytą kapsułkę z czymś, co wyglądało jak trucizna. Nabrałem wtedy pewności, że chodzi o sprawę, za którą ludzie gotowi są oddać życie. Wprawdzie kapsułka okazała się pusta, jednak wewnątrz odkryłem nikle ślady cyjanku. Ktoś więc ją celowo opróżnił przed zaszcyciem. Witte nie tylko znał, ale i kochał Akrobatkę. Kiedy podczas wizyty u niego pokazałem mu celowo pomylone zdjęcie, rzekomo należące do włamywaczki, w pierwszym odruchu był bardzo zdumiony – spodziewał się bowiem wizerunku martwej ukochanej. Zauważyłem to zastanawiające zdziwienie!

– Ach, więc o to ci chodziło! – przerwał Orlowski, ale Kilemann kontynuował:

– Wracając do Akrobatki. Jej łachy wyglądały na obszarpane, ale wyprane. Była zadbana, choć zdecydowana zaryzykować życie. Witte wierzył oczywiście, że sobie poradzi. Zakochał się, a kiedy dziewczyna zginęła, załamał się. Śmierć jawiła mu się już jako wybawicielka od trosk. Przestał dbać o siebie, zaczął pić, z rozpaczny wymyślił plan z kompromitującym Mayera naszyjnikiem, a kiedy nie wypalił: postanowił zaminować willę i wziąć zakładników, by wydobyć od Mayera potrzebne schematy. Ten plan

był słaby. Witte zdobył wprawdzie plany, ale stracił wszystkich swoich ludzi. Mieli zamiar zaatakować berlińskie wodociągi przy pomocy azjatyckiego szczepu cholery. Nie wiem, czy Witte naprawdę by się na to zdobył. Ale próbował i był blisko. Zatrudnił się w wodociągach. Tak go znaleźliśmy.

– My?

– Ja i berlińska policja.

– Zabił się?

– Tak.

– A co z tymi bakteriami? Gdzie je przechowywał? Co się z nimi stało?

– Tego niestety nie wiem. I to mnie martwi.

– Policja pewnie wszystko sprawdzi i odnajdzie jego laboratorium.

– Tak? I co dalej? – Kilemann spojrzął na płomienie, wśród których zwijały się spopielone strony *Księgi Śmierci*. – Sami ich użyjemy przeciw jakimś naszym wrogom?

– Co masz na myśli, doktorze?

– Czytałem dziś mowę wygłoszoną przez naszego cesarza do wojsk jadących do Chin, by tłumić powstanie bokserów. Powiedział coś takiego: „Nikommu nie wybaczać. Nie bierzcie jeńców. Ktokolwiek wpadnie w wasze ręce, niechaj ginie. Tak jak ponad tysiąc lat temu Hunowie zyskali sobie złą sławę pod rządami króla Attyli, do dziś wspominaną w tradycji i baśniach, tak niech imię Niemców utrwalone zostanie w Chinach na tysiąc lat. Tak, by żaden Chińczyk nie odważył się nawet krzywo spojrzeć na Niemca!”.

– To tylko słowa, Kilemann. Byłem na wojnie, wiem, jak to jest – mruknął Orłowski.

– Od słów się zaczyna, potem lecą kule – odparł ściszym głosem Kilemann – Bałem się, że kolejny „pruski mór” zaatakują Niemcy. A równie dobrze to my możemy kogoś celowo zaatakować. Zgotowałem komuś zagładę.

– Wolisz być po stronie tych wszystkich rewolucjonistów, radykałów, terrorystów?

– Nie, ale po raz kolejny obroniłem ludzi, którymi w rzeczy samej gardzę.

– Masz na myśli berlińczyków?

– Nie kpjij. Wiesz, że chodzi mi o Rahma, Ueckera, Mayera i ich sympatyków. Właściwie nie zapłacili za nienawiść, którą siali.

– Mam wrażenie, przyjacielu, że ta sprawa wciąż ma wiele niewiadomych – westchnął Orłowski.

– No cóż. Życie to nie nowela kryminalna Poego czy Conana Doyle’a, nie wszystko musi być domknięte, nie wszystko łączy się w całość. Życie to nie *loculus Archimedi* – odparł Kilemann, a po chwili dodał jeszcze: – Pamiętasz grawer na naszyjniku znalezionym w gabinecie Mayera? „WM” to wcale nie jego inicjały. Kiedyś w tym puzderku tkwiły fotografie Akrobatki i nie Mayera, lecz jej ukochanego Wittego. Potem to drugie zdjęcie naprędce podmieniono dla dobrej sprawy. Zanim Witte popełnił samobójstwo, nazwał swoją ukochaną Marią, pewnie więc to było jej prawdziwe imię. Pamiętasz inicjały na naszyjniku znalezionym w gabinecie naszego architekta? Byliśmy w błędzie – to nie były wcale litery „WM” wskazujące na Wilhelma Mayera. To inicjały wykorzystane w przyprawie zbrodniczej weny, aby wprowadzić nas w błąd. „MW”, Edwardzie, oznaczało Marię Witte.

– A jednak znów przyjechałeś? – zapytał ojciec na widok Zacharego. – Co cię sprowadza? I co się z tobą stało? Źle wyglądasz. – Spojrzął na poranioną twarz syna, znoszone ubranie i poplamioną skórzaną torbę, niewyglądającą na walizkę eleganckiego pracownika banku.

– Miałem drobny wypadek – odparł Witte lakonicznie i zakasłał. W piersiach zarzęziło mu ciężko. Ojciec zaraz to wylapał.

– Nie chcę się wtrącać – zaczął – bo to twoja praca i pieniądze, ale...
– No właśnie. Lepiej zmieńmy temat.
– Wiesz co? – Stary pomyślał, że rozluźni atmosferę. – Pan Bauer znów zaprosił mnie dziś na ryby. Może popłyniesz z nami? Odpoczniesz. A on się ucieszy.
– O, doprawdy? – Witte nawet nie krył sarkazmu.
– Tak. Pan Bauer bardzo lubi, gdy mu o tobie opowiadam.
– Ciekawe dlaczego? Może myśli sobie, że to jego pieniądze szły na moją edukację? – zirytował się Witte.
– Nieważne, Zachary. – Ojciec tylko machnął ręką. – Wyływamy w nocy.
– W nocy? Dlaczego?
– Wtedy najlepiej biorą sumy – odparł stary.
– Aha. Nie boisz się?
– Czego? Pływać umiem jeszcze nie gorzej od ciebie, a ciebie wyszkoliłem przecież bardzo dobrze. – W oczach starego pojawiła się iskierka dumy. – Chyba nie zapomniałeś?
– Nie, skądże. – Witte uśmiechnął się jak człowiek, który wie więcej od swego rozmówcy, lecz nigdy tego mu nie zdradzi.

Umówili się więc, że popłyną wspólnie. Ojciec był szczęśliwy. Witte również. Gdy nocą czekali na przybycie pana Bauera – spóźnionego, bo który z bogaczy nie każe na siebie czekać – spoglądali wspólnie w gwiazdy. Jak w dzieciństwie, gdy matka jeszcze żyła.

– Myślisz jeszcze czasami o mamie? – spytał ojca.
Ten drgnął nerwowo, aż cała łódka się zakołysała. Nie odpowiedział, tylko zaraz zmienił temat.
– Nie za ciepło się ubrałeś? Po co ci taka szeroka i gruba peleryna?
Tym razem to Witte nie odpowiedział, tylko zmienił temat.
– A o Polsce myślisz czasem? – zapytał ojca. – Albo o naszej ziemi, której ślubowałeś nie oddać w obce ręce?
– Zabrała mi pół zdrowia. I matkę przez nią straciliśmy – syknął stary.
– Przestań! – obruszył się Witte.
– Sam zacząłeś! Musiałem przez nią zmienić całe swoje życie. Przez głupie marzenia o zachowaniu jakiegoś kawałka ziemi. A ona wcale nie jest tego warta. Pamiętaj, żebyś i ty nie popełnił takiego błędu.
– Nie martw się. Jestem wykształcony za niemieckie marki – odburknął Witte.
– I dobrze. Walkę zostaw głupim Polakom z Kongresówki. Nie ma takiej sprawy, za którą warto...

Stary przerwał, bo z ciemności wyłonił się korpulentny pan Bauer z charakterystyczną brodą niemal do pasa i z wędziskiem w wielkich łapach. Przywitał się grzeczniej ze „drogimi sąsiadami”, jak się wyraził. Potem długo dzielił się swoimi refleksjami na temat letnich igrzysk olimpijskich w Paryżu.

– Zdobyliśmy mniej medali nie tylko od Francuzów, Amerykanów czy Brytyjczyków. Rozumiem, że taki fenomen jak ten kowboj Baxter sam zdobył pięć krążków, w każdej dyscyplinie, w której startował. Ale nawet Belgowie czy Szwajcarzy wygrali więcej konkurencji od nas. Wyobrażacie sobie, panowie? – narzekał. – Niech ustanowią wędtkowanie sportem olimpijskim, to chętnie sam zdobędę jakieś laury dla cesarstwa, skoro młodszy nie dają rady. Inaczej następnym razem przegramy jeszcze z czarnymi i Indianami.

Witte nie mógł patrzeć, jak jego ojciec uśmiecha się i płaszczy przed człowiekiem, który de facto go zrujnował. Gdy wypływali na jezioro, bo sumy najlepiej brały na głębokiej wodzie, patrzył bez słowa na siłę i spokój bezmiar wody. Potem włożył rękę do kieszeni. Miał na sobie pod peleryną tyle materiału wybuchowego, że mógł jednym ruchem posłać do czarta całą tą łajbę.

– Hopsa! – Bauer ze śmiechem zarzucił swoje imponujące wędzisko. – Machaj wędą, ryby będą!

– Nikt nie ma tak szczęśliwej ręki jak pan – podlizywał się stary, poprawiając wędkę swoją i syna.

– A pan Zachary? – spytał Bauer. – Szczęśliwą ma rękę? Słyszałem, że do interesów? – Zaśmiał się do-
brotniwie. – Tak, ojciec trochę mi o panu opowiadał i o pańskich sukcesach.

Witte nie podchwycił tematu, więc szybko odezwał się stary:

– Wie pan, pochodzimy z biedoty. Wiele to kosztowało, by Zacharego wyedukować. Ja w młodości
byłem zadziorny, szukałem kłopotów. Niepotrzebnie. Dlatego bardzo się cieszę, że mój syn mógł wy-
brać inną drogę.

– Taaaa... – odpowiedział Bauer chrapliwie. – Polityka to jedno wielkie... – Zamiast dokończyć, splu-
nął za burtę.

Witte wyobrażał sobie, że jeszcze pół godziny, a będą wspólnie kłęli, rechotali, pluli i udawali, że
można żyć, jakby polityki nie było. Jakby o niczym nie decydowała. Jakby każdego dnia nie dawała nam
batów. Witte kiedyś chciał sławy. Pragnął przejść do historii. Nie udało się. Teraz chciał jednym ru-
chem uzasadnić swój sprzeciw, wykrzyzczyć gniew. Nie przed innymi ludźmi nawet, a przed Bogiem,
Absolutem, słońcem, okiem na niebie, jakimkolwiek wyższym Porządkiem. Chciał jednym ru-
chem zabić ojca i Bauera. Zabić przyszłość. Przed oczami widział tylko ukochaną kobietą twarz, gdy ści-
skał w dłoni detonator. A potem wykonał ten jeden, ostateczny ruch.

KONIEC

1 Elk

2 Hieronim Malecki

3 Chojnice

4 Za: Andrzej Luczak, *Romowie na Warmii i Mazurach*, Szczecinek 2015, s. 25-26

5 Jezioro Elckie

6 *Mauer* (niem.) – mur

7 Niemiecka Afryka Południowo-Zachodnia. Dziś znana jako Namibia.

8 W późniejszych czasach Pas Capriwego wielokrotnie zmieniał przynależność; zwłaszcza po II wojnie światowej stał się polem zbrojnych konfliktów.

9 Jego krewnym był SS-Obergruppenführer Erich von dem Bach-Zelewski, który w 1944 roku tłumił Powstanie Warszawskie.

10 Poznań

11 Olsztyn

12 Bydgoszcz

13 Bielsko-Biała

14 Chelchen – pol. Chelchy

15 Królewiec

16 Toruń

17 Gdańsk

18 Przechlewo

19 Jezioro Zakonne

20 szechita – żydowski rzezak, rzeźnik

21 Simon Young, *The Nail in the Skull and Other Victorian Urban Legends*, 2022, s. 165, 194

22 Na podstawie: „Kosmos. Czasopismo Polskiego Towarzystwa Przyrodników imienia Kopernika”, t. 2/1877, s. 235-236

23 Jean Baptiste Jaughey, *Słownik apologetyczny wiary katolickiej*, t. 1/1894, s. 210-213

24 Ibidem, s. 214

25 O przygodach Kamila Korda można przeczytać w powieściach *Przypadek Ritterów*, *Noc sztyletników*, *Krew Habsburgów* i *Czarny Kogut*.

26 Kostrzyn nad Odrą

27 Stare Juchy

28 Powiat chojnicki

29 Jedyny właściwie przypadek oskarżenia Żydów o mord rytualny miał miejsce w USA w roku 1928, w miejscowości Massena w stanie Nowy Jork, nieopodal granicy z Kanadą. Więcej: <https://www.nyu.edu/about/news-publications/news/2019/september/berenson-on-massena-blood-libel.html> [dostęp 19.07.2023]

30 Skórcz, miejscowość pod Starogardem Gdańskim

31 Wątek ten pojawił się w powieści *Pruski lód*, której akcja również rozgrywa się w Lyck w roku 1900.

32 Szyba

33 Sopot

34 Szczecinek

35 Pisz

[36](#) Kutry

[37](#) Olecko

[38](#) Za: Andrzej Wakar, *Olecko. Z dziejów miasta i powiatu*, Wydawnictwo Olsztyńskie 1974, s. 102-105; <http://www.olecko.info/index.php/historia-mainmenu-34/olecko-czasy-ludzie-zdarzenia/81-epidemia-diumy> [dostęp 17.08.2023]

[39](#) Sławskoje

[40](#) O *żydach*, w: „Gazeta Ludowa”, nr 58, 1 sierpnia 1900 r., s. 1; w najbardziej rażących przypadkach pisownia została dostosowana do obecnych standardów

[41](#) Słupsk

[42](#) Lębork

[43](#) Bytów

[44](#) Miastko

[45](#) Za: A. Magdzińska, *Chojnice 1900 r. – zajścia antyżydowskie czy pogrom?*, w: *Pogromy Żydów na ziemiach polskich w XIX i XX wieku. T. 2, Studia przypadków (do 1939 roku)*. s. 157-177